Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

OBRAZY

Nr 1(42) Zielona Góra 2013 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje **Wiersze** **Proza** **Szkice krytyczne** **Sztuka**

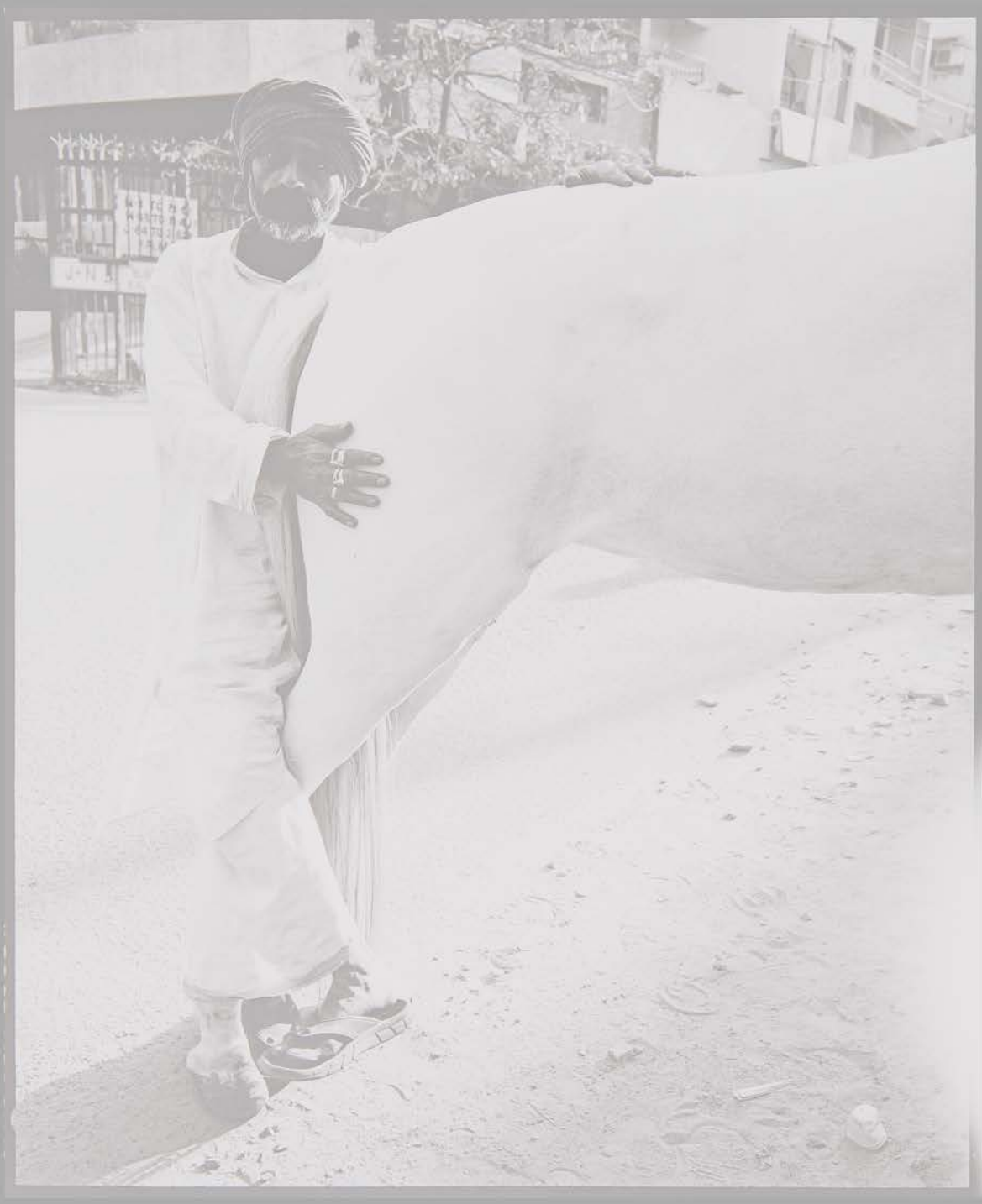

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

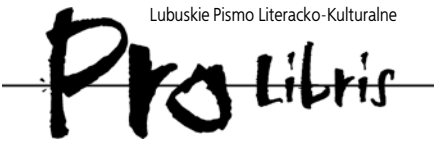

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris 1(42) – 2013

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Marek Lalko

© Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracuje
Małgorzata Mikołajczak

Fotografie:
archiwum WiMBP im. C. Norwida, Florian Firlej, Dariusz Pawlicki, ze zbiorów Eugeniusza Kurzawy

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida
w Zielonej Górze

Skład
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
ART-DRUK przy RCAK w Zielonej Górze

Nakład
350 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres redakcji
WiMBP im. C. Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
tel. 603 610 906, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl
www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Beznadziejnie długa tegoroczna zima nie nastrajała optymistycznie. Doskwierało dotkliwe zimno, szaruga, długo zalegający śnieg, nie dając nadziei na poprawę samopoczucia także Wam, drodzy Czytelnicy, tak bardzo tęskniącym za ciepłem, światłem, promieniami słońca. Ten właśnie czas był nam potrzebny, by przygotować pierwszy tegoroczny numer „Pro Libris", numer, który wbrew przykrej aurze staraliśmy się zakomponować w sposób najbardziej dla odbiorcy interesujący. Mamy nadzieję, że proponowane w nim teksty rozwieją pozimowy smutek, ale także zmuszą do refleksji i zadumy.

Numer otwieramy tekstem Roberta Rudiaka, znawcy literatury lubuskiej, który w charakterystyczny dla siebie, poparty bogatym materiałem faktograficznym, sposób analizuje proces geriatyzacji naszego środowiska literackiego. Liczymy na to, że esej dra Rudiaka nie pozostanie bez echa i że w następnym numerze przyjdzie nam opublikować wypowiedzi jego adwersarzy.

Pragniemy także zwrócić Państwa uwagę na ważny esej Mirosławy Szott umieszczony w dziale ZBLIŻENIA, a podejmujący niełatwy temat występowania formulizmu we wczesnych latach twórczości A.K. Waśkiewicza i nieco zapomnianej, lecz wciąż intrygującej poetki Mirosławy Kużel, którzy nawiązywali wspólny dialog poetycki, możliwy dzięki wypracowaniu wspólnego języka mówienia o rzeczywistości.

Postać A.K. Waśkiewicza przywołujemy ponadto tekstami wspomnieniowymi dwojga arabistów warszawskich (Barbara Wrona, prof. Marek M. Dziekan), którzy nawiązują do wspólnego z nim wyjazdu do Iraku na festiwal literacki Mirbad w 1986 r. Oba wspomnienia poprzedza tekst Eugeniusza Kurzawy, bliskiego przyjaciela śp. Waśkiewicza.

W numerze inaugurujemy cykl zatytułowany EKSLIBRIS W PRO LIBRIS, który zaproponowała znana artystka Agata Buchalik-Drzyzga, nie pierwszy raz goszcząca na naszych łamach. W większości ilustracyjny, ale także opisowy sposób opowiadać w nim będzie o niełatwej sztuce ekslibrisu, o osobach, którym dedykowała tę bardzo osobistą formę grafiki, a także okolicznościach towarzyszących powstawaniu miniaturowych dzieł sztuki. Warto podkreślić, że autorka da się Państwu poznać z całkowicie dotąd nieznanej odsłony – bystrej i uzdolnionej literacko obserwatorki. W tym numerze pani Agata wyjaśnia, czym jest „peefka".

Namawiamy Państwa także do zapoznania się z licznymi tekstami prozatorskimi pomieszczonymi w numerze, m.in. nostalgiczną, a niepozbawioną autoironii historią Małgorzaty Stachowiak-Schreyner *Jak Pan Bóg zjadł moją babcię*, filozoficzno-mistycznym tekstem Andrieja Kotina *Uśmiech projektanta, czyli nieupoważnionym wstęp wzbroniony*, ostatnim już z cyklu *Brama* opowiadaniem Przemysława Grzesińskiego *Strona medalu*, jak również nagrodzonym główną nagrodą w Kargowej tekstem Edwarda Derylaka *Tam już nikt nie mieszka.*

Poza licznie reprezentowaną poezją (I. Zielińska, W. Klępka, J. Paprotna, G. Panek, A.B. Wierzbicki i in.) zachęcamy do przeczytania omówień i recenzji, relacji z ważnych imprez kulturalnych, a także do zapoznania się z konkursami literackimi, których zapowiedzi i regulaminy publikujemy na końcu numeru.

Sądzimy, że każdy, kto sięgnie do stronic pisma, odnajdzie coś specjalnie dla siebie.

Redakcja

Spis treści

Robert Rudiak, Stan lubuskiej literatury w pierwszej dekadzie XXI wieku, czyli diagnozy i prognozy 6
Zbigniew Masternak, Kto naprawi moją maszynę do pisania? 12
Irena Zielińska, Wiersze [A ludzie..., Człowieku..., Tablice moich praw, Tren] 14
Małgorzata Stachowiak-Schreyner, Jak Pan Bóg zjadł moją babcię 18
Julita Paprotna, Wiersze [Bądź, *** wczorajszej nocy] 20
Renata A. Thiele, Ożenek wschodnio-zachodni. Część I / Ein west-östliches Heiratsritual. Teil I 22
Małgorzata Stachowiak-Schreyner, Wiersze [Kołysanka, Ballada o domu, Dziewiąte, Karawana] 31
Andriej Kotin, Uśmiech projektanta, czyli nieupoważnionym wstęp wzbroniony 35
Grzegorz Panek, Wiersze [Skrzydła, Hierarchia] 36
Czesław Sobkowiak, Małe prozy 38
Edward Derylak, Tam już nikt nie mieszka 42
Adam Bolesław Wierzbicki, Wiersze [Autoportret, Autoportret w tłumie] 49
Przemysław Grzesiński, Strona medalu (ostatnie opowiadanie z cyklu Brama) 51
Władysław Klępka, Wiersze [Supełki] 57
Zofia Mąkosa, Pas Oriona 59
Bogumiła Różewicz, Wiersze [Różowa kula, Czarny włos, Smak jaśminu, Ogród duszy] 63

ZBLIŻENIA
Mirosława Szott, Formulistyczne związki.
O poezji Mirosławy Kużel i Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza 67
Eugeniusz Kurzawa, Skąd te wspomnienia 70
Barbara Wrona, AKW 72
Marek M. Dziekan, Autor irackiego poematu 74

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS
Agata Buchalik-Drzyzga przedstawia... 75

PREZENTACJE
Marek Lalko – fotografia 78
Lidia Głuchowska, Circus Europe i inne kontynenty. O fotografii Marka Lalki 79

VARIA
Joanna Kapica-Curzytek, Nihongo (przyswajanie języków obcych) 84
Benita Sczaniecka, Co ona takiego miała, czego inni nie mają 87
Dariusz Pawlicki, Epitafium dla pewnego międzygórzanina 91
Florian Firlej, Fenomen czy farciarz? 94
Roman Garbowski, Zamiast ruszyć w Polskę zostałem w Zielonej Górze 96
Ewa Mielczarek, Pomysł na zbliżenie... I Dni Polsko-Niemieckie w Zielonej Górze 101
Ewa Mielczarek, Wawrzyny Lubuskie 2012 trafiły do laureatów 104
Robert Rudiak, O konkursie poezji miłosnej w Kożuchowie 107

RECENZJE I OMÓWIENIA

Książka o Waśkiewiczu
Eugeniusz Kurzawa, *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszcz*one (**Czesław Sobkowiak**) 109

Poezja z Poddasza Poetów
Elżbieta Dybalska, *Ślady miłości*; Emilia Grzelak, *W dorosłość* (**Czesław Sobkowiak**) 110

Obywatele świata z odzysku
Antologia dramatu lubuskiego, red. Andrzej Buck (**Janusz Łastowiecki**) 112

Patrząc śmierci w oczy
Łucja Fice, *Przeznaczenie* (**Katarzyna Palimąka**) 113

Centuria
Mieczysław Sosialuk, *Sąd nad centurią* (**Kinga Mazur**) 115

Metalurgia snu
Sen nocy letniej, Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego (**Janusz Łastowiecki**) 116

Demony wracają
Uwe Tellkamp, *Zimorodek* (**Joanna Kapica-Curzytek**) 118

Kobiecość niejedno ma imię
Dorota Grzesiak, *Dla, Kiedy grasz* (**Monika Derczyńska**) 120

Płatki róż w naszym życiu
Joanna la Bright, *Rosenblätter auf den Scherben* (**Monika Derczyńska**) 121

A czas płynie jakby nigdy nic...
Anna Blacha, *Moje wierszowanie* (**Monika Derczyńska**) 123

Warto rozmawiać o książkach
Izabela Rutkowska, *Między książkami* (**Mirosław R. Kaniecki**) 124

Literatura w pigułce
Jan Tomkowski, *Zamieszkać w Bibliotece* (**Jadwiga Matuszczak**) 126

Tradycja i klasycyzm w wierszach Konrada Krakowiaka
Konrad Krakowiak, *Warto* (**Jakub Rawski**) 127

Nowy tomik Bohdana Zadury
Bohdan Zadura, *Zmartwychwstanie ptaszka (wiersze i sny)* (**Marika Sobczak**) 130

KSIĄŻKI NADESŁANE 133

AUTORZY NUMERU 134

Regulamin IV Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris" 139
XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Eugeniusza Paukszty 140
Międzynarodowa Konferencja ph. „Biblioteka jako trzecie miejsce.
Doświadczenia i wyzwania partnerów" 141

Robert Rudiak

Stan lubuskiej literatury w pierwszej dekadzie XXI wieku, czyli diagnozy i prognozy

Zdaję sobie sprawę, że niniejszy artykuł może być – i oby stał się – tylko zaczynem do sformułowania oceny stanu współczesnej literatury na Ziemi Lubuskiej, a także jest próbą pokuszenia się o dokonanie wizji jej dalszego rozwoju, choćby na przestrzeni najbliższych 10-15 lat. Zdaję też sobie sprawę, że moja, a więc subiektywna, ocena kondycji lubuskiej literatury XXI wieku niekoniecznie będzie pokrywała się z ocenami innych krytyków i znawców przedmiotu, niemniej będę starał się być jak najmniej sarkastyczny i jak najbardziej realistyczny, tj. postaram się dążyć do ukazania tzw. prawdy obiektywnej.

Na pogorszenie stanu naszej literatury wpływa, niestety, szybko rosnąca skala wieku aktywnych literacko pisarzy oraz coraz mniejsza liczba ukazujących się książek lubuskich autorów, jak też coraz niższy ich walor artystyczny.

Na początek przyjrzyjmy się zatem kryterium wieku. Otóż patrząc na wiek dzisiejszego pisarza lubuskiego, trzeba konieczne zauważyć, że mamy tu do czynienia z tendencją jak najbardziej rosnącą i to rosnącą w zastraszającym tempie. Obrazują to na przykład średnie wieku członków jedynej zawodowej organizacji pisarskiej w województwie lubuskim – Związku Literatów Polskich, ale też nielicznych członków Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zamieszkałych w Lubuskiem, jak również uczestników Klubu Literackiego ZLP w Żarach, który jest trzecią pod względem liczby członków organizacją zrzeszającą pisarzy. Przeciętny wiek autora znad Środkowego Nadodrza zdecydowanie przekracza 50 lat.

Aktualnie najstarsi członkowie oddziału ZLP w Zielonej Górze liczą 78 i 79 lat oraz 74 i 77 lat, a kolejnych czterech przekroczyło 70 lat. Dziesięć osób to sześćdziesięciolatkowie, a jedenaście ukończyło 50 lat. Natomiast w gorzowskim oddziale najstarsza osoba liczy sobie 88 lat, nieco młodsi – 82, 78 i trzy osoby po 75 lat, a kolejne odpowiednio 72 i 70 lat. Pięć osób przekroczyło już 60 lat, a dziesięć 50 rok życia. Wśród członków Klubu Literackiego ZLP w Żarach najstarszy jego członek ma 74 lata, kolejni osiągnęli 68, 67 i 64 lata, a oprócz nich jeszcze czterech liczy powyżej 60 lat, pięciu zaś przekroczyło lat 50. Natomiast z lubuskich członków SPP najstarszy liczy 85 lat, a kolejni 63 i 61 lat.

Najmłodszy pisarz w oddziale ZLP w Zielonej Górze liczy dziś lat 35, następni mają 46 i 47 lat, a później trzy osoby równo po 50 lat. Z kolei najmłodszy literat w oddziale gorzowskim ZLP ma 29, a kolejni z „najmłodszych" liczą już 40 i 45 wiosen. W żarskim Klubie Literackim ZLP najmłodsza osoba ma 23 lata, następni w kolejności wiekowej mają już odpowiednio 35, 36 oraz 39 i 41 lat. Natomiast najmłodszy lubuski autor z SPP ma 43 lata.

Zadałem sobie nieco trudu i wyliczyłem aktualną średnią wieku członków lubuskich stowarzyszeń. I tu

smutna ciekawostka, a właściwie gorzka prawda. W oddziale zielonogórskim ZLP wyniosła ona 61,2 roku, w gorzowskim oddziale Związku 61,3, w Klubie Literackim w Żarach 55,3, natomiast w SPP 63 lata.

Bolączką tego stanu rzeczy jest brak przyjęć młodych pisarzy do organizacji pisarskich. Ostatnie przyjęcia do oddziału zielonogórskiego Związku Literatów Polskich miały miejsce w 2009 r., kiedy wstąpił w jego struktury Krzysztof Koziołek, liczący sobie wówczas 31 lat. Z kolei Karol Graczyk miał lat 29, kiedy wstępował do oddziału ZLP w Gorzowie Wlkp. Już dawno nie było przyjęć osób bardzo młodych. W 1992 roku, kiedy wstępowałem do ZLP, byłem tuż po studiach, liczyłem 26 lat, mając na koncie dwa tomiki wierszy i trzy miniarkusze literackie. Wówczas wielu początkujących literatów z całego kraju, którzy nie przekroczyli 30 lub 35 lat życia (górna granica wieku decydująca o przyjęciu do organizacji obowiązująca np. w ZSMP), mogło liczyć na przyjęcie w poczet, czy to członków, czy też kandydatów na członka ZLP, o ile w ich dorobku były 2-3 tomiki wierszy.

Obecnie kryteria przyjęć do ZLP bardzo zaostrzono i od paru lat kilku literatów lubuskich czeka na pozytywną weryfikację. Ale też powiedzmy sobie szczerze, że średnia ich wieku to znów ponad... 50 lat! Mniej rygorystyczne kryteria przyjęć obowiązują dziś w SPP, ale tam również nie garną się młodzi literaci. Młodych osób nie ma w organizacjach pisarskich z dwóch praktycznie powodów: po pierwsze, młodzi twórcy musieliby mieć w dorobku minimum 3-4 tomiki wierszy lub co najmniej dwie książki prozatorskie; po drugie – jeśli już młodzi twórcy spełnią pierwszy wymóg, to generalnie nie interesuje ich przynależność organizacyjna. Wolą z jednej strony pozostać niezależni, a z drugiej – doskonale wiedzą, że tak naprawdę przynależność nie daje żadnych korzyści materialnych, poza iluzoryczną, niestety, nobilitacją społeczną.

Według onegdaj zaproponowanej przeze mnie stratyfikacji pokoleń literackich lubuskich twórców, przyjrzyjmy się ich aktywności wydawniczej w pierwszej choćby dekadzie nowego wieku (o ile to możliwe przedłużam tę cezurę, kończąc na pierwszym kwartale 2013 r.). W publikacji z 2006 r. przyjąłem podział na następujące pokolenia tworzące na Ziemi Lubuskiej: pionierów – publikowali w latach 40. i 50. XX wieku, postpionierów (debiutowali w latach 60.), pokolenie „momentu wejścia" (debiuty lat 70.), pokolenie średnie tzw. pogrudniowe (debiutowali w latach 80.), pokolenie młodych, czyli Nowej RP (debiutowali w latach 90. ubiegłego wieku) i najmłodszych, czyli milenijne (debiuty ich przypadły na początek nowego wieku, tj. następowały po r. 2001).

Z najstarszego pokolenia tzw. lubuskich pionierów literatury (są to głównie roczniki 20. i 30.) pozostały już praktycznie pojedyncze osoby. Do nich zaliczyć należy Janusza Koniusza (79 lat) z ZLP czy Henryka Szylkina (85 lat) z SPP, zresztą obaj nader aktywni po 2000 r. i niemal przez całe dziesięciolecie nowego wieku. Obaj też obchodzili hucznie swoje jubileusze pracy twórczej, a z tej okazji ukazały się okolicznościowe broszury i nowe tomiki wierszy jubilatów. Z pionierów lubuskich trzeba też wymienić Eugeniusza Wachowiaka (84 lata) z Poznania, choć on od 1982 r. nie należy do oddziału zielonogórskiego ZLP, to nadal pozostaje aktywny literacko, podobnie jak nestorka literatury lubuskiej, najstarsza dziś tworząca osoba – Stanisława Plewińska (88 lat) z Deszczna, członkini ZLP od 1985 r., która w 2005 i 2008 r. wydała tom wierszy i zbiór opowieści.

Wśród roczników z końca lat 30., a przede wszystkim z lat 40. (tzw. postpionierów), zatem dziś blisko siedemdziesięciolatków lub osób, które przekroczyły już owe 70 lat życia, nadal tworzą i wydają książki Ireneusz K. Szmidt, Tadeusz Szyfer, Janusz Werstler, Anna Tokarska, Barbara Trawińska, Katarzyna Jarosz-Rabiej, Władysław Klępka, Włodzimierz Kwaśniewicz, Jan Kurowicki, Alfred Siatecki, Zdzisław Wojtczak, Lech J. Tuchocki, Ludwik I. Lipnicki, Zbigniew Ryndak, Edward Dębicki, a także literaci, którzy debiutowali po 2000 r., m.in. Maria Borcz, Henryk W. Kordoń, Karol Gierliński-Parno, Zygmunt M. Piechocki, Eduard Diłanin, Elżbieta Mikoś, Wiesława Siekierka, Jerzy Szczególski.

Pokolenie „momentu wejścia" to osoby, które głównie debiutowały w słynnym, pierwszym lubuskim almanachu poetyckim opracowanym przez Andrzeja K. Waśkiewicza w 1976 r. Z tego grona osób urodzonych w latach 50., a więc dzisiejszych sześć-

dziesięciolatków i nieco młodszych, aktywni na polu literackim nadal pozostają m.in. Jolanta Pytel-Marciniszyn, Mieczysław J. Warszawski, Czesław Sobkowiak, Eugeniusz Kurzawa, Czesław Markiewicz, Romuald M. Jabłoński, Adam Żuczkowski, Grażyna Rozwadowska-Bar, Maria J. Fraszewska, Irena Zielińska, Krystyna Caban, Aldona Robak, Janina E. Lorenc-Wilga, Zbigniew Kozłowski, Ferdynand Głodzik, Łucja Fice, Teresa Borkowska, Marek „Lobo" Wojciechowski, Roman Habdas, Jerzy Grodek, Edward Derylak i Andrzej Żubrycki.

Spośród roczników 60., tj. lubuskiego pokolenia „średniego" (tzw. pogrudniowego), a zatem obecnych pięćdziesięcio- lub czterdziestolatków, w życiu literackim są nadal zauważani m.in. Jacek Katarzyński, Krzysztof Fedorowicz, Dorota Kozanowska, Anna V. Szewczuk-Szwedo, Joanna Ziembińska-Kurek, Jolanta Baworowska, Zygmunt Kowalczuk, Beata Igielska, Iwona M. Żytkowiak, Marek Grewling, Waldemar G. Rak, Roman Ryś, Wiesław Adamski, Małgorzata Michalak czy Mariusz Niemycki.

Z generacji „młodych" (tj. „Nowej RP"), czyli ludzi urodzonych w latach 70., a debiutujących w wolnej ojczyźnie, wciąż artystycznie udzielają się Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, Konrad Wojtyła, Jacek Uglik, Beata P. Klary, Agata Legan, Krzysztof Koziołek, Katarzyna Zychla, Katarzyna Maciantowicz i Adam B. Wierzbicki. Z tej grupy pisarzy niemal czterdziestoletnich lub już czterdziestoletnich, aktywnych pozostało obecnie kilka osób, bowiem większość ich rówieśników zakończyła przygodę literacką z końcem XX w., najczęściej z jedną lub maksymalnie dwiema książkami poetyckimi na koncie.

Z roczników 80., czyli obecnych dwudziestokilkulatków i trzydziestolatków, do niedawna jeszcze najmłodszego pokolenia na lubuskim parnasie, pozostali literacko zaangażowani m.in. Karol Graczyk, Agata Komorowska, Krzysztof Ł. Swereda czy Jakub Rawski. Twórcy ci debiutowali zazwyczaj po 2000 r. Nie była to już spora grupa debiutantów, jak miało to miejsce u poprzednich generacji, bowiem wydanie choćby niewielkiego objętościowo tomiku wierszy okazało się nie lada wyczynem, choć dostęp do druku jest dziś praktycznie nieograniczony. O ile udało się komuś zadebiutować publikacją własnej książki (zazwyczaj w oficynie publicznej lub własnym sumptem), to nie było już zainteresowania wydaniem drugiej. Widocznie wystarczało spełnienie marzeń w formie druku tomiku i „nobilitacja" we własnej grupie środowiskowej, jednak na tym kariera się urywała. Chęci druku drugiego tomiku zapewne jeszcze się u niektórych znalazły, ale upór, aby go wydać – już niekoniecznie. Zniechęcały do tego trudności, zwłaszcza ekonomiczne (wysoki koszt przygotowania do druku i samego druku oraz koszt promocji książki), jak i formalne (nikłe zainteresowanie społeczne i medialne, przeszkody natury organizacyjnej, zwłaszcza placówek kultury lub administracji samorządowej, brak dotacji i sponsorów *etc.*).

Dlatego tak wiele obiecujących poetyckich efemeryd można spotkać właśnie wśród roczników 70. i 80., które praktycznie po debiucie znikały ze sceny literackiej, a niekiedy zdarzało się to np. po wydaniu drugiego tomiku. I trudno w tym przypadku oczekiwać kontynuacji czy powrotu do pisarstwa, jeśli od zamilknięcia upłynęło już dziesięć lub więcej lat, choć wiadomo – cuda też się zdarzają.

Wreszcie, jeśli idzie o najmłodsze obecnie pokolenie, czyli autorów wstępujących na pole literatury, urodzonych w latach 90., a których debiuty miały miejsce po 2010 r., trudno kogokolwiek brać pod uwagę, bowiem jest na to zbyt wcześnie, a wyrokowanie w ich przypadku byłoby podobne do gry w lotto. A zatem w ich sytuacji wyrokować można za jakieś… 15-20 lat.

Trudno prognozować, jak przebiegać będzie kariera literacka większości wymienionych autorów, reprezentujących różne pokolenia twórcze. O ile nietrudno przewidzieć los pionierów literatury lubuskiej, czyli pokolenia z roczników 40. i 50. (zwłaszcza tych drugich), to tylko nieliczni z nich będą pozostawać aktywni jeszcze około 5-10 lat. I raczej tutaj częstotliwość wydań książkowych będzie spadkowa. Ich najlepszy czas twórczy, powiedzmy szczerze, już przeminął. Ubywać będzie także twórców z roczników 60. i 70., gdyż również ich literacka potencja zanika. Zapewne niewielu z nich pozostanie aktywnymi jeszcze około 15-20 lat. Do niedawna, czyli do końca ubiegłego wieku, przedstawiciele właśnie roczników 50., 60. i 70. byli najbardziej

produktywni pod względem wydań książkowych. Tendencja ta słabnie od 2000 r. i będzie nadal zniżkować.

Naturalną przyczyną tego stanu jest umieralność i migracja do innych województw lub nawet z kraju. W ostatniej dekadzie XXI w. zmarło kilku lubuskich twórców, m.in. Witold Niedźwiecki, Jan Gross, Kazimierz J. Furman, Bronisław Suzanowicz, Michał Kaziów, Maria Przybylak, Bronisław Słomka, Tomasz Florkowski, Henryk Ankiewicz (pseud. Andabata), Gustaw A. Łapszyński, Wincenty Zdzitowiecki, Andrzej M. Patrzykont. Inni z kolei opuścili Ziemię Lubuską, np. Konrad Wojtyła, Maciej Zdziarski, Karol Francuzik, a wcześniej m.in. ks. Jerzy Hajduga i Ewa Ferenc.

Kolejną przyczyną malejącej liczby wydań książkowych jest brak środków na ich publikacje i brak mecenatu (sponsorów). O ile jeszcze w latach 90. XX w. przeciętnie ukazywało się 30 książek, a bywało że rekordowo nawet 40, tak po 2000 r. ta sytuacja zmieniła się na niekorzyść. Średnio dziś wydawanych jest około 10 tomików poezji i 2-3 książki prozatorskie, co daje przeciętną około 15 pozycji rocznie. Z uwagi na niewielkie środki finansowe mniej wydaje się książek zarówno w obu największych lubuskich książnicach, w Gorzowie i Zielonej Górze, jak i w innych miejskich czy gminnych bibliotekach, np. w Żarach. Nie funkcjonują na Ziemi Lubuskiej profesjonalne czy nawet półprofesjonalne oficyny wydawnicze, które promowałyby wytwory miejscowego środowiska, a zwłaszcza debiutantów. Znacząco spadła aktywność zielonogórskiej oficyny Organon i gorzowskiego Arsenału, sporadycznie tomiki pod swoim szyldem wydaje Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów i to głównie własnych członków, gdzie większość to słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Także inne centra czy ośrodki kultury nie kwapią się w podejmowaniu trudu wydawniczego. Rzadko dziś wydaje książki literackie jakakolwiek instytucja typu muzeum, dom kultury, towarzystwo regionalne lub stowarzyszenie artystyczne. Od kilkunastu lat nie istnieją już żadne ugrupowania literackie z prawdziwego zdarzenia (tj. posiadające manifest, credo artystyczne), typu grupa poetycka bądź formacja kulturalna.

W błyskawicznym tempie zanikają też ruchy środowiskowe. Studencki ruch literacki praktycznie przeszedł do lamusa. Na żadnej uczelni lubuskiej nie organizuje się już spotkań autorskich, wieczorów czy warsztatów literackich. Niekiedy tylko na łamach prasy studenckiej w tzw. okienkach poezji ukaże się wiersz kogoś, kto przeważnie na tejże publikacji kończy zabawę w twórczość literacką. Co ciekawe – w ostatnich dwu dekadach przybyło wiele nowych uczelni na Ziemi Lubuskiej (Zielona Góra, Gorzów Wlkp., Żary, Sulechów), a co za tym idzie – więcej studentów i odwrotnie proporcjonalnie do tych liczb ubywa z kolei młodych ludzi zainteresowanych uprawianiem twórczości.

Jeśli idzie o środowisko robotnicze, to zielonogórski oddział Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury nie funkcjonuje właściwie od końca lat 90. W szczątkowej formie działa jeszcze gorzowski oddział RSTK, ale jego działacze, mimo kilku prób przyciągnięcia młodych, przypominają również pod względem średniej wieku członków Uniwersytetów Trzeciego Wieku.

Można śmiało zawyrokować, że obecnie młodych ludzi w naszym województwie przygoda z literaturą „nie kręci" – używając ich slangu. Jeśli już ktoś z młodego pokolenia podejmie się próby uprawiania twórczości literackiej, to czyni to na bardzo krótki czas. O ile jeszcze wytrzyma do pierwszych publikacji w prasie czy internecie, to najczęściej zabawa kończy się po wydaniu debiutanckiego tomiku, o czym pisałem wcześniej.

Może wydawać się dziwną sytuacja zaniku popularyzowania literatury regionalnej, bo oto już dla gimnazjalistów, a także starszej młodzieży organizuje się różnorodne tematycznie konkursy poetyckie, m.in. w Nowej Soli, Kożuchowie, Gubinie czy w Zielonej Górze (np. ZOK, „Dom Harcerza", RCAK), a także w Sulechowie, Kargowej i Żarach, a mimo to młodzież nie garnie się do udziału w tych imprezach tak chętnie i licznie jak w latach poprzednich. Także zainteresowanie laureatów tych konkursów rozwijaniem zdolności literackich przeważnie kończy się na wydaniu wierszy w tomiku pokonkursowym lub w wydawnictwie zbiorowym.

Czym zatem przyciągnąć jeszcze młodzież do zainteresowania się literaturą? W drugiej połowie lat 80. tłumy studentów i licealistów gromadziły finały konkursów o „Pierścień Kingi" w Nowej Soli i spektakle parateatralne teatru „Terminus a Quo" Edwarda Gramonta, konkursy „O Złoty Samowar" w Świebodzinie, podobnie jak akcje i pokazy paraliterackie grupy „Budowa" z zielonogórskiej WSP. W pierwszej połowie lat 90. pełne sale młodych ludzi gwarantowały mitingi poetyckie grupy „Die Huelle" i festiwale trzeciego obiegu organizowane przez Jacka Katarzyńskiego. Druga połowa lat 90. to konkursy jednego wiersza i promocje książek lubuskich pisarzy podczas kilku edycji listopadowych Nocy Poetów organizowanych w Lubuskim Teatrze przez ówczesnego dyrektora, dra Andrzeja Bucka. Podobnie rzecz się miała z wydawnictwami promującymi młodych debiutantów. Upadłe na początku lat 90. poprzedniego wieku Lubuskie i Gorzowskie Towarzystwa Kultury zastąpiły wydawnictwa niezależne – Arlekin przy WOSW, Agencja Wydawnicza AND w Zielonej Górze, Wojewódzki Ośrodek Metodyczny i WAG Arsenał w Gorzowie, oficyna Muzeum Ziemi Lubuskiej i Pro Libris Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze, eMBePe Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żarach, Ex-libris w Świebodzinie, Ośrodek Kultury i Sportu w Kożuchowie, które na przełomie wieków wydawały serie debiutanckich tomików młodych adeptów pióra.

Dziś praktycznie i w dodatku niezwykle rzadko, bowiem tylko raz do roku, książkę młodego autora (warunek to nieprzekraczalny wiek do 35 roku życia) wydaje oficyna zielonogórskiej biblioteki wojewódzkiej przy współudziale stowarzyszenia Debiut, gdzie autora tomiku wyłania się w drodze konkursu ph. „Debiut Poetycki Pro Libris". Pierwsza edycja tego konkursu miała miejsce w 2010 r. Jego laureatami byli dotychczas: Jakub Rawski (ur. 1988), Andriej Kotin (ur. 1985) i Konrad Krakowiak (ur. 1979). Tylko czy to wystarczy, aby zachęcić młodzież? Z pewnością brakuje nowoczesnych slamów poetyckich, ciekawego portalu poświęconego w całości literaturze lubuskiej i czasopisma, choćby w formie dawnych art-zinów poświęconych w całości prezentacji i omówieniu twórczości młodych artystów lubuskich. Choć zapewne przy dzisiejszym bogactwie mediów i dobrodziejstwie kultury masowej i te środki byłyby pewnie niewystarczające i mało atrakcyjne.

Czy zatem nadchodzi kres twórczości literackiej w wykonaniu lubuskich pisarzy. Pewnie jakiś zmierzch napływa. Maleje liczba twórców, zmniejsza się liczba publikacji, spada też ranga samego pisarza lub artysty w społeczeństwie komercyjnym. Niegdyś, najważniejszą nagrodę literacką regionu, czyli Lubuski Wawrzyn Literacki przyznawano w dwóch kategoriach – poezji i prozy. Dziś jest jedna nagroda dla poetów i prozaików, bowiem wygrać w kategorii prozatorskiej, kiedy nie ma praktycznie konkurencji, to żadna przyjemność. W tej kategorii rywalizowały zazwyczaj dwie, trzy, niekiedy cztery książki, w dodatku zróżnicowane gatunkowo – od kryminału, sensacji, powieści historycznej, psychologicznej po prozę wspomnieniową i wojenno-okupacyjną.

Sytuacja w lubuskiej literaturze jest dziś mniej więcej taka, jaką obserwujemy na wieczorach autorskich lubuskich twórców czy podczas gali wręczenia Wawrzynów Literackich. Średnia wieku biorących w nich udział, zarówno na estradzie, jak i na widowni, to grubo ponad 50 i więcej lat. Taką publikę można zaobserwować podczas konferencji naukowo-literackich, jubileuszy artystycznych, promocji i wystaw książek, jak np. w trakcie obchodów 50-lecia zielonogórskiego oddziału ZLP w 2011 r.

Młodych ludzi na takich imprezach właściwie nie ma. Jeśli pojawią się, to sporadycznie, jakby przez pomyłkę, bowiem na stałe nikt z nich się nie udziela i to zarówno po stronie czytelników, jak i samych twórców. Życie literackie na przekór średnim wiekowym w naszym starzejącym się społeczeństwie rozkwita za to właśnie w grupach seniorów, członków Uniwersytetów Trzeciego Wieku. Aktywność pod tym względem wykazują uniwersytety w Zielonej Górze i Sulechowie. W zielonogórskim UTW działa zespół literacko-poetycki Oksymoron, kabaret muzyczno-literacki, seniorzy drukują też wiersze w swoim czasopiśmie „Inspiracje", biorą udział w biesiadach i spotkaniach literackich, ale nie można w ich przypadku mówić tu o rozwijaniu kariery literackiej, raczej – jak w przypadku młodych – o zabawie w literaturę. I w ciągu najbliższych pięciu, a najdalej

10-15 lat wzrośnie liczebność słuchaczy UTW, bowiem tę grupę zasilą twórcy z roczników 50., a potem 60.

Prognozując rozwój życia literackiego i wydawniczego na Ziemi Lubuskiej na najbliższą choćby dekadę, a najdalej do końca pierwszego ćwierćwiecza (2025), należy przewidywać, że życie środowisk literackich, jak i sam ruch wydawniczy poważnie osłabną lub nawet możliwy będzie ich niemal zupełny zanik. Biorąc pod uwagę dzisiejszy stan życia literackiego na Środkowym Nadodrzu, nie sposób zauważyć spadkowej tendencji przyjęć członków do obu lubuskich oddziałów ZLP, malejącą liczbę licealistów i studentów z uwagi na niż demograficzny, wysoką umieralność osób po ukończeniu 60. roku życia, społeczną mizerię zarówno pod względem ekonomicznym, jak i kulturalnym, zanik kultury wysokiej na rzecz komercyjnej, słabnące zainteresowanie czytelnictwem i uprawianiem pisarstwa, jako zawodu nieprzynoszącego oczekiwanych dochodów, czyli mówiąc wprost – uprawianiem sztuki dla sztuki. Identycznie wygląda sprawa z krytyką literacką, której jest jak na lekarstwo. Ubywa też czasopism o tematyce literackiej. Znikły takie pisma jak „Nadodrze", potem „Lubuskie Nadodrze", „Komunikaty Nadodrzańskie", „Zielonogórski Informator Kulturalny", „LiteraT", „Arsenał Gorzowski" i polsko-niemiecki „Prom/Die Fahre". O ile jeszcze w latach 90. XX w. i na początku XXI w. w „Gazecie Lubuskiej" ukazywały się omówienia książek autorów lubuskich, tak obecnie zajmują się nimi tylko kwartalnik „Pro Libris" w Zielonej Górze oraz „Pegaz Lubuski" i „Lamus" w Gorzowie, w których – co też warto zauważyć – coraz mniej „lubuskości".

Taki stan rzeczy doprowadzić może również do spadku poziomu artystycznego lubuskiej poezji czy prozy, ale to już temat na oddzielne dywagacje. Faktem jest, że żadna książka lubuskiego autora nie była w ostatnich latach nominowana do ważniejszej nagrody literackiej w kraju. Owszem, nasi pisarze są zauważani na krajowej scenie czy rynku wydawniczym, np. Krzysztof Koziołek nominowany do „Paszportu Polityki" czy Beata P. Klary – zdobywczyni kilku nagród w prestiżowych konkursach poezji, ale to są tylko zauważone nazwiska, nie zaś konkretne ich wytwory literackie w formie książek. Podobnie było już w latach wcześniejszych. Kilku pisarzy lubuskich przeszło do historii literatury narodowej, jak choćby Irena Dowgielewicz, Janusz Koniusz, Zygmunt Trziszka, Andrzej K. Waśkiewicz, Zdzisław Morawski czy Ireneusz K. Szmidt, ale czy ich książki również? Miałbym co do tego sporo wątpliwości, czy przetrzymały one próbę czasu... Bywało, że niektóre publikacje prozatorskie, np. Wojciecha Czerniawskiego czy Zbigniewa M. Jelinka lub liryczne Waldemara Mystkowskiego czy Kazimierza Furmana, były zauważane przez krytyków w prasie centralnej, ale na zauważeniu i ciekawym omówieniu najczęściej żywot tych książek się kończył.

Przyczyn schyłku literackości regionu jest wiele i są zapewne one bardziej złożone z uwagi na głęboki aspekt ekonomiczno-społeczny i samej degrengolady kultury wysokiej. Zanik uniwersalnych wartości i idei w sztuce, pogłębiająca się frustracja społeczna w kraju, starzenie się społeczeństwa, rosnące bezrobocie, ogólny marazm intelektualny, popularyzacja konsumpcyjnego stylu życia, jego powszechny dynamizm i technologizacja oraz dążenie za wszelką cenę do topowego komfortu, zgodnie z trendami wyznaczanymi przez mass media i celebrytów, jak choćby agresywne reklamy, teledyski, pokazy mody, programy i portale młodzieżowe, filmy i muzykę.

Liczę, że niniejszy artykuł sprowokuje do dyskusji, a przynajmniej wywoła środowiskowy ferment. Może skończy się też tak jak zazwyczaj, czyli burzą w szklance wody. Albo też nie będzie żadnego odzewu, co też często się zdarza na tego typu prowokacje, ale wówczas milczenie moich potencjalnych adwersarzy będę poczytywał jako zgodę na przedstawione tu diagnozy i prognozy, zgodnie z łacińską sentencją: *Qui tacet, consentire videtur.*

Literatura

R. Rudiak, *Stratyfikacja pokoleniowa pisarzy lubuskich*, „Pegaz Lubuski" 2006, nr 7 (23), s. 8-9.
R. Rudiak, *Stratyfikacja pokoleniowa pisarzy lubuskich*, „Pegaz Lubuski" 2007, nr 2 (25), s. 8-10.

Zbigniew Masternak

Kto naprawi moją maszynę do pisania?

Maszynę do pisania kupiła mi matka, gdy miałem czternaście lat. Wzięła wypłatę za mleko i przytargała na plecach z Ostrowca Świętokrzyskiego ciężkiego Łucznika. Zamierzałem na niej przepisywać napisane w opasłych brulionach dwie książki – „indiańską" powieść *Złamana Strzała* (o wojowniku z plemienia Sauków) oraz przewodnik encyklopedyczny *Historia i kultura ludów Ameryki Północnej*. Ostatecznie, mimo sympatii dla Indian, uznałem oba dzieła za słabe i ich grube bruliony przez długi czas służyły mojej matce za podpałkę pod piecem. Przez jakieś dwa lata maszyna stała bezużytecznie. Niespodziewanie w drugiej klasie ogólniaka zacząłem na niej pisać wiersze. To trwało do matury. Dzięki pomocy finansowej dyrektora mojego liceum wydałem nawet dwa tomiki poezji pod tym samym tytułem – *Mroczny krajobraz*, do których się obecnie nie przyznaję. Pierwsza edycja (1996) tak mi się nie spodobała, że zakopałem kilkaset egzemplarzy w ogrodzie (pociąwszy je wcześniej łopatą) i zasiałem na nich kwiatki. Polecam taki krok wszystkim początkującym poetom, po czymś takim można poważnie przemyśleć swoją przyszłą drogę twórczą. Drugie wydanie (1997) zostało kompletnie zmienione, ale także mnie nie usatysfakcjonowało, więc mimo kilku niezłych recenzji oddałem zbiorki dyrektorowi szkoły – sprzedawał je potem jako cegiełki na rozbudowę naszej placówki. Podobno całkiem dobrze się rozchodziły, ale ten poetycki etap w swoim życiu oceniłem bardzo krytycznie w powieści *Niech żyje wolność*.

Wydawało się, że pieniądze za mleko matka wyrzuciła w świętokrzyskie błoto. Jednak do pisania na maszynie wróciłem na pierwszym roku studiów prawniczych, właśnie podczas pracy nad powieścią *Niech żyje wolność*. Zanim została wydana, przepisałem ją w całości sześciokrotnie, a niektóre rozdziały-opowiadania nawet dwudziestokrotnie! To trzaskanie w klawisze tak mnie wciągnęło, że przez cały drugi semestr nie zajrzałem na wydział. Profesor od prawa rzymskiego zadał mi na egzaminie komisyjnym jakieś proste pytanie, a ja powiedziałem: „Pisz pan tę dwóję szybciej do indeksu, bo mam świetny pomysł na opowiadanie". Popatrzył na mnie jak na idiotę i wpisał dwójkę, a ja pobiegłem na stancję, siadłem do maszyny i napisałem tytułowe opowiadanie z mojej debiutanckiej książki. Wyrzucili mnie z prawa z hukiem. Z *Chmurołapem* i *Scyzorykiem* było podobnie – książki zostały przepisane pięciokrotnie. Zawaliłem z tego powodu studia polonistyczne we Wrocławiu. W dodatku usłyszałem od pani dziekan, że filologia polska to nie jest szkółka dla początkujących pisarzy, co mnie przybiło do tego stopnia, że rozważałem studia na wrocławskiej AWF. Zamiast tego wyjechałem do Francji. Na maszynie sporządziłem w 2005 roku trzy pierwsze redakcje księgi czwartej i piątej cyklu *Księstwo*, o Polakach we Francji, które zamierzałem wydać w 2012 roku. Pisząc je, niczego nie zawaliłem, bo już nic do zawalenia nie było.

Niestety, od końca 2005 roku maszyna zaczęła się systematycznie psuć. Najpierw zrobiło się coś

z „kołowrotkiem", który przewija taśmę, potem urwała się literka „B", wreszcie zaciął się wałek przewijający kartki. Raz speca do jej naprawy znalazłem w Lublinie, raz w Kielcach, raz w Krakowie. Specjaliści już się tym nie zajmują – wymarli jak przedstawiciele jakiegoś rzadkiego gatunku. Gdy pod koniec 2006 roku maszyna zepsuła się ponownie, już nie miał jej kto naprawić. Odstawiłem ją do kąta jako relikt z innej epoki i zdecydowałem się na kupno laptopa. Zwłaszcza że urodził mi się syn i nie mogłem w domu hałasować. Na początku 2007 roku napisałem na laptopie pierwszą wersję scenariusza filmowego *Jezus na prezydenta!*. I co? Niestety, chyba nie jest to mój najlepszy tekst. Kiedy w połowie 2010 roku przerobiłem scenariusz na nowelę filmową i wydałem w „Ha!arcie", recenzje były drugoczące, jedyna dobra ukazała się w „NIE". Powód? Pierwsza wersja tekstu wyszła zbyt pięknie. Gdy pisałem na maszynie, nie raz musiałem przepisać całą książkę, żeby poprawić jeden akapit. Przepisanie 10 stron zajmowało mi zwykle cały dzień, może dlatego, że potrafię pisać tylko dwoma palcami, po jednym u każdej ręki. To była ciężka fizycznie robota. Aż zaczęły mi się robić zwyrodnienia nadgarstków od trzaskania w klawisze. Niekiedy w ogóle nie mogłem z tego powodu pisać. Ten morderczy wysiłek był jednak konieczny. Dokonując kolejnej redakcji, przerabiałem gruntownie całe partie książek. Bardzo lubiłem pisać na odwrocie zapisanych wcześniej kartek. Zwłaszcza, jeżeli były to wezwania sądowe, listy komornicze, niezapłacone rachunki. O tak, do pisania na nich miałem szczególną motywację. Znajdowałem też potem chęć, żeby to jeszcze raz przepisać i zniszczyć wreszcie nieudolną pierwszą wersję wraz z wypocinami wszelkiej maści urzędasów. Miałem wrażenie, że dzięki temu dokonuję podwójnej korekty – i tej stricte pisarskiej, i tej życiowej.

A co się stało z moją maszyną do pisania? Zbyt wiele ważnych wspomnień się z nią wiązało, żeby ją bezceremonialnie wyrzucić na śmietnik. Pamiętam, jak woziłem ją autostopem na plecach z Wrocławia do Kielc i z powrotem, i nie miałem już siły jej nieść. Siedziałem czasem razem z nią w przydrożnym rowie i była moją jedyną towarzyszką podróży. Była także jednym z nielicznych mebli w ponurej suterynie, którą wynajmowałem na ulicy Zana w Lublinie. Jej stukot wypełniał całą kamienicę, aż w końcu jej właściciele kazali mi się stamtąd wynieść. We Lwowie, w wakacje 2001 roku użyłem jej jako narzędzia walki – rzuciłem nią w pewnego Ukraińca, zazdrosnego o swoją dziewczynę. No i jest jedyną pamiątką po mojej zmarłej w 2005 roku matce. Gdyby nie kupiła mi tej maszyny za krowie mleko, nie byłoby mnie jako pisarza.

Gdy się urodził Wiktor, pisało mi się trudniej. Było nawet tak, że musiałem się zamykać przed nim w kiblu, żeby pisać. Wtedy brał śrubokręt i groził, że odkręci wywietrznik i tamtędy się do mnie dostanie.

Maszynę trzymam pod moim biurkiem, na którym zwykle stawiam laptopa. Kiedy mój syn miał siedem-osiem miesięcy i już próbował chodzić, zaczął się nią bawić, uderzając rączkami w klawisze. Teraz Wiktor ma cztery lata i, jak wstanie rano, idzie na niej trochę „popisować". Przestraszyłem się nawet, że zostanie pisarzem! Zacząłem go wypędzać na boisko, na bieżnię. Na boisku radzi sobie bardzo przyzwoicie – już teraz zna tricki, które ja opanowałem, będąc dużo starszym. Na bieżni też jest nieźle – podczas czerwcowego XIX Biegu Solidarności w Lublinie zajął drugie miejsce w biegu na 150 metrów, kategoria „Bobasy". Pogratulowałem mu sukcesu, gdy stał na pudle, a on na to: „Tato, przecież to była dla mnie bułka z szynką". Pewność siebie, którą ja osiągnąłem koło trzydziestki. Ale czy pewność siebie w przypadku pisarzy w ogóle jest możliwa?

Niedawno Wiktor przeprowadził na mojej starej maszynie do pisania eksperyment. Postawił ją na środku mojego gabinetu i nasikał do środka. Chciał sprawdzić, czy to nocnik. Wystraszyłem się, że to symboliczny kres mojego pisania. Może jednak ktoś będzie potrafił ją naprawić?

Irena Zielińska

A ludzie...

Natchnione dysputy o życiu i o śmierci
prowadzą
nawet nieśmiertelni
Rozprawiają z rękoma rozchwianymi
ponad Niebem
ponad Słońcem
Mówią o miłości
o nienawiści
i o człowieku zagubionym
na rozdartej ziemi

I ja też...
idąc garbatą drogą – krzyczę
w milczeniu
I wtedy kamienieje Słońce
i ropieją – spadające gwiazdy

A ludzie
patrzą na mnie
z leciutkim zdziwieniem...

Człowieku...

Człowieku, rozejrzyj się
i zobacz!
ile światła czułego jest w spojrzeniu Księżyca
ile w dotyku nocy
delikatnych rąk drzew
ile ramion niby w wątłych gałązkach
Tam ptaki
w woalu fioletowego mroku
uwiły gniazda
Wiesz po co to wszystko jest?!
Po to, by słowo w ciszy nabrało mocy
Po to, by czas Ludzi i Ptaków
nie był pustą otchłanią
ciemną i głuchą
Wyciągnij po to wszystko ręce
a oczy
jak w dobrym śnie
przytul do Piękna...

Tablice moich praw

Wszystkimi barwami światła i kolorami dźwięków
przedzieram się przez czas
ukryty we włosach ciszy
Przychodzi do mnie
o porze wieczornej
i mruży oczy
Wtedy rozpala się horyzont
rozpięty w żaglach Nieba
Przed horyzontem ja
siadam jak ptak na drzewie złotym
Na jego korze piszę moje
Tablice Praw
Używam sympatycznego atramentu
z domieszką jednej kropli
błękitnej
Piszę bo chcę
by było na świecie pięknie
by nie było złości, zazdrości
wojen pomiędzy
człowiekiem a człowiekiem
by człowiek w sobie samym
na strzępy rozdarł
mrok Pychy
i stał się Mądry i Skromny
by umiał słuchać
tak samo
głuchych, samotnych, ubogich
i milczących
jak w krzyku porywistego wiatru
ptaki słuchają
gałązek śpiewających
Piszę...
by człowiek stopiony z muszlą ziemi
poszukujący wciąż miłości
i praw Nieba Gwieździstego
otwierał cud Muzycznej Poezji
tak jak przyzywa
Dobro
i Imię Matki

Piszę...
bo innych praw
i innej miłości
w życiu człowieka
nie było, nie ma i nie będzie

Tren

Mojej Kochanej Siostrze Mirce

Tylko spójrz w czas dzieciństwa siostro
jak my
małe dziewczynki w kusych sukienkach
wrastałyśmy w zaułki białego nieba
jak wchodziłyśmy krokiem leciutkim
tanecznym jak obłok
w sieć pejzaży kwitnących
Na łąkach świtu
małymi paluszkami
rwałyśmy żółte kaczeńce
i słońca mniszków lekarskich

Teraz noc
i Twoja gwiazda zgasła
a przecież miało być inaczej
spadła
wprost w ręce odchodzącego wiatru

Dzisiaj tak mało we mnie przestrzeni
nieskończonej
więc wchodzę w wydrążoną przez ciemność
Dolinę Twojego Snu
i płaczę

Siostro
już zawsze będę powracać
nad uśpiony brzeg
wsłuchana w smutek rozstań

Aż moja własna
gwiazda ściemnieje
zostawiając ślady na białej trawie...

Małgorzata Stachowiak-Schreyner

Jak Pan Bóg zjadł moją babcię

Chrrrup, chrrrup, chrrrup... – miarowe, monotonne, metodyczne.

Chrrrup. I ostatnia trzepocząca, kosmata nóżka ofiary znika w różowym pyszczku, za rzędem lśniących kłów drapieżnika. Kot jest łaciaty jak krowa i wielki jak krowa, no może jak cielę. Mruczy. Zawsze mruczy po udanym polowaniu, głośno jak elektryczny silnik. Zawsze mruczy po tym, jak kolejna przywleczona z parapetu za oknem ćma chrupie mu w mordce. Poluje na nie pasjami w jakiś zadziwiający, sobie tylko znany sposób. Siedzi w mroku za oknem bez ruchu i wykonuje tylko nieznaczne – kłap! Zaczynam podejrzewać, że wabi je odblask w kocich oczach. Maciuś. Chyba już piąty Maciuś, ale najbardziej charakterny. Kot jest jedynym ruchomym elementem w tym dryfującym pokoju-arce zawieszonym w jakimś praczasie nieulegającym żadnym zmianom i przesunięciom. Nawet powietrze tu jest inne niż gdziekolwiek. Nawet światło, padając przez szydełkową firankę, filtruje się w jakiś miękki film na skórze starej komody i tylko tu jest właśnie takie. Czasem myślę, że całe moje poczucie bezpieczeństwa opiera się na niezmienności tego pokoju. Na tym, że plastikowa Matka Boska do wody święconej, z odkręcaną koroną stoi zawsze za paprotką, a zdjęcie papieża, które kiedyś podlałam zamiast niej, przed. Że przywieziony ze Lwowa obtłuczony wazonik z miśnieńskiej porcelany, anioł z połówką skrzydła, poniemiecka makatka z bukietem jedwabnych róż, wyszytym pieczołowicie przez jakąś pracowitą frojlajn, bukiet owsa, gdzie każde ziarenko na gałązce owinięte jest osobnym sreberkiem z papierka po maśle ekstra śmietankowym, ustawiony przed Matką Boską Częstochowską, to boje wyznaczające granice azylu. Na masywnej sieniowej szafie moje malunki woskowymi kredkami sprzed dwudziestu lat, w dolnej szufladzie album z przedwojennym światem udrapowanym blaszanymi klipsami w gustowne fale. Świat kobiet o porcelanowych twarzach, mężczyzn w garniturach i lnianowłosych dzieci, z których tylko moja matka przemknęła się w napuszonym od gęsiego puchu becie poza rok 1945. Przy albumie jest wyprawka na cmentarz. Brązowa sukienka, brązowe buty, chustka, pończochy. Babcia twierdzi, że czerń jest zarezerwowana dla księży i zakonnic. Siedzę na krześle. Na tapczanie się nie siada. Na tapczanie jest pierzyna, na pierzynie poduszki, na poduszkach kapa, na kapie serweta, na serwecie lalka w dzierganej z wełny falbaniastej biało-czerwonej sukni. Tak było, jest i będzie. Układanie pościeli w skrzyni tapczanu to fanaberia. Na tapczanie siadam tylko wtedy, kiedy zalewam się łzami, bo jestem głęboko nieszczęśliwa. Babcia siada obok, głaszcze mnie po głowie i mówi:

– Toż to nie jest żadny niszczęście... Jak bomba na dom spadnie i ludzi pozabija to to tak, a tak ni ma czegu płakać – życie ani do płaczu, ani do śmiechu, tylko do przyjęcia. Modlić się trzeba, Margosia, modlić.

Tysiące razy wyobrażałam sobie, jak wkraczam do tego matriksa i oznajmiam:

– Babciu, jestem w ciąży... Babciu, mam AIDS... Babciu, zostały mi dwa tygodnie życia... – i słyszę nieodmienne:

– Toż to nie jest żadny niszczęście...

I faktycznie te moje nieszczęścia jakoś nie dawały rady dorównać bombie i rozwiewały szybko, choć jakoś obywały się bez modłów.

Szur, szur, szur – filcowe kapcie trą o wykładzinę na przedpokoju. Babcia w nieśmiertelnym, stylonowym fartuchu niesie kubek w różyczki z rumiankiem. Kocham kubek w różyczki i te dwa białe bez różyczek też. Te tam, co stoją przed zmatowiałym lustrem. W jednym jest woda z cukrem do zaczesywania na gładko doskonale okrągłego koka na czterech szpilkach, a w drugim nocują zęby... Ten koczek i okulary w grubych ciemnych oprawach z lat 60. to chyba moje pierwsze wspomnienia. Babcia to wszystko, co pierwsze: pierwsze piosenki, moje pierwsze kroki, pierwsze słowa. Zawsze była najbliżej. Trochę trudna z tą swoją szorstko wrażliwą naturą bywalczyni obu światowych wojen, choleryczna, pyskata, czasem boleśnie za szczera, z głową pełną wiedzy, której nie dają żadne szkoły, a tylko długie, pokręcone życie. Uczyła nazw kwiatów, pieczenia drożdżowych bułek, dziergania szalików. Robienia alchemicznych, czarownych konfitur z czereśni smażonych i studzonych dziesięć razy, śpiewania litanii i trzaskała po łbie kuchenną ścierką za co ważniejsze zasługi.

Właśnie po to tu jestem. Po oprotestowaniu, że – owszem – mogę poczytać, ale śpiewać to nie ma mowy, mam robić za księdza, czytając litanię loretańską. Chciałam się wykręcić. Kupiłam jej radiomagnetofon i nagrałam na kasetę wszystkie niezbędności. Nie przeszło – to to jeszcze prądem kopnie. Babcia nie widzi liter. W ogóle nie widzi lewym okiem. Guz powoli poszerza wielkość opatrunku, który jeszcze rok temu był małym plasterkiem, a dziś bandażami na prawie pół twarzy. To niezłośliwy guz, ale żaden lekarz nie zoperuje dziewięćdziesięciopięciolatki, żeby sobie nie spieprzyć statystyk. Zapach rivanolu i innych niezidentyfikowanych medykamentów coraz bardziej drażni nos. Babcia znika. Z każdą moją wizytą jest jej mniej. Najpierw przeźroczyście je i staje się krucha jak chińska filiżanka. Potem nasyca się światłem, które przeświytywać zaczyna przez pergaminową skórę. Na koniec zaczyna drogę powrotną, rozmawia ze zmarłymi dziećmi, matką, ciotką i staje się małą, chorą dziewczynką pod olbrzymią pierzyną, a potem nieruchomą lalką, która przez lata siedziała na szczycie tapczanowych betów.

Nie mogę uwierzyć w nieistnienie człowieka, który trzyma mnie za rękę, nie mogę uwierzyć w nic.

Chrrrup, chrrrup, chrrrup – marcowy, jeszcze lekko zmrożony żwir trzaska o sosnową trumnę. Trzaska i chrzęści gdzieś między zwojami w samym środku mózgu. Nie ma już nikogo – kopczyk. Grabarze trzaskają łopatami, a najgorliwszy zaczyna butem przydeptywać wkoło miejsca na osadzenie drewnianej ramy. Pomiędzy zażwirowanymi synapsami pęcznieje we mnie krzyk:

– Nie depcz po mojej babci, skurwysynu!

Czuję, jak powietrze się zatrzymuje. Kilkadziesiąt zgorszonych spojrzeń wbija się we mnie jak szpilki w laleczkę voodoo. Dużo ich. Załatwiła sobie frekwencję jeszcze za życia szantażem. Obiecała zostać nocną zmorą nieobecnych. Przy jej charakterku woleli nie sprawdzać. Wycofuję się jak osaczone zwierzę, patrząc w oczy pierwszej z brzegu, zgorszonej ciotce. Dopiero w alei zauważam, że ludzie w tym roku na grobach oprócz bukietów z bazi i sztucznych żonkili, obok pękatych plastikowych zniczy w kształcie pisanek, rozkładają grające, wielkanocne kartki. Teraz, z każdej strony dociera do mnie ich metaliczne brzęczenie, które powoli zmienia się we wszechobecny pomruk. Mruczenie zadowolenia po udanym polowaniu, głośne jak elektryczny silnik.

Bądź

byłeś dla mnie tylko czworokątem papieru
lecz moje serce ma właśnie taki kształt
(H. Poświatowska)

bądź mi prostokątem papieru
pogniecionym wymiętym
kawałkiem ludzkiego serca
bądź
bijącym rytmem
w mej pościeli
rozgość się

nim nadejdzie czerwień
wschodzącego słońca
wypełnij ustami doliny obojczyków
rozgrzane komórki nagiego ciała
dotykiem
uśpij

***

wczorajszej nocy słowami *kocham cię* wycieraliśmy
lepkie resztki wyrzutów sumienia
stygnące bezbarwnie na naszych nagich podbrzuszach

tkwimy zawieszeni po obu stronach naprężonej
do granic możliwości nici zaufania
paradoksalnie to nie sobie przyszło nam ufać

dziś w dość wyrachowany sposób wyruszymy
przetartym rutyną
szlakiem zagnieceń pościeli

nad Soliną znów wzejdzie słońce

Renata A. Thiele, *z domu Ćwirko-Godycka*

Ożenek wschodnio-zachodni

Część I

– Pani, Szw... Śtsz... eh, niech pani wreszcie wyjdzie za mąż, najlepiej za Niemca, żebyśmy mogli wreszcie wymówić pani nazwisko. To przecież czyste szaleństwo! – błagał mnie kiedyś jeden z moich lekarzy.

O nie! To nie szaleństwo, tylko moje piękne polskie nazwisko. I do tego szlacheckie, dwuczłonowe! A w ogóle to dlaczego mam wychodzić za jakiegoś Niemca, tylko po to, żeby ułatwić komuś życie?!

Jednak tak właśnie się stało. Wyszłam za mąż za niejakiego Thiele. Thie-le! Bez *von* i bez *zu*. Dwie sylaby! Podczas gdy moje nazwisko panieńskie miało ich pięć! Ilekroć mnie gdzieś wywoływano, siedziałam nieporuszona, nie czując się tożsama z usłyszanym nazwiskiem. Często ignorowałam je, podświadomie czekając na więcej. Choć jedną jedyną sylabę więcej. Ale nic nie nadchodziło. Tylko te dwie sylaby. Chciałam wpierw zachować moje nazwisko z jakimś tam przemyconym dyskretnym domyślnym *von*, tym bardziej że wszystkie litery pasowałyby nawet na druczki bankowe i inne, określone limitem miejsc, ale mój jeszcze nie-małżonek na takie dictum popukał się znacząco w czoło, po czym zasugerował, żebym o tym zapomniała, i to jak najszybciej. Chyba miał rację, ale trudno mi było ją zaakceptować bez walki. Dwa lata trwał bolesny proces przyzwyczajania się do nowego, krótkiego nazwiska.

Renata A. Thiele, *geb. Ćwirko-Godycka*

Ein west-östliches Heiratsritual

Teil I

Übersetzt und zielgruppengerecht angepasst von der Autorin

„Frau Tschw... Schwi... ähm ... ähm, heiraten Sie doch, am besten einen Deutschen, damit wir Ihren Namen endlich aussprechen können. Das ist ja ein Wahnsinn!" – bekniete mich einmal mein deutscher Hausarzt.

Na, na, na, nur kein Wahnsinn! Es ist oder war mein schöner polnischer Nachname! Und warum sollte ich ihm diesen Gefallen tun und einen Deutschen heiraten? Das wollte ich nie! Einen Helmut?! Die würden dann nur über mich lachen – in Polen. Nein! Nein. – Doch?

Doch, so geschah es. Ich habe geheiratet, obendrein noch einen Thiele. Ohne von und ohne zu. Thie-le: schlappe zwei Silben! Mein Mädchenname bestand, wie es sich für jede Blaublütige gehört, aus zwei Teilen, mit einem eleganten Bindestrich verbunden – und insgesamt aus fünf Silben! – Nicht zwei! Immer wenn ich nach dem Namenswechsel irgendwo aufgerufen wurde, reagierte ich mit einem gewissen Zögern. Ich war mir nicht sicher, ob die wirklich mich meinten. Sicherheitshalber wartete ich noch auf einen Nachschlag, ein Silbchen, mochte es auch noch so kurz sein – aber es kam nichts. Es waren nur die zwei fremden Silben! Zuerst dachte ich daran, dem neuen deutschen Namen noch meinen Mädchennamen mit einem diskreten von dranzuhängen. Ich hatte mich sogar vorher vergewissert, dass alle Buchstaben in jedes Formular oder Vordruck mit Buchstabenfeldern exakt

Tak, wyszłam za mąż za Niemca. Kiedy znajomi w Polsce dowiedzieli się o tym, śmiechom nie było końca: – No to jak, i jednak wyszłaś za jakiegoś Helmuta?! Tłumaczyłam cierpliwie, że nie ma na imię Helmut, ale nie pomagało. Oni po prostu wiedzieli lepiej. A potem jeszcze: – Ty wyszłaś za Helmuta, a Wanda tego nie zrobiła.

Zgadza się, i to w dwójnasób. Gdyby bowiem Wanda wyszła za mąż, wyszłaby za niejakiego Rüdigera, a nie Helmuta i żyłaby z nim, aż śmierć by ich rozdzieliła, zadana pomocną ręką lub, że tak powiem, z samości, czyli z woli losu. Innych powodów do rozdzielenia, czyli rozwodu wtedy jeszcze nie znano. Przed 700 laty. To znaczy, można się było jeszcze wykupić, ale na tym ucierpiałby też honor, a honor to – wiadomo – rzecz ważna. A czasem nawet jedyna, jaka pozostaje do dyspozycji, kiedy zawiodą inne środki samoobronne.

Powiadają bowiem, że przed 700 laty żyła w Krakowie, kiedy był on jeszcze stolicą Polski, pewna Wanda, która wolała się rzucić do Wisły i w niej utopić, aniżeli wyjść za tego faceta. Proszę Was, młodzi Czytelnicy, nie mylić tej Wandy z rybką zwaną Wandą, gdyż ta, jak wiadomo pływać umiała, a nasza Wanda nie – i stąd właśnie ta tragedia. A Rüdiger nie darował tej zniewagi i zemścił się na Polsce, rozpętując krwawą wojnę. Tak przynajmniej opowiada legenda.

A swoją drogą, to były kobiety! Dumne, śmiałe i nieustępliwe. Nie w każde ręce oddawały swoje życie. Teraz wszystko się zmieniło. Teraz wychodzą za tych Helmutów, rodzą im dzieci, gotują, prowadzą dom – to wręcz niesamowite! Opowiadają też, że czasem są z nimi nawet bardzo szczęśliwe. Ale może to tylko plotka? Nie wiadomo. Niemcy, choć to też tradycjonaliści, myślą w tej kwestii bardziej pragmatycznie niż Polacy. Nazywają swoje żony lub mężów współtowarzyszami na pewnym odcinku życia. Widać mają swoje, nie zawsze przyjemne, doświadczenia i pożegnali się już dawno z iluzjami. Niektórzy żyją najpierw razem na próbę. Ponieważ mieszkań jest wystarczająco dużo, więc wyprowadzają się wcześnie od rodziców i łącząc sią w pary, dzielą wnet stół i łoże.

Lecz życie na próbę z obcokorajowcem było w Niemczech w tamtych czasach – czyli piętnagepasst hätten. Mein Liebster aber klopfte sich bedeutungsschwer auf die Stirn und schlug vor, dies so schnell wie möglich zu vergessen. Er mochte sicherlich recht haben, aber ich konnte meinen Namen, mit dem ich groß geworden war, nicht ohne inneren Kampf aufgeben. Es hatte zwei Jahre gedauert, bis ich seinen Namen als meinen endlich akzeptierte.

Ich habe also einen Deutschen geheiratet. Als meine Bekannten in Polen davon erfahren hatten, hieß es dann: Na, und du hast doch einen Helmut geheiratet! – Deutsche Männer heißen in Polen übrigens einfach alle Helmut. Der Inbegriff eines deutschen Mannes. Für Frauen gilt entsprechend Helga – auch nicht gerade der Renner bei der Namenswahl für ein Mädchen heutzutage in Deutschland. Nun erklärte ich immer wieder geduldig, dass er nicht so hieß. Egal, alle wussten es besser. Und dann kam noch: – Du hast einen Helmut geheiratet und diese Wanda damals hatte das nicht getan. Das stimmte. Das stimmte sogar zweifach. Wenn sie nämlich geheiratet hätte, hätte sie mit einem Rüdiger zusammen gelebt, und nicht mit einem Helmut, bis dass der Tod sie geschieden hätte, mit oder ohne menschliches Zutun. Einen anderen Scheidungsgrund kannte man ja damals nicht. Vor 700 Jahren. Das heißt, man hätte sie noch freikaufen können, da hätte aber die Ehre darunter gelitten, und die war und ist ein wichtiges Gut. Manchmal sogar das Einzige, das einem am Ende bleibt, wenn alles andere versagt.

Welche Wanda, werden Sie jetzt fragen. Das ist ganz einfach zu erzählen. Es heißt nämlich, dass es vor 700 Jahren eine Wanda in Krakau gegeben hatte, als Krakau noch Hauptstadt von Polen war. Sie wollte einen Deutschen nicht zum Ehemann nehmen und sprang lieber in die Weichsel – das ist ein Fluss in Polen, der polnische Rhein sozusagen – und lieber ertrank, als sich mit diesem Mann verheiraten zu lassen. Verwechseln Sie sie jetzt bitte nicht mit dem Fisch namens Wanda, denn dieser konnte ja schwimmen und unsere Wanda nicht – das war ja die Tragödie. Rüdiger rächte sich dann an Polen mit einem blutigen Kriegszug. So will es die Legende.

Aber andererseits – das waren noch Frauen, damals! Voller Stolz, Mut und Unnachgiebigkeit. Jetzt ist alles anders geworden. Jetzt heiraten sie einen Helmut, bekochen ihn, schaffen ihm ein richtiges Heim und zeugen sogar Kinder mit ihm – das ist ja schier unglaublich! Man erzählt, dass manche sogar mit einem glücklich sind. Aber vielleicht

ście lat temu – z przyczyn prawno-pobytowych raczej niemożliwe. Zgodnie z powiedzeniem *albo rybki, albo akwarium* trzeba było zdecydować się na ostateczność, czyli ślub, bo próbne pożycie przedmałżeńskie nie stanowiło wystarczającego powodu dla wydania zezwolenia na pobyt przez urząd dla obcokrajowców, o nie. Nawet pomijając płonne oczekiwania, że to próbne pożycie mogłoby dać definitywną odpowiedź, jakąś pewność, wszystko jedno, w którą stronę. Nigdy nie wie się bowiem, co z takiej próby wyjdzie. Wiadomo tylko, że czasem się owa udaje. A to niewiele! Ślub po okresie próbnym również nie gwarantuje udanego małżeństwa.

Ja i tak mam wrażenie, że ślub sam w sobie zmienia wszystko, obojętnie jak długo żyło się wcześniej razem i jak długo znało się partnera. Coś się zmienia, mimo że wygląda i smakuje tak samo. Ślub jest progiem do ciemnego nieznanego wnętrza, a wątłe światełko gdzieś w kąciku daleko od drzwi można rozpalić i pielęgnować tylko połączonymi siłami. Albo progiem do banku: przed zawarciem transakcji obiecuje się nam oszałamiające odsetki, zabezpieczenia przed wahaniami rynków, niskooprocentowane kredyty. Małżeństwo, proszę Państwa, to jak inwestycja w akcje z dużym potencjałem ryzyka i za kredyt gwarantuje się życiem, lub przynajmniej jego częścią.

Ale my naprawdę chcieliśmy żyć razem – albo przynajmniej spróbować. I za to ryzyko gotowi byliśmy się zastawić. Jednak najpierw musieliśmy przejść razem przez wiele przeszkód organizowanych zwyczajowo przez urzędy w obu krajach, które jakby chciały wystawić naszą intencję na ostateczną próbę. A zaczęło się od specyficznych formalności – bardzo dziwnych, w przypadku obcokrajowca. No, bo czy znacie Państwo, sformułowanie „poświadczenie o zdolności do ożenku" (*Ehefähigkeitszeugnis*)? Kto to wymyślił? Co ma oznaczać zdolność do ożenku? Że się umie powiedzieć na ślubie w odpowiednim momencie „tak"? Albo, że się jest w stanie żyć w stanie – małżeńskim? W Niemczech, gdzie co drugie małżeństwo rozpada się po kilku latach? I nie wszystkie rozwody przebiegają pokojowo. A jeśli akurat tak, to można taki rozwód przygotować wstępnie przez internet? ist das nur ein Gerücht? Man(n) weiß es nicht. Deutsche, obwohl sie auch teilweise sehr traditionell sind, nehmen diese Sache etwas nüchterner. Sie sagen einfach, ein Ehemann ist lediglich ein Lebensabschnittsgefährte. Und dasselbe gilt natürlich für eine Frau. Vielleicht haben sie einfach ihre Erfahrungen gemacht und sind desillusioniert. Vielleicht liegt es an der Erziehung. Einige leben mit ihren potentiellen Partnern zuerst probeweise. Manchmal fünfzehn Jahre lang. Man kann ja nie wissen ... Da es genug Wohnungen gibt, verlassen sie relativ früh das Haus ihrer Eltern und ziehen zusammen, um Bett und Tisch zu teilen.

Doch ein Zusammenleben eines Deutschen mit einer Ausländerin auf Probe ging damals – vor fünfzehn Jahren – aus aufenthaltrechtlichen Gründen nicht. Entsprechend dem Prinzip Entweder-oder musste man sich direkt und endgültig entscheiden, also gegen oder für eine Eheschließung, denn Leben auf Probe war kein ausreichender Grund für die Ausstellung der Aufenthaltsgenehmigung durch die Ausländerbehörde, o nein. Und diese Aufenthaltsgenehmigung war ja notwendig, um überhaupt zusammenleben zu können. Also ein Teufelskreis erster Güte. Mal abgesehen von dem Wunschdenken, das man mit einer Probezeit dieser Art verknüpft. Denn man weiß ja nicht, was daraus wird, man weiß nur, dass es eben manchmal klappt und manchmal nicht. Aber das Letztere passiert eher den anderen, uns doch nicht. Wir kriegen das schon hin. Na klar!

Eine Heirat nach einer Probezeit garantiert auch nicht, dass die Ehe später funktioniert. Ich habe sowieso das Gefühl, dass sich nach der Heirat alles ändert, egal wie lange man vorher zusammenlebte und wie gut man sich kannte. Irgendetwas ist anders, auch wenn es gleich aussieht und sich gleich anfühlt. Die Eheschließung ist wie eine Schwelle zu einem dunklen Raum, den wir nicht kennen, und das blasse Lichtlein irgendwo weit weg in einer Ecke kann man nur gemeinsam erreichen und hüten. Oder es ist wie eine Schwelle zu einer Bank: vor dem Vertragsabschluss verspricht man uns hohe Zinsen, alles scheint gesichert gegen Konjunkturschwankungen, und Kredite werden mit niedrigen Zinsen verliehen. Doch die Ehe ist, meine Herrschaften, eine Investition in ein Aktienpaket mit einem hohen Risikoanteil und für ein Kredit haftet man mit dem eigenen Leben, oder zumindest einem Teil davon.

Man muss also Nägel mit Köpfen machen, wenn man sich auf eine Ausländerin einlässt. Nix, von wegen ein

Wszystko ustalić, ściągnąć formularze, wyszukać adwokata – bez opuszczania biura czy domu. To bardzo praktyczne, zaoszczędza się w ten sposób czas, no i jest bardzo wydajne. A *praktycznie*, *oszczędnie* i *wydajnie* to przecież słowa-klucze naszych czasów.

Musiałam więc udowodnić tę moją „zdolność do ożenku" – oczywiście w Polsce. W katolickiej Polsce! Nie zrobiwszy nawet kursu przedmałżeńskiego w kościele, gdzie kwit o odbytym kursie jest prawie najważniejszy w tym wszystkim. Inaczej ksiądz się obrazi i ślubu nie da. Gdyby tutaj w Polsce wiedzieli, ile ja już z tym moim Helmutem tak żyłam w grzechu, czyli we wspólnym mieszkaniu, od razu obłożyliby mnie klątwą. Żadnego ślubu w bieli, tylko cywilny w USC. No jak to tak?! Choć z drugiej strony gdyby tak dyskretnie pomóc księdzu w podjęciu pozytywnej decyzji..., ale to inny etap starań.

Póki co zapukaliśmy do drzwi w urzędzie zmiany stanu. Szczęśliwym trafem okazało się, że pani w urzędzie kompletnie nie interesuje moje życie seksualne ani też żaden Helmut, za którego chcę wyjść za mąż. Choć na zapas wzięłam go ze sobą, żeby widzieli, że to porządny facet. Siedział mój przyszły grzecznie obok mnie i uśmiechał się niewinnie, czym zaskarbił sobie już przyjaźń wszystkich moich znajomych, że o zachwytach rodziny nie wspomnę. Pani w urzędzie też była chyba nim zachwycona, bo bez przeszkód wypisała mi odnośny kwit, który po uiszczeniu opłaty powędrował do mojej torebki.

Po przedłożeniu wszystkich, ale to wszystkich dokumentów w niemieckim urzędzie stanu cywilnego mogliśmy wybrać dzień ślubu. Ponieważ oboje jesteśmy zmarzluchami, wybraliśmy koniec czerwca. Na pewno będzie ciepło. – I było. Ale żeby aż tak?! 36°C!

I tak staliśmy przed odnośnym urzędem – na dworze 36°C. Pociłam się, nie wiedząc, czy to ze strachu, czy z gorąca. On też uśmiechał się niepewnie i też się pocił. I może też nie wiedział dlaczego. Tylko nasi przyjaciele cieszyli się bezgranicznie, że w końcu dałam się zaobrączkować. Przed nami ślub wzięła para Chińczyków. On w garniturze ze śmigłem pod brodą, ona w długiej, różowej ozdobionej

bisschen rumprobieren. Und vorher muss man noch gemeinsam durch alle Hindernisse durch, die einem Behörden in beiden Ländern in den Weg stellen, als wollten sie die schönen Absichten auf die allerallerletzte Probe stellen, hindurch.

Die Formalitäten, die ich erledigen musste, bevor ich bei der Trauung schwitzte, waren auch sehr merkwürdig. Kennen Sie den Begriff „Ehefähigkeitszeugnis"? Wer hat sich das ausgedacht?! Fähig zu ehelichen? Fähig, in einer Ehe zu leben? In Deutschland, wo jede zweite Ehe nach ein paar Jahren geschieden wird?! – Und nicht alle Paare gehen einvernehmlich auseinander! Aber wenn doch, dann können sie jetzt eine Scheidung sogar per Internet initiieren und schon im Vorfeld alles klären, Formulare downloaden, einen Anwalt aussuchen, ohne die Wohnung zu verlassen. *Praktisch, zeitsparend und effizient* – das sind die Schlüsselwörter unserer Zeit, die überzeugen.

Ich musste mir also meine Ehefähigkeit bescheinigen lassen – selbstverständlich in Polen! Im katholischen Polen! Dabei hatte ich nicht einmal einen auf die Ehe vorbereitenden Kurs beim Pfarrer absolviert. Ja, so etwas macht man in Polen. Die meisten heiratswilligen Paare bestehen diesen Kurs, aber es kann auch hart werden. Mancher Pfarrer fühlte sich, zumindest damals, zu einer Indoktrination verpflichtet und forderte Sachen, die für junge Menschen Ende des 20. Jahrhunderts gelinder ausdrückt als längst überholt vorkamen. Schlimmer noch, wenn sie falsche Fragen stellten. Empfängnisverhütung war zum Beispiel ein absolutes Tabuwort, pfui Teufel! Der Pfarrer hatte dazu immer eine Antwort parat, dass es dem einen oder anderen die Sprache verschlug. Aber wenn alles ausgestanden war, dürfte man mit der Bescheinung über die Teilnahme an diesem Kurs Heiratspapiere in der Pfarrei einreichen. Ansonsten war der Pfarrer beleidigt wegen der Nichtbeachtung seines Amtes und – vielleicht auch seiner Erfahrung. Worin auch immer. Wenn die in Polen gewusst hätten, dass ich mit meinem Noch-nicht-Ehemann bereits in der so genannten eheähnlichen Gemeinschaft lebte, hätten sie mich erst einmal mit einem Bann belegt. Nix in Weiß heiraten! Auch nicht in der Kirche. Nur auf dem Standesamt. Wie hört sich das denn an?!

Na ja, es waren doch nicht alle so streng – das Standesamt in Polen kümmerte es herzlich wenig, welchen Helmut ich heiraten wollte, und was ich bis dahin mit ihm gemacht hatte. Den hatte ich übrigens direkt dabei, damit

tysiącem falbanek sukni. Spróbowałam – ale tylko krótko, bo gorąco – wyobrazić sobie, jak ona w tym upale czuje się w tej sukni. Gdyby teraz zemdlała, nikt nie dowiedziałby się dlaczego – z powodu upału czy wrażeń.

Potem, gdy my staliśmy przed sympatyczną urzędniczką, zawirowało mi w głowie, kiedy miałam powiedzieć „Ja". Miałam wrażenie, że to ktoś inny miał powiedzieć, ale mnie wypchnęli na scenę. Bąknęłam więc cicho to „Ja" i ze łzami w oczach za bezpowrotnie odchodzącą z mego życia wolnością, co mój już małżonek odczytał jako wzruszenie z okazji tej ważnej dla nas chwili, spojrzałam na poślubionego mi oto pana Thiele. On pochwycił mnie po rycersku w talii, przyciągnął mocno do siebie aż do bólu w kręgosłupie i ucałował, jak przystało na tę okazję. Pociągnęłam dyskretnie nosem i udrapowałam ramiona na jego szyi. Wszyscy byli zachwyceni. Potem to już tylko formalka, podpisik, świadkowie koronni, kwiatki, szampanik, zdjęcia, objęcia, wilgotne ucałowania cioteczek – i znowu upał. Po wyjściu z urzędu doznaliśmy szoku termicznego, choć ubrani byliśmy bardzo niekonwencjonalnie czyli bardzo, ale to bardzo lekko – on w stylu lat pięćdziesiątych, ze śmigłem pod gardłem, a ja w stylu złamanym, ale za to bardzo przewiewnie.

Mój Niemiec i ja

Wyszłam za Niemca. Byłam całkowicie przekonana, że będziemy udanym małżeństwem. Ale która z nas nie jest? W końcu był miły, kochany. Tylko z manierami coś nie za bardzo. Na przykład nie rozumiał, że należy kobiecie pomóc założyć płaszcz. W Niemczech za próbę takiej pomocy zebrałby w najlepszym przypadku fuknięcia jakiejś wyemancypowanej koleżanki. W tym kraju walkę o emancypację kobiety przeprowadziły konsekwentnie. Jednym z następstw, którego nie przewidziały, jest to, że w ich nowym porządku społecznym zapomniały przygotować wskazówki dla mężczyzn, jak mają się w danej sytuacji zachowywać. A mężczyźni, wiadomo, bez wskazówek ani rusz. Ofuknięty kilka razy nawet najoporniejszy facet kiedyś w końcu jednak co nieco zrozumiał i zaakceptował, rujnując wiekowe zasady savoir-vivre'u – niestety. Niestesie sich überzeugen konnten, dass ich tatsächlich einen hatte, der bereit war, mich zu ehelichen. Meine Mutter hatte da nämlich Zweifel, ob er mit mir eine gute Wahl getroffen hatte. Nur gut, dass sie kein Deutsch und er kein Polnisch sprachen. Er saß also ganz brav neben mir auf dem Amt, lächelte freundlich, womit er schon meine Mutter und alle meine Bekannten für sich gewonnen hatte. Die Standesbeamtin lächelte zurück – wieder also eine, die seinem Charme erlegen war. Das Dokument wechselte gegen eine geringe Gebühr die Schreibtischseite. Wir konnten gehen.

Als endlich alle Dokumente vorlagen, penibel geprüft, durften wir uns beim Besuch im deutschen Standesamt einen Termin aussuchen. Wir sind beide Frostbeulen, also beschlossen wir Ende Juni zu heiraten. Da würde es bestimmt warm sein. Das war es auch – mussten es aber 36°C sein, lieber Gott?

Der Tag der Trauung war gekommen. Wir standen vor dem Standesamt, in der Hitze des Tages – ich schwitzte und wusste nicht, ist das die Angst oder die Sonne? Er lächelte unsicher und schwitzte und wusste vielleicht auch nicht, warum. Nur alle anderen freuten sich unverschämt offen, mich endlich unter der Haube zu wissen. Vor uns war ein asiatisches Paar getraut worden: Er in einem Anzug mit einer Fliege unterm Kinn, sie in ein rosarotes langes Kleid mit tausend Rüschen. Ich versuchte mir – aber nur ganz kurz, weil es je heiß war – vorzustellen, wie sie sich an diesem Tag in diesem Kleid fühlte. Und mir wurde schwindlig. Wenn sie jetzt in Ohnmacht fiele, dächten sowieso alle, das wäre wegen der Hitze da draußen und nicht wegen der Emotionen.

Dann waren wir an der Reihe und mir wurde schwindelig, als ich „Ja" sagen sollte. Ich dachte, jemand anders sollte es sagen, ich aber wurde aus Versehen auf die Bühne geschubst. „Ja" murmelte ich also leise, mit Tränen in den Augen, die ich der Freiheit hinterher vergoss, die mein Leben nun unwiederbringlich verlassen würde. Und welche mein Liebster als Zeichen der Rührung verstand angesichts des wichtigsten Moments in unserem Leben. Ich sah nun den mir anvertrauten Herrn Thiele an. Er umarmte mich wie ein Ritter und zog an sich, bis sich mein Kreuz mit einem leisen Knacken meldete, und dann küsste er mich, wie es sich in einem solchen Augenblick gehörte. Ich schniefte leise und legte ihm meine Arme elegant um den Hals. Alle klatschten begeistert. Dann kamen nur Formal-

ty dla mnie, gdyż ja dotychczas znałam wersję z pomocnym męskim ramieniem, tak jak moja mama i wcześniej babcia. Czasem więc zdarzało się mojemu ukochanemu zapomnieć o podaniu mi płaszcza. Nie oburzałam się jednak, lecz z uśmiechem wciskałam mu go w rękę. I to działało. Po prostu rozumieliśmy się bez słów.

Albo na przykład nie pamiętał, kiedy należy przepuścić kobietę w drzwiach. Wiem, wiem, zaraz ktoś powie: „Tak, ale jak się wchodzi do restauracji, albo knajpy, to ..." – Panowie! Ja tu mówię o damie i o kiedy, a nie o knajpie.

Kobietę oczywiście przepuszcza się w drzwiach do bezpiecznych pomieszczeń, przy czym pojęcia bezpieczne nie będziemy tutaj wyjaśniać. Niech wystarczy na przykład dom. A co robił mój ukochany? Otwierał drzwi – i wchodził. A drzwi milcząco i posłusznie szły jego tropem aż do mlaśnięcia zamku. Czasem jednak zatrzymywałam je w drodze ramieniem i zastanawiałam, jak nauczyć tego bezboleśnie kochanego mężczyznę, żeby się jednak zachował, wiedząc, że ma zadatki?

Metoda jest prosta i wdzięczna, a przede wszystkim skuteczna. Należy poczekać przed drzwiami, aż drzwi się zamkną, a on zauważy, że nie ma nas w pomieszczeniu. Trochę to potrwa, zanim rozpozna sytuację, ale opłaca się. Wypadnie wtedy po chwili z drzwi: Kochanie, gdzie jesteś? Dlaczego nie weszłaś? – zdziwi się autentycznie, naprawdę. Proszę Was, drogie Panie, nigdy nie odpowiadajcie na to pytanie! Uśmiechnijcie się po prostu i wejdźcie do środka.

Jest jeszcze inna metoda, wymaga ona jednak założenia ciemnego ubrania, a utrata jakości nie może stać się nigdy przyczyną późniejszych niesnasek. Należy odczekać w tym przypadku moment, kiedy nasz ukochany otworzy drzwi i szybciutko, jednocześnie z nim, wcisnąć się w ramy drzwi. To świetna zabawa, utknąć tak we drzwiach razem z nim – i niezapomniane przeżycie. A naszemu związkowi nie zaszkodzi to w żadnym wypadku.

Wiem, wiele niemieckich, a może nawet i polskich emancypantek zaprotestuje w tym momencie: To ja tyle walczyłam o równouprawnienie i teraz mam je tak po prostu oddać? W końcu nie jestem itäten, hier eine Unterschrift, da die (Kron)Zeugen, Blumen, Sekt, Fotos, Umarmungen und feuchte Küsschen der Tanten – und wieder hatte uns die Hitze. Als wir das Standesamt verlassen hatte, ergriff sie uns mit ganzer Kraft – ein Schock, obwohl wir ganz leicht und ebenso unkonventionell gekleidet waren – er im Stil der 50er, mit einem Propeller am Hals, ich im Stil der 80er, dafür sehr luftig.

Mein Helmut und ich

Ich hatte also einen Deutschen geheiratet, um mit ihm zusammen zu leben. Ich war fest davon überzeugt, ich werde auch mit meinem Helmut glücklich. Er war ja im Prinzip sehr nett. Es mangelte ihm allerdings ein bisschen an guten Manieren, wie wir sie verstehen, aber er strengte sich an. Irgendwann kapierte er zum Beispiel, dass er mir in den Mantel helfen sollte. So gehörte sich das ja: so kannten es meine Oma, meine Mutter und auch ich. Doch im heutigen Deutschland würde einer von einer Kollegin oder Freundin getadelt werden, wenn er es versucht hätte. In diesem Lande hatten die Frauen die Emanzipation gnadenlos durchgeführt. Zumindest was Manieren angeht. Was sie wohl vergessen hatten, waren Anweisungen, die die Männer brauchen, um die Orientierung nicht zu verlieren. Und Männer, man weiß das ja, können in unserer Welt keinen Schritt ohne weibliche Hilfe tun. So wurden Jahrhunderte alte Regeln des Savoir vivre mit den Füßen getreten, zu meinem Leiden. Bei guter Führung und viel Geduld konnte man jedoch erstaunliche Erfolge bei der Rückführung in die alte Schule des guten Benehmens verbuchen. Das war auch mir gelungen. Am Anfang musste ich noch etwas nachhelfen, indem ich ihm einfach meinen Mantel in die Hand drückte und ihn süß anlächelte. Es funktionierte. Wir verstanden uns einfach ohne Worte.

Er zeigte ebenso ein Unverständnis, warum eine Dame beim Betreten eines Raumes manchmal vorgelassen werden sollte. Ich weiß, ich weiß, da kommt gleich einer und sagt: „Nein, nicht immer, weil wenn das ein Restaurant oder gar eine Kneipe ist, dann..." – Meine Herren! Ich spreche hier von einer Dame und von einem Raum, nicht von einer Kneipe.

Also die Dame wird vorgelassen, wenn es sich um einen sicheren Ort handelt, zum Beispiel eine Wohnung. Und was machte mein Liebster? Er machte die Tür auf

chora i sama sobie mogę założyć płaszcz i otworzyć drzwi. Ależ oczywiście, drogie Panie. Z drugiej jednak strony, jak to naprawdę jest z tą emancypacją? Mimo niej, wciąż jeszcze tyle jest rzeczy specjalnie przeznaczonych dla kobiet i innych kalek. Temu, drogie Panie, nie udało się Wam zapobiec. A więc jeśli już kalekie, to przynajmniej w odpowiednim stylu!

W tymże stylu należy też zdziwić się, dlaczego nasz ukochany znalazł się w drzwiach razem z nami i spojrzeć na niego z lekko uniesioną brwią. On to zrozumie, jestem pewna. W końcu nie wyszłyśmy za idiotów. Wycofa się wtedy speszony sprzed drzwi i pozwoli nam przejść, co czynimy z godnością i wdziękiem. Naderwany względnie poplamiony rękaw należy kompletnie zignorować. Umiemy szyć lub znamy osobę o odpowiednich kwalifikacjach, więc poradzimy sobie z naprawą szkody, a niewielka cena, jaką zapłacimy za nasz krótki pokaz, jest naprawdę tego warta.

Jako Polki jesteśmy w zasadzie zdrowo wyemancypowane: niezależność tak, ale te małe wdzięczne grzeczności również. Dlaczegóżby nie?! Jesteśmy i pozostaniemy kobietami, a panowie nie stracą też nic na męskości. Należy im czasem tylko trochę pomóc i pokazać, że życie może być takie piękne i zamiast walki płci zaoferować taniec płci. Więc gdyby tak któraś z Was spotkała na swej drodze mężczyznę z dobrymi manierami, to pozwólcie mu pozostać prawdziwym mężczyzną. To cenny skarb i coraz rzadszy.

Mój mężczyzna i moja niemczyzna

Mój mąż nie znał dotychczas Polaków, więc spotkanie ze mną można potraktować jako swego rodzaju inicjację. Jak jednak podejść do Polki, że tak powiem – werbalnie? Dotychczas słyszał tylko o polskich sprzątaczkach lub wypacykowanych panienkach lekkiego prowadzenia się, ale – no właśnie – tylko słyszał. A tu przyjeżdża jakaś taka i instaluje się w akademiku.

Ciekawość jest dobrym motorem rozmów, a dla mnie była ona okazją podciągnięcia się w języku. Mój przyszły bardzo się starał podczas naszych pierwszych rozmów. Przede wszystkim, kiedy coś źle zaakcentowałam albo zgubiłam cenny przedro-

und ging als erster hinein und drehte sich nicht einmal um, während die Tür mit einem leisen Klacken zuging. Manchmal hielt ich sie noch vorher fest und überlegte, wie ich ihm schmerzfrei diese Regel beibringen sollte.

Es gibt da zwei Methoden. Man kann vor der Tür stehen bleiben und warten, bis die Tür hinter ihm zugeht und er bemerkt, dass wir ihm nicht folgten. Es dauert etwas, bis er die Lage erkannt hat, aber es lohnt sich. Er platzt dann aus der Tür hinaus: „Wo bist du denn? Ist was passiert, Schatz?" – Bitte, beantworten Sie diese Frage nie! Lächelnd betreten Sie nun als erste den Raum, bleiben dann stehen und warten, bis er sich um den Rest kümmert. Jedes Wort Ihrerseits wäre zu viel.

Die andere Methode kann nur angewandt werden, wenn Sie dunkel gekleidet sind und eventuelle Qualitätsverluste an ihrer Kleidung für Sie nicht von Bedeutung sind. Während also der Mann die Tür öffnet, um als erster den Raum zu betreten, quetschen Sie sich blitzschnell gleichzeitig mit ihm hinein. Es kann lustig sein, vor allem, wenn die Tür nicht sehr breit ist und sie dann tatsächlich mit ihm im Türrahmen stecken bleiben. Es ist ein unvergessliches Erlebnis. Es funktionierte bei mir sehr gut und es tat unserer Beziehung keinen Abbruch.

Ich höre bereits wie jetzt viele emanzipierte deutsche Frauen protestieren von wegen: So lange haben wir um die Gleichberechtigung gekämpft und jetzt gebe ich sie wieder ab?! Ich bin doch nicht krank, ich kann mir den Mantel selber anziehen und mir die Tür selber öffnen. Ja, das stimmt. Auf der anderen Seite gibt es in Deutschland trotz der Emanzipation genügend Dinge für – wie es heißt – Frauen und Behinderte. Das haben Sie, meine Damen, nicht verhindert. Also – wenn behindert, dann mit Stil!

In diesem Still sollen wir uns also wundern, warum unser Geliebter gleichzeitig mit uns in dieser verdammten Tür stecken geblieben war, und ihn staunend ansehen. Wir haben letztendlich keinen Idioten geheiratet. Dieser wird dann den Rückzug antreten und lässt uns vor, was wir erhobenen Hauptes tun. Den angerissenen Ärmel ignorieren wir geflissentlich. Wir können ja nähen oder kennen jemand, der es gut kann, also können wir den Schaden beheben, und den lächerlichen Preis, den wir dafür zahlen, ist die Sache wirklich wert.

Wir Polinnen sind gesund emanzipiert, aber warum sollen wir auf die schönen kleinen Aufmerksamkeiten im Alltag verzichten?! Wir bleiben Frauen, die wir nun mal

stek lub wręcz zamieniłam go na inny, kompletnie przekręcając sens zdania. Na przykład zdarzyło mi się kiedyś, myląc przedrostki, powiedzieć, że się zawsze pięknie rozbieram, zamiast ubieram. Radości było co nie miara, a zainteresowanie moją osobą natychmiast wzrosło o kilka dobrych punktów. Dopiero, jak wyrównał oddech, był w stanie wytłumaczyć mi mój błąd. Też się pośmiałam trochę, i owszem...

Innym razem zabrakło mi niemieckiego odpowiednika słowa łydka. Mój przyszły pospieszył z pomocą, oferując mi słowo *Kante* zamiast *Wade*, a to pierwsze oznacza po prostu kant względnie brzeg. Nie byłam w stanie zaakceptować jego propozycji, ale nie miałam też lepszego rozwiązania. Wstrzymałam sią od formułowania zdań zawierających to słowo, aż do sprawdzenia go w słowniku, co nie było możliwe natychmiast, jako że komórki kojarzono wtedy jeszcze tylko z małymi pomieszczeniami na sprzęt do sprzątania albo miejsca sekretnych spotkań, krótkotrwałych z natury rzeczy.

O literaturze mogłam po niemiecku opowiadać bez końca, w końcu jako germanistka miałam niezłe przygotowanie w temacie, ale w sytuacjach dnia codziennego byłam bezradna jak dziecko. Ach, to były piękne czasy, szczególnie dla niego, gdyż w miarę jak rósł mój zapas słownictwa, słabł jego entuzjazm dla rozmów na bardziej skomplikowane tematy. Tak to już jest, kobiety jednak szybciej opanowują język. A ponadto moja dociekliwość zaczęła powodować u mojego ukochanego coraz częściej objawy zniecierpliwienia, a nawet pojawiły się pierwsze złośliwości. Ponadto, ponieważ język niemiecki ma takie wspaniałe możliwości słowotwórcze, korzystałam z nich pełną garścią, tworząc wciąż nowe słowa, które nie zawsze znajdowały akceptację mojego przyszłego towarzysza życia.

Lecz muszę oddać mu sprawiedliwość: choć nie jest językowym geniuszem, starał się polskie słowa wymawiać bardzo poprawnie. Każdy obcokrajowiec, który tego spróbował, wie, jaką mękę mam na myśli. I mimo wszystko on robił to dla mnie. Nie zawsze rozumiejąc, o co chodzi, reagował jednak na zajawki gości na imprezach taką ładną polszczyzną, iż odnosili oni wrażenie, że rozmawiają z Polakiem.

sind, und die Männer werden dadurch nicht entmannt. Man muss das ihnen lediglich zeigen, ihnen zu verstehen geben, dass das Leben so schön sein kann. Es soll ja kein Geschlechter-Kampf sein, sondern ein Geschlechter-Tanz. Also wenn Sie ganz zufällig einen Mann mit guten Manieren erwischt haben sollten, lassen Sie ihn einfach ein Mann sein. Und vor allem lassen Sie ihn nicht gehen. Er ist etwas Kostbares.

Mein Mann und meine Deutsch

Mein Mann kannte bis dato keine Polen, die Begegnung mit mir war also für ihn eine Art Initiation. Wie packt man aber eine Polin – verbal versteht sich – an? Bisher hatte er immer nur von polnischen Putzfrauen oder von aufgetakelten Damen des horizontalen Gewerbes (polnische Pflegekräfte waren damals noch keine Institution) gehört. Und jetzt kam da eine zum Studium nach Deutschland, zog ins Studentenwohnheim und machte es sich bequem.

Neugierde ist eine gute Voraussetzung für die ersten Gespräche. Für mich war das eine willkommene Gelegenheit, mein Deutsch zu verbessern. Mein Zukünftiger meisterte unsere ersten Gespräche hervorragend. Vor allem, als ich noch einiges falsch betonte. Oder aber, bedingt durch meinen relativ bescheidenen Wortschatz, die einfachsten Dinge des Alltags nicht beim Namen nennen konnte. Über die Literatur hätte ich stundenlang reden können, aber nicht über das Leben. Wer kennt das nicht aus seinem Studium?! Unvergesslich blieb also, wie er mich auf die falsche Fährte lockte, wenn er sah, dass ich gerade nach einem Wort suchte. So erfuhr ich, dass der untere Teil des Beines Kante heißen sollte. Irgendetwas in mir weigerte sich, diese Möglichkeit zu akzeptieren, aber ich wusste in diesem Moment nicht, was mir sonst zu Verfügung stand, und nahm dieses Wort an. Obwohl ich gleichzeitig beschloss, Sätze mit diesem Wort zu meiden. Jetzt weiß ich es natürlich besser. Wir lachten immer wieder darüber. Ich nahm ihm das nicht übel. Leider waren diese Zeiten schnell vorbei, es stellte sich nämlich heraus, dass sich mein Wortschatz im rasanten Tempo erweitert hatte, dafür blieb mein Mann hin und wieder in manchen Bereichen auf der Strecke. Ist ja bei Frau-Mann-Kombination häufig der Fall, weil wir Frauen ja viel redegewandter, geschweige denn, redelustiger sind, was unter Umständen zum Ausbau des Wortschatzes als Nebeneffekt

A bezbłędnie wypowiadając absolutnie trudne słowo „ślicznie", wygrał nawet kiedyś na jednej z imprez mały konkurs dla obcokrajowców, podczas gdy konkurenci umieli się przedstawić i powiedzieć, skąd pochodzą. Byłam z niego bardzo dumna.

Niestety, najwyraźniej nie wystarczyło mu zapału do opanowania naszego pięknego języka i bardzo szybko spoczął na wątłych laurach. Musiałam to zaakceptować, a ponadto moja znajomość języka niemieckiego osiągnęła poziom wystarczający, aby nie dać się nikomu zapędzić w kozi róg, a już na pewno nie mojemu najdroższemu. Nastały dla niego czasy wielkiego niepokoju, gdyż moje pytania dotyczące poprawności języka przekraczały jego kompetencje, a do tego – niestety muszę się do tego przyznać i robię to pełna uświadomionej winy – przestałam mu wierzyć jako autorytetowi w sprawach językowych. Sytuację pogorszył również fakt, że mój przyszły małżonek przyłapał mnie na sprawdzaniu w słowniku ortograficznym Duden, Bd. 1, Rechtschreibung otrzymanej od niego odpowiedzi. Bardzo ucierpiało na tym nasze współżycie, bazujące na bezgranicznym zaufaniu do jego kompetencji. Nie miałam tym razem nic na swoją obronę. Ani po niemiecku, ani po polsku.

führen kann. Leider war meine Begeisterung für neue Wörter und die Ausdauer bei der Suche nach neuen, unbekannten Ausdrucksmöglichkeiten so groß, dass sich bei meinem Mann eine gewisse Unruhe, später Ungeduld gepaart mit sogar einer gewissen Gehässigkeit einstellte. Außerdem ist Deutsch so wunderbar, man kann immer wieder Wörter zusammenfügen und damit neue Wörter schaffen. Also dachte ich mir Wörter aus, wenn es sie bis dahin nicht gab. Mein Mann war nicht immer mit meinen Wortschöpfungen einverstanden.

Ich muss ihm aber gerecht werden: Obwohl kein Sprachgenie, bemühte sich mein Mann redlich, die Aussprache polnischer Wörter bis zur Selbstkasteiung zu üben. Jeder, der es einmal versucht hat, weiß, welche Qualen ich hier beschreibe. Und doch, er tat es für mich. Fast nichts verstehend, vermochte er manche Ausdrücke so perfekt auszusprechen, dass ihm polnische Gäste auf Partys den Kopf voll redeten in der Annahme, sie hätten mit ihrem Landsmann gesprochen. Mit einem absolut schwierigen Ausdruck „Ślicznie! (Wunderbar!) gewann er einmal sogar einen kleinen Sprachwettbewerb. Ich war sehr stolz auf ihn.

Leider reichte seine Begeisterung nicht bis zur Beherrschung der polnischen Sprache aus. Ich musste es einfach akzeptieren, außerdem erreichte ich in der deutschen Sprache ein ausreichendes Niveau, um mich nicht auf den Arm nehmen zu lassen, und auf keinen Fall von meinem Liebsten. Es kamen Zeiten einer großen Unruhe, weil meine Fragen zur korrekten Anwendung der deutschen Sprache seine Kompetenzen weit überschritten. Darüber hinaus und zu meinem größten Bedauern hatte ich den Fehler begangen – und ich sage das voller bewusster Demut – hörte ich auf, ihm als Autorität in Sachen Deutsch zu vertrauen. O weh! Schlimmer noch, mein Anvertrauter erwischte mich beim Blättern im Duden, Band 1, als ich nach Bestätigung seiner Antwort suchte. Unser Zusammensein litt seitdem etwas darunter. Und ich hatte nicht zu meiner Verteidigung zu sagen. Weder in Deutsch noch in Polnisch.

Übersetzung von Renata A. Thiele

Kołysanka

Śpij już, to okruch wody wygładzoną ciszę
układa w szklane kręgi na powierzchni nocy,
a one płyną w ciemność, wymoszczoną puchem
jasnych skrzydełek błyszczki tańczącej za oknem,
jak zabłąkana dusza. A to pęk wrotyczy
gasnący na poddaszu owija nas w zapach
wrześniowego półmroku, przemarznięte stopy
zanurza w pamięć łąki, spłowiałą i kruchą.
Nie bój się, to ocean zbudzony księżycem,
biało-czarny miedzioryt roztarty na chmurach.
Ciepła fala nas niesie przez zamglone niebo,
srebrna wata przypływu zamyka powieki.

Ballada o domu

Na tym podwórku
czas się zatrzymał na piórach gołębi
Stare kobiety oprawione w okna
grzeją jaszczurki przemarzniętych dłoni
w purpurowych zachodach późnego geranium

Przechodni wózek zblakły od pobożnych życzeń
kołysze kolejnego lokatora w przyszłość
Długonogie dziewczyny łuszczą się z kokardek
w bardzo krótkie spódniczki i kwitną
przez chwilę też bardzo krótką
bo mało tu światła
A dom spogląda ciężko odbijając cienie
zmęczonych pokojówek i kasjerek z Netto

Na tym podwórku nocą
w klatkach ciemnych łóżek kołysze się zmęczenie
ufne w śmierć i piekło
przed którym ma chronić fikus w przedpokoju
i ta święta Madonna (z dzieckiem Częstochowska)
Pająk w kącie minuty supła w szpulki cienia
a przydymiony przedświt niechętnie otwiera
historię wydłubaną w bezsennej godzinie
spod wskazówek zegara na przekór nikomu

Dziewiąte

Wilgoć połyskuje. Wiośnie lolitce rosną zielone piersi.
W oceanie trawy nurkuje wilga o oczach hinduski.
Na paterce mlecza kołysze się złoto-brązowa pszczoła,
jak kosztowna pralina z mlecznej czekolady.
Zapach konwalii rozpina w górze kokardki cytrynków.
Przy ziemi goryczki uwiązują wydęty światłem żagiel nieba.
Przez chropawy pień klonu ciemna strzałka kowalika,
wskazuje nadzwyczajną zwyczajność stokrotki.
Błogosławieni cisi, którzy z gołą głową idą przez park
i patrzą.
Błogosławieni majowym deszczem.

Karawana

Supernowe konstelacje elektrycznych gwiazd
zatopione w szkło wiszą wśród hiszpańskich falban.
Falujące koronki nocnych drzew ukradkiem
kradną sen zaplątany w poły naszych dżelab.
Grafitową pustynią nocnych cumulusów
spojrzenia płyną wolno, a my coraz głębiej
zapadamy w miraże plecami oparci o staw
zakrzepły w ciemne szkło pośrodku nieba.

Brzask sypie pod powieki ciężkie od upału
złotorude zmęczenie dusznego przedmieścia.
Czarne koty wracają skrajem widnokręgu
liżąc świt z czerwonego rewersu księżyca.

Andriej Kotin

Uśmiech projektanta, czyli nieupoważnionym wstęp wzbroniony

Czasem przestroga bywa największą zachętą. Wszak zamierzam zdradzić najgłębsze tajemnice mojego rzemiosła (tyleż zamierzchłego, co fascynującego), więc żywię szczerą nadzieję, że mnie nie zrozumiecie. Ale należy zachować ostrożność. Mówią, iż dobry labirynt powinien być męką dla gości, zaś ulgą dla architekta, nieprawdaż? Ja natomiast z każdym kolejnym zdaniem boję się, czy nie powiedziałem za dużo, i coś czuję, że pod koniec pęknę niczym Bóg Nietzschego, któremu patetyczny ponurak zarzucał zgubną miłość do ludzi. A przecież prawdziwy projektant niezmiennie zachowuje zimną krew, z obojętnym uśmiechem spoglądając na zniewolonych więźniów swej nieubłagalnej fantazji. Tak, właśnie taki chcę być.

Dobry tatuś, czule i ostrożnie prowadzący niewinne dzieciątko przez ciemny las iluzji, pełen okrutnych pokus i niebezpiecznych pułapek? Przykro mi, ale pomyliliście adresy.

Jeżeli zaś szukacie taniej mitologii, plastikowych objawień i pozytywnego myślenia, to muszę sprostować jedną rzecz. Owszem, nie widzę architektury ani żadnej innej sztuki bez szczypty mistycyzmu. Ale należy zachować ostrożność. Muszę być poniekąd bezwzględny, również wobec samego siebie. A zatem żegnaj, mistyko!

Choć z drugiej strony nie chcę, by mój labirynt stał się zbyt przejrzysty i przytulny niczym domek letniskowy pod ostrzałem demaskujących słonecznych strzykawek. Sęk jednak w tym, że słońce zarówno wskazuje drogę, jak i oślepia. „Zbliżamy się do końca, jak Ikar do słońca", zrymowała kiedyś, walcząc z nierównym oddechem, pewna londyńska szamanka, którą dane mi było rozdziewiczyć. Dlatego zalecałbym rozpocząć lekturę od ostatniego zdania, a później czytać wstecz, wspinając się ku zbawiennym szczytom błogosławionej wieloznaczności. Ale należy zachować ostrożność. Czasem zachęta bywa największą przestrogą.

Skrzydła

Zasadniczy spór dotyczył
niebieskiej koncepcji
mieszkalnictwa

Aniołowie chcieli lokować
ludzi pod skrzydłami

Diabeł z pomocą ścian
odgradzał nosy od pięści

Przeprowadzono w tej sprawie
debatę w której diabeł dowodził
nadrzędności ścian nad miłością
w świecie opartym o prawa
grawitacji – podnosząc że nawet
aniołom potrzebne są skrzydła
że nawet anioła zatrzyma sufit

Gabriel odparł spokojnie
że aniołowie potrafią latać
bez ich użycia

Pan dał im skrzydła
by ludzie mogli lepiej zrozumieć
o co się mają modlić

Hierarchia

Dziś tańczą i piją wódkę
Nie ma wśród nich nikogo
kogo Mojżesz kazałby
wypędzić czy ukamienować

Nikt nie złorzeczył ojcu ani matce
Nikt nikogo nie zmusił
pięścią ni kamieniem
do pozostania w łóżku
Nie wybił zęba
nie pozbawił oka

Jedynie Jakub który roztrwonił pieniądze
w odległej krainie
wrócił dzisiaj gdy bracia tańczą

Nie bronią się zbliżyć
w końcu nie zrobił nic
za co Mojżesz kazałby
wypędzić czy ukamienować

Nie przyszedł w dzień powszedni
Przezornie nie chciał by świętowano specjalnie
powrót marnotrawnego

Przyszedł gdy bracia mogli
się poczuć po pracy wśród tych
których kochają
jak samych siebie

Czesław Sobkowiak

Małe prozy

Vermeer

Wszystko lub prawie wszystko (muszę zrobić to zastrzeżenie), co chciałbym powiedzieć o życiu, dokładniej – o ludzkiej pracy i powadze egzystencji, wyraża obraz *Nalewająca mleko* (1660), o którym słusznie Szymborska napisała, co napisała. Przenikająca to dzieło holenderskiego malarza tkliwość i namacalność życia nie ma sobie równej nigdzie indziej. Nie będę tu prawił eseju, nie chcę się ważyć na jakiekolwiek wymądrzanie. Inni są od tego i do tego. Ale zamilczcie, zamilczmy na chwilę, zatrzymajcie się, przyjrzyjcie się tej postaci – prostej dziewczynie, temu pomieszczeniu, w którym uwieczniona przez Vermeera, właśnie z taką uwagą i spokojem przelewa mleko z kamionkowego dzbanka do kamionkowej misy.

Krowa

Różne mnie spotykały i ciągle spotykają doświadczenia. Jeszcze spotykają. Więc żyję. Myśli, zachwyty, nagrody chwili, mgnienia doznań, których tylko ja jestem udziałowcem. Dotykają mnie również rzeczy, na szczęście rzadko, dość przykre. Ale coraz lżej je znoszę, już potrafię nawet z uśmiechem sobie z nimi radzić. Oczywiście, każde pochlebne słowo, np. o wierszu, sprawia mi przyjemność. Jakiemu twórcy by nie sprawiało. Mam taki wiersz, który lubię wśród swoich wierszy, pt. *Krowa*. Nie mówi on o złu świata, jego tajemnicach, imponderabiliach, ludzkiej moralności lub przemijaniu, nie jest efekciarski pod względem metaforyki czy też porównań, poza tym jest dość krótki. Chodzi w nim tylko o krowę. Tę, którą latem, jesienią w dzieciństwie pasałem na trawiastych rowach wśród jaromierskich, szerokich pól. Słuchając skowronka i świerszcza. Smakując miękkie ziarno w kłosach. Przed wieczorem każdego dnia wracałem z krową przez wieś do domu. Bose stopy zanurzały się po kostki w piasku, dość często chłodnym. I przy niej snułem rozmaite chłopięce tęsknoty i marzenia. Dużo ich było. Kiedyś, dość niedawno, jakby mimowolnie napisałem o niej ten wiersz. Spodobał się on Jackowi, Kazikowi, Januszowi, Kasi, Halince, Mietkowi. Wiem to od nich. Może i komuś jeszcze. Cieszy mnie taka wrażliwość, odczytanie i przyznanie racji temu wszystkiemu, co już bardzo zamierzchłe.

Pisanie

Męka pisania. Czy ma być tylko na doraźny użytek czynioną obserwacją, obrazem emocji, zapisem, uogólnieniem bieżących doświadczeń, czy też szeroką, uniwersalną wizją? Mądrością, osądem czasu, apelem. Może buntem? W moim przekonaniu najlepiej, gdyby mogło być tym wszystkim po trochu. Wielką odpowiedzialnością. Czy to dzisiaj możliwe, to już inne zagadnienie. Rytm epoki zdaje się dopuszczać tylko cząstkową rejestrację pędzących zdarzeń. Czasami nasuwa się myśl, że pisanie jest, może nawet powinno być, mimo bieżących odniesień, budowaniem czegoś w rodzaju domu, kształtem coraz pełniejszym, bogatszym, wyposażonym we wszystkie rzeczy, sprawy człowieka i natury, doświadczenia, marzenia, by człowiek mógł w ich przywołaniu odnaleźć siebie, rozpoznać swój oddech, swoją codzienność. I mieć poczucie, że nie został zostawiony samemu sobie, gdy obecnie niemal

wszystko, cała machina rzeczywistości, sprzymierza się przeciw niemu.

Poezja

Nigdzie nie wychodzę. Nie jadę dokądkolwiek. Bo dokąd i po co. Piję herbatę. Patrzę na ściany. Już zrobiło się wiosennie, trochę więc zgrabiam liście wokół domu i cały czas myślę o poezji. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Gdzie jest ukryta poezja? Cały dzień to za mało, by na to odpowiedzieć.

Ale

Pomyśl, że to wszystko bajka. Piękne wyobrażenia o tym, co niby ma szansę. Jeszcze jakieś myśli i sprawy w miarę łagodne. Chleb, woda, lekarstwa. Jednak coraz więcej miejsc na świecie, to już tylko piekło i przekleństwo. Coraz bliżej.

Szpitalna wiadomość

Doszła szpitalna wiadomość, że młody jeszcze (sporo młodszy ode mnie) M.Z. po kilku tygodniach pobytu w klinice hematologii w Poznaniu został przywieziony do szpitala w Zielonej Górze. Mocno wychudł. To jego ostatni etap. Jednoosobowy szpitalny pokój. Hemoglobina dramatycznie spada. Nie da rady już nikt mu pomóc. Na progu wiosny jednym przychodzi obumarcie, a innym nowe życie. Odchodzącemu mocno uderzy z tego powodu dzwon.

Spotkanie w wiejskiej świetlicy

Wieczorem poszedłem do świetlicy w Zawadzie na spotkanie z niejakim W.J., sławnym człowiekiem z Jasła, który opowiedział całe swoje życie. Przynajmniej określoną jego wersję na użytek spotkania. Oczywiście zawsze przedstawiamy jakąś wersję swojego życia. Tę najbardziej wygodną. Ale on starał się niczego nie ukrywać, szczerze odsłaniał swoje wczesne odejście od Boga, pustkę duchową, bunt młodzieńczy, który przekształcił się w straszne uzależnienie od narkotyków. Korespondowało to spotkanie poniekąd z rozpoczynającym się okresem Postu. Publiki było nawet dużo. Opowiedział jak to przez 20 lat codziennie ćpał, brał, co tylko się dało, jak na tę złą drogę sprowadzał innych, jakiego zła się dopuszczał, bezeceństw, złodziejstw, ilu młodych z jego powodu już nie żyje. Ile matek płakało. Mówiło mu się dobrze. Dokonywał czegoś w rodzaju samoobnażenia wedle zasady i mniemania, że im szczerzej i wręcz detalicznie, i więcej ekshibicjonizmu, tym lepiej. Nie widział niczego niestosownego, by wywlekać całą ohydę podmiotowego brudu i deprawacji. Niby przezwyciężoną, ale jednak miałem wrażenie, że chwilami przed publiką jakby delektował się swoim życiorysem, swoim oratorstwem, rubasznością i rutyną, i chyba czuł nawet satysfakcję z tego, że tyle ma strasznych rzeczy do powiedzenia, których nikt nawet nie potrafi sobie wyobrazić. Widać było, że koniecznie chce na słuchaczach wywrzeć wrażenie. Oczywiście, dotknął dna, piekła narkotykowego głodu, pustki, ciemności, rozszarpywania duszy, lęku, nędzy życia, zimna, cierpienia, samotności, bólu ciała, bezgranicznego upodlenia. Człowieczej rozpaczy. Granicy życia. Nie kłamał. To na pewno. Ale, gdy o tym mówił, nie widać było w nim ani wstydu, ani jakiegoś rodzaju poczucia winy czy wyrzutów sumienia, a raczej pobłażanie. I jeszcze ta rubaszność w wyglądzie. Wszystko to razem zgrzytało. To było roztaczanie wizji człowieka upadłego, stojącego nad przepaścią, cuchnącego śmiecia, kpiącego z religii, z Kościoła, z księży, którego nagle, jednym aktem cudownej łaski, z brudu i prochu, i wszelkiej możliwej nędzy, za sprawą jednego przysłowiowego pstryknięcia podnosi z dna do nowego życia sam Bóg. Tylko Bóg. Zwycięzca i Wybawca. Dokonuje cudu uzdrowienia i uwalnia go od wszelkiego niepokoju, i pozwala się oczyścić, i wyzwolić z grzechu. O tym wszystkim traktuje też książka, która spotkaniu towarzyszyła. Towarzystwo, któremu przewodniczyli dwaj kapłani, przyjmowało każde jego słowo z nabożną powagą, jak natchnione, jedynie prawdziwe i co tam jeszcze. A ja, muszę przyznać, czułem się nie za bardzo. Nie podobała mi się taka demonstracja osiągniętego jakoby szczęścia. Gdyby miał obowiązywać taki model dochodzenia do prawdy i dobra, to byłoby fatalnie. Więc raczej drażniła mnie ta łatwość demonstracji. W.J. udało się stać kimś innym, wejść w inną skórę, i teraz tyle mu wystarcza, więc w kółko to opowiada. Cała jego manifestacja, niemal jak show jakiegoś guru, wyglądała w moich oczach wielce dwuznacznie. I aż kusiła do uproszczonych interpretacji. A przecież zdarzyło

się coś niezwykle skomplikowanego i dyskretnego. Wielka wina i jej odpuszczenie. Wędruje teraz W.J. po parafiach, zapraszany, wieziony, kwaterowany, karmiony, w każdej opowiada to samo, wręcz bez zająknienia, mówi, niektórzy mają łzy w oczach, daje świadectwo ku przestrodze w różnych środowiskach, z dokładnością do jednego słowa i przecinka, jakby to była jego wyznaczona mu przez Opatrzność rola. Kiedyś podobną rolę pełnił w środowisku niewidomych Michał Kaziów. Do tamtej i do tej historii nie sposób podejść obojętnie. Na pewno. Chce się zadawać pytania. Nawet wiele. Dałem więc różnym swoim zastrzeżeniom wyraz. Nie dlatego, żeby sugerować, iż ta historia jest zmyślona lub nieistotna, nie miałbym prawa. Każde zbliżenie do metafizyki uzmysławia powagę zagadnień. Ale ewidentnie brakowało mi w tych wyznaniach wyraźnego śladu pokory lub wyznaczenia sobie jakiejś pokuty czy pragnienia zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy. Powinno być powiedziane coś więcej, jeśli było to coś więcej. A może wszystkiego się nie da. Więc niesłuszne są te moje zastrzeżenia. Kiedy wstałem i mówiłem o swoich wątpliwościach, to wywołałem niemal zgorszenie. Zaczęły tu i ówdzie podnosić się niechętne mi głosy ledwo skrywanego oburzenia. Jeden z kapłanów wyraźnie srożył twarz, co zdradzały czynione gesty i mimika. Psułem mu swoimi pytaniami i wątpliwościami scenariusz tego spotkania. A następnego dnia przypadkowo spotkana pani R.J, skądinąd miła osoba z Zawady, wręcz przypuściła na mnie atak. I tyle z tej dramatycznej opowieści wynikło. A co wynikło naprawdę, tego nie wie nikt. Tylko jeden Bóg.

Sen

Gdy zasypiałem, nocne niebo było czyste, pogodne. Wielki Wóz na północnej stronie, a na południowej mocno świecił księżyc. W nocy śniły mi się wysokie, dorodne, zielone pędy młodych pomidorów. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że już takie wyrosły o tej porze, pod koniec lutego.

Wczoraj niespodzianka

Wczoraj, po kilku dniach powszedniego upadania, moje życie trochę się podniosło. Do południa jeszcze było fatalnie. Obawiałem się, że nie stać mnie na uczestniczenie w święcie lokalnej literatury. Dopiero około południa cokolwiek moje samopoczucie uległo polepszeniu. Jechałem jednak do Biblioteki żeby jechać. Raczej bez przekonania. Nie czułem większych chęci, by tam być obecnym, bo nie potrafiłem tego uzasadnić. Jeszcze zadzwonił Mietek i wysłuchałem z aprobatą jego słusznego zdania o nagradzaniu książek. Po drodze na domiar złego spotkało mnie przejście z policyjnym patrolem, co dodatkowo wpłynęło na moje ja. Groźba dużego mandatu wisiała w powietrzu. Ale jakimś cudem wymigałem się, a raczej policjanci odstąpili od ukarania mnie. Druga odsłona tego małego cudu spotkała mnie w Bibliotece Norwida. Kiedy już wręczono Fedorowiczowi nagrodę za jego prozę, omówioną przez Sergiusza Sternę-Wachowiaka, a nominowanym – po egzemplarzu dyplomu, byłem pewien, że rozdawnictwo zostało zakończone. Nagle doszło moich uszu, że organizacja Rotary International postanowiła mi przyznać nagrodę specjalną. Wezwany do jej odbioru wstałem z krzesła nieco zdezorientowany i w pierwszej chwili nie potrafiłem spomiędzy rzędów wyruszyć w kierunku sceny, jakoś tak czułem, że to może nieprawda. Niespodzianka była jednak faktem. Jej pokrzepiające przesłanie wynikało z załączonej do dyplomu koperty, z której zawartością zapoznałem się dopiero w domu. I wypiłem kieliszek wódki. Suma tysiąca złotych nie robiła oszałamiającego wrażenia, lecz wspierała mnie, gdyż czekały od tygodnia na biurku różne rachunki do uregulowania. A tu pieniądze spadły z nieba. Poranne niechęci i sceptycyzm uległy więc przewartościowaniu. Więc to prawda, póki dzień, póki życie, nie można przewidzieć, co nas spotka. Ale czy to przyzwoite otwarcie przyznawać się, że taki wpływ na moje samopoczucie miało kilka banknotów?

Zrobiło się po Czwartku

Zrobiło się jakoś tak cicho, jakoś pusto, z nikim, do nikogo, już bez nastroju, bez telefonowania, bez dopytywania, dzielenia się, komentowania. Byli, poszli sobie. Zniknęły Jolki, Kasie, Janusze, Władki. Nikt nie uśmiecha się. Kwiaty jakby ich nie było. Poezja brzmiała i nie brzmi. Mroki nie rozjaśniły się. Cóż po święcie słowa, jedynym w roku święcie w tym

mieście, po nagrodach, niespodziankach, uścisku rąk miejscowej władzy, po błyskach fotograficznych aparatów, po wypitym winie, wypalonych cienkich papierosach. W gazecie tekst na pół paznokcia, mały, maleńki, maksymalnie maciupeńki, drobna tylko notka, lichota wciśnięta na sam dół, bez jednego zdjęcia, by jak najmniej zmieścić i nie dać się zauważyć. Nawet ćwierć zdania od siebie. Zacząłem wstydzić się za Gienka, że on to swoim (kurz) bez zastrzeżeń podpisał. I że tak chciał. Jak najmniej.

Wieczorem śmierć domowego zwierzątka

Paulina wróciła z pracy późnym wieczorem. Najpierw zapaliła światło w altanie, potem w przedpokoju, a następnie w swoim pokoju. Nagle wybiegła na korytarz i ciszę domu wręcz rozdarł jej głośny szloch przechodzący w rozpaczliwy krzyk. Dlaczego królik nie żyje? – powtarzała raz za razem. Trzęsła się, drżała, nie mogła znaleźć dla siebie miejsca. Poderwałem się z krzesła i zaraz przytuliłem do siebie moją córkę, by jej w tym szokującym przeżyciu pomóc. Królik leżał w klatce martwy, wyciągnięty na sianku, dotknąłem go, zdawał się być jeszcze trochę ciepły. To tylko zwierzątko, próbowałem tłumaczyć. Paulina regularnie karmiła króliczka, czyściła klatkę co kilka dni, wypuszczała na pokój, by sobie pobiegał, ja dokładałem wiązki siana. Zrobiło się nam smutno. Był wieczór. No cóż. Starałem się ostateczność tego momentu maksymalnie, jak potrafiłem, racjonalizować. Nie miałem wyjścia. No bo co można uczynić, gdy śmierć już jest faktem.

Edward Derylak

Tam już nikt nie mieszka

Kamienica jest solidna, duża jak zamek warowny. Na wzniesieniu przy ulicy, a pomiędzy – ogródki, które, jak fosa do zamku, bronią do niej dostępu. Z drugiej strony, od zachodu, otwarta przestrzeń zamknięta ścianą lasu, za którą kończy się miasto.

W przerwie między zabudowaniami przy drodze po zboczu wspina się do niej ścieżka (w lecie obrośnięta chwastami i trawą, zimą oblodzona, czasami nie do pokonania). Maria mieszka na parterze, w trzeciej i ostatniej zarazem klatce. (Obok druga ścieżka między ogródkami, do przystanku autobusowego). Kamienne dwa stopnie i ciężka, skrzypiąca w zawiasach, brama i jeszcze kilka schodków (parter jest wysoki). Przy drzwiach od mieszkania czerwony przycisk dzwonka, w okrągłej, ebonitowej czarnej puszce. Zabrzęczał tradycyjnie (jak kiedyś w szkole na przerwę) i cisza. Wsłuchuję się i nic. Żaden dźwięk nie dociera zza drzwi. Czyżby jej nie było? Może w szpitalu? W tym wieku wszystko możliwe; a może syn zabrał ją do siebie? Może nie słyszę? Grube mury, podwójne drzwi. Przyglądam się wielu warstwom olejnego burgunda (wyłażą jedne spod drugiej jak sweter, koszula i podkoszulek spod zbyt krótkiego rękawa marynarki). Stare, solidne drzwi z minionej epoki, podobne są przy kiblu na korytarzu, tuż za wejściowymi drzwiami. Klitka z lamperią w kolorze jasny orzech, że tylko można usiąść; żeliwna spłuczka i zawieszone na gwoździu pocięte kawałki „Robotniczej" i „Trybuny Wałbrzyskiej". Stanowiły ciekawą (może intymność miejsca miała też swój wpływ?), choć niekiedy już znaną, lekturę uciętą w najmniej odpowiednim momencie. Przy okienku z firanką stare egzemplarze gazet. Można się było rozczytać i zapomnieć – wówczas pobyt w odosobnieniu się przedłużał (zimą przytulność i intymność przeganiał mróz i nawiany przez niedomknięte okienko śnieg).

Nacisnąłem jeszcze raz. Usłyszałem dochodzący zza drzwi szmer – byłem pewny, że się nie mylę – i po chwili zgrzyt klucza w zamku, potem jeszcze raz w drugim, uchyliły się drzwi. Maria siedziała na wózku z uniesioną głową, z bladymi zapadniętymi policzkami i nieruchomymi gałkami oczu, które się we mnie wpatrywały. Pewnie nie kojarzyła mnie ze znanymi sobie osobami. Uśmiechnąłem się, i wtedy dopiero drgnęły jej policzki. Nerwowo, niepewnie.

– To ja, Adam – przypomniałem jej zastygłej pamięci. – Nie poznajesz mnie?

Uśmiechnęła się, jeszcze bez przekonania, raczej że tak wypadało. Po chwili jej twarz rozpromieniła się, ona uniosła ręce i dłońmi objęła głowę.

– O Boże, gdzieżbym się spodziewała! Adaś... – cofnęła się, zapraszając mnie do środka.

Tańczyła na kółkach po dużej kuchni, między kredensem przy oknie, dwupalnikową kuchenką na szafce i zlewozmywakiem, żeliwnym z głębokimi komorami. Duży aluminiowy dzbanek postawiła na pełgających jasnoniebieskich płomykach i wróciła do kredensu.

– Ty pewnie nienawykły do takiego i wolisz w szklance – powiedziała, patrząc krytycznie na kubek w dłoni. Usiłowałem zaprzeczyć, powiedzieć, że nie ma to znaczenia („przecież mogę zrobić wyjątek i wypić raz w kubku", pomyślałem), ale ona podekscytowana moją obecnością, ze szklącymi się oczami, kontynuowała:

– Szklanki stoją wyżej, sama już nie sięgnę – uśmiechnęła się. – Może ty...

Kiedy już zaparzyła herbatę i wyłożyła na talerzyk ciastka, podjechała kółkami pod stół, wsparła przedramiona o jego blat, splotła grube palce dużych dłoni i utkwiła we mnie wzrok.

– No to opowiadaj, co u ciebie?

Pytanie banalne. „Pyta, żeby pytać", pomyślałem. Jeśli się kogoś widzi raz na kilka lat, to o czym mówić? Opowiadam o najbliższych, kuzynach, przypominam ich imiona, Maria kiwa głową, potakuje, kolejnego pokolenia nie widziała, więc ograniczam się do wyliczenia ilości potomstwa. Na tym poprzestaję i pytam w ten sam sposób.

– Co u mnie? – rozkłada bezradnie rece. – Sam widzisz. Sama jak ten palec. Pies z kulawą nogą nie zajrzy.

Oponuję, że chyba nie jest tak źle, skoro na opłaty, jedzenie i lekarstwa wystarcza. Ona na to, że „dobrze wcale". Patrzy mi w oczy, dwie łzy zbiegają bruzdami w policzkach.

– Jakoś sobie radzę. Jak potrzebuję, żeby co kupić, to najpierw słucham, czy ktoś nie schodzi z góry. Po krokach rozpoznaję kto, jeśli sąsiadka albo jej dzieci, wtedy stukam. – Podjeżdża do drzwi, bierze wiszący na sznurku tłuczek do ziemniaków i uderza dwa razy, mocno (drzwi są podwójne, chce mieć pewność, że ten ktoś na korytarzu usłyszy). – Dzieci biegają szybko, łapu-capu, w górę czy w dół, dla nich bez różnicy, nie to co stary. Bojszczakowa i Paduchowa też stare, ale jakoś się kołaczą, o własnych siłach... – Zastanawia się chwilę, macha lekceważąco ręką, jakby zrezygnowała z tego, co jeszcze przed chwilą – miałem takie wrażenie – chciała mi powiedzieć; pewnie uznała, że nieważne, żeby o tym mówić. – Pijany to szura butami – kontynuuje. – Przewróci się czasem, aż zadudni, leży, a ja wtedy nasłuchuję, czy żyje, przecież to człowiek, szkoda. Jak nie wlezie po schodach na górę, śpi pod drzwiami. Gdy słyszę chrapanie, jestem spokojna, żyje. – Uśmiecha się. – Pomagają mi, pomagają...

Atmosfera gęstnieje, zapada ciążące milczenie. Siedzimy, Maria naprzeciw, z drugiej strony stołu. Patrzy na mnie i z potakiwaniem, jakby siebie i mnie utwierdzała w przekonaniu, że to już tyle lat minęło, kiwa głową. Pyta, czy jeszcze mi zrobić herbaty. Zgadzam się, byle przerwać powstałą martwotę. Ona wprawia w ruch swój, jak nazywa żartobliwie, wielosipied i znowu jeździ między kredensem, umywalką i kuchenką gazową.

Kiedy ostatni raz siedziałem w tym miejscu, przez uchylone drzwi do pokoju widziałem stryja. W piżamie, na brzegu tapczanu, z nogami spuszczonymi na podłogę. Przed nim, na taborecie, stała szklanka z herbatą i buteleczki z lekarstwami. Twarz miał bladą, rzadkie siwe włosy spadały na uszy, mówił z trudem, rękami wykonywał powolne ruchy. Miał pod siedemdziesiątkę (wtedy myślałem, że to dużo, bardzo dużo) i, domyślałem się, choć trudno mi się przyszło z tym godzić, że stryj dobiega już swojego kresu. Sprawiał wrażenie bezradnego. Stryjna opiekowała się nim: poprawiała poduszkę, prześcieradło, przypominała o lekach i podawała jedzenie, którego już nie chciał (sama poruszała się ociężale, ciągnąc z trudem nogi). Był już starym, zniedołężniałym człowiekiem. Oczy moje mówiły prawdę, którą z trudem akceptowało serce; ono z determinacją szukało w zakamarkach pamięci innych obrazów stryja Jasia. W ciemnych włosach ze srebrną skazą, z czerstwymi rumianymi policzkami i wiadrami porzeczek i agrestu wiszącymi u rąk, albo plewiącego grządki, zrywającego czereśnie. Duże drzewo rosło pośrodku. Wspinałem się na sam wierzchołek i zrywałem żółte owoce do wiaderka, opychając się nimi nieprzyzwoicie i plując pestkami. Nigdy tak smakowitych czereśni nie jadłem. Stryj stał na dole z zadartą głową i raz po raz powtarzał: „Ostrożnie, nie spadnij!". Zapewniałem solennie, na bezdechu, sięgając gałęzi na obrzeżach korony, że nie spadnę.

Lato spędzał Jaś w ogrodzie między rozłożystymi krzakami porzeczek i agrestu; nawoził, podlewał i podwieszał obwisłe od nadmiaru owoców pędy. A kiedy nabrały kolorów i soczystego miąższu, wypełniał nimi wiaderka i, odpoczywając po drodze, wspinał się ścieżką, między skleconymi z czego bądź opłotkami, do domu. A tam oczekiwała Maria. Stół rozstawiony na środku, słoiki wymyte, sprężynki ułożone obok, wygotowane i wytarte do sucha gumki do weków, nakrętki twist. Wsypywała owoce do miski, płukała, napełniała garnki, gotowała i smażyła. Na drugi dzień wychłodzone słoiki w koszach stryj przenosił na półki

do piwnicy. Latem i jesienią praca w ogrodzie wypełniała mu czas wolny po powrocie z koksowni. Niedziela była dniem odpoczynku, poniekąd. Maria, bardziej z konieczności niż potrzeby towarzystwa, wychodziła czasami do sąsiadek „na ławki" przed blokiem.

– Co ty taka zarobiona przez cały tydzień, że cię nie widać – pytały one jednym głosem. Maria, że spolegliwego usposobienia, coś tam im tłumaczyła, ale do nich jakby nie docierało. – Chłopa tego zamęczysz, ogródek albo koksownia, koksownia albo ogródek – kwakały jak te kaczki, jedna przez drugą. Solą im był w oku niepijący i niepalący mąż Marii. Ich chłopy kopciły papierosy, żłopały piwo, wódkę, a jesienią wino z butli, nie dając mu dojrzeć; Jaś jak ta mrówka, ciągle się krzątał przy czymś, zawsze z dobrym słowem na ustach, pogodną twarzą i z żartem. – Poszedłby czasami z innymi na piwo albo i wódkę. Coś mu się od życia należy – kontynuowała Paduchowa, której stary („mój stary", mówiła zawsze), potrafił położyć się na kanapie z wężykiem w ustach, którego drugi koniec był zanurzony w butli na szafie, i ciągnąć tak długo, dopóki sen go nie zmorzy. Wtedy ona – obserwując ukradkiem – zauważała ten moment, odłączała mu kroplówkę i odwracała na bok, by się nie udusił, kiedy się porzyga, co się mu zdarzało nader często.

Nie wiedziałem, że widzimy się ostatni raz. Nie pamiętam momentu pożegnania. Odszedł jak żył: w ciszy i spokoju, w słoneczny październikowy dzień. „Zasłużył sobie..." – mówili znajomi. „Nawet na piękny dzień jesienią trzeba sobie zasłużyć", uważali niektórzy. Jaś z pewnością nie podzieliłby tego poglądu. „Ot, czysty przypadek" – powiedziałby.

Jego grób odwiedziłem latem.

Wiedziałem, oględnie mówiąc, gdzie mam szukać: „od bramy alejką w górę, potem w lewo, przy płocie". I tak zrobiłem – lecz płot długi, a grobów dziesiątki, ten, którego szukałem, nie wiadomo gdzie. Krążyłem wokół bez skutku, rozglądając się bezradnie. Parę osób kręciło się tu i tam. „Ale skąd one mogą wiedzieć? Muszą być w jego wieku, może wtedy..." – rozważałem, zastanawiając się, którą spytać. Wtem w letnią ciszę wdarło się stukanie młotka. Spojrzałem w stronę, z której dobiegał głuchy dźwięk. Powiewy wiatru przyjemnie chłodziły twarz i ramiona. Przy cmentarnej kaplicy, na placu pławiącym się w słońcu, pracowało dwóch robotników. „Może oni...?"

Przerwali pracę, kiedy podszedłem. Powiedziałem, czego szukam. Wymieniłem imię i nazwisko zmarłego. Jeden z nich, ten w brudnym i rozciągniętym podkoszulku, wstał z klęczek, wytarł o spodnie ręce (to pewnie na okoliczność, gdybym chciał się z nim przywitać) i podszedł do mnie.

– Mówisz pan, Dyrkowski Jan – powtórzył, by zaraz nie zapomnieć. – A kiedy był chowany? – spytał jeszcze. Powiedziałem, a on ruszył przed siebie alejką, ja za nim. Po kilkunastu krokach się zatrzymał, rozejrzał, skręcił w bok, wrócił, potem w drugą stronę, znowu wrócił. Twarz mu się zasępiła. Wbił brudne paluchy we włosy pod czapką. – Kurwa, gdzie on jest? Dyr-kowski Jan. Dyr-kowski... – mówił do siebie, omijając mnie spojrzeniem. – Tak, chowaliśmy go jesienią. Już sobie przypominam. Tam koło płotu – puścił się na przełaj między nagrobkami, ja za nim. Zatrzymał się. – To nie tu – odwrócił się zawiedziony. – No, kurwa, popatrz pan... Ale mi się popierdoliło w tej głowie – pokryte kilkudniową szczeciną proste oblicze robotnika zasępiło się szczerze. Usiłowałem sobie wyobrazić kołowaciznę w jego pamięci: pogrzebowe kondukty, czerń pogrążonych w smutku postaci, nazwiska zmarłych, świeże czeluści grobów. Stałem bezradny, zdany na tego człowieka. Odwrócił się. – O, tam! – wykrzyknął prawie i rzucił się w wąską alejkę. Podążyłem za nim. – A mówiłem, że zaraz znajdziemy! – Łypał na mnie białkami oczu, nie kryjąc zadowolenia. Dreptał nogami, wycierał dłonie o uda. – Masz pan papierosa? – spytał nieśmiało.

– Weź pan – podałem mu paczkę. Niech ma, tyle się chłop nachodził. Ochoczo wyciągnął rękę. Poczęstowałem go, sam też zapaliłem.

– To ja już sobie pójdę – powiedział po chwili.

Do „tu i teraz" przywołało mnie dzwonienie szkła. Maria postawiła szklanki ze świeżą herbatą, wsypała cukier i głośno mieszała, po chwili dosypała herbatników i zgarnęła na dłoń okruszki z ceraty. Z szuflady

w komodzie, będącej w zasięgu ręki, wyjęła stary, o postrzępionych krawędziach, niemiecki album (podobny był u nas w domu). Zobaczyłem czarno-białe (niektóre przebarwione, zrobione po amatorsku), wetknięte w rożki fotografie; niektóre luźno wciśnięte między szarymi kartkami. Te, Maria wyjęła i ułożyła z nich stosik na stole. Zaczęliśmy oglądanie od albumu. W szczegółach opowiadała, kogo przedstawiają, kiedy i gdzie były zrobione. Oboje, ona i Janek, są jeszcze młodzi, ona w cienkiej, lejącej sukience, on w białej koszuli z podwiniętymi rękawami: siedzą na trawie (na łące za komórkami), z rowerami, z dziecinnym wózkiem, on z kolegami, ona z koleżanką, to znowu razem objęci delikatnie. Zdjęć jest dużo, wszystkie podobne. Uśmiechnięci, bo na zdjęciu trzeba się uśmiechać, żeby nawet po piętach deptał smutek. Na niektórych fotografiach można odczytać z pieczątki nazwę zakładu fotograficznego. Maria bez trudu wymawia jego niemieckojęzyczną nazwę. Czas wojny, a Jaś dwudziestoparoletni (wygląda na „po trzydziestce") w garniturze i kapeluszu, na innym zdjęciu w sukiennym płaszczu i z papierosem w ustach („jeszcze mu cygaro i jak Amerykanin" – komentuje Maria). Tutaj ma kamienną twarz i lodowate spojrzenie, jak Ric z Casablanki. Naprawdę, stryj z fotografii jest trochę podobny do Humphrey'a Bogarta, podobny owal twarzy, głębia spojrzenia i górna warga z dwoma pionowymi zgrubieniami. Wiele razy, niestety, wtedy kiedy już było za późno, zadawałem sobie pytanie: jak to możliwe, że będąc na robotach, mógł pójść do fotografa i zrobić sobie zdjęcia w ubraniu, jakie od święta – tak myślę – zakładał jego gospodarz, a potem z Rzeszy wysłać je do domu w Guberni. Wiem tylko, że miał szczęście być u dobrego bauera. Opowiedział mi kiedyś, jak zimową porą w stodole robił z brzozowych witek miotły (pewnie dlatego, żeby się nie nudzić, a może, przede wszystkim, żeby pokazać gospodarzowi, że jest potrzebny, nawet w zimie). I przy tym zajęciu spotkał go ów bauer. Jakież było zdziwienie Janka, gdy ten, zamiast pochwalić, na co liczył jego młody parobek, to go zbeształ i zabronił wykonywania tego zajęcia. „Są zasady – powiedział – które trzeba przestrzegać". A po chwili, już spokojnie, wyjaśnił, że miotły robi ten i ten, beczki kto inny, konie podkuwa jeszcze inny. „My robimy grabie. Ordnung musi być" – zakończył, wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zapalił i odszedł, pozostawiwszy młodzieńca podbitego narodu w wielkim zdziwieniu. Janek, mimo że to proste jak budowa cepa stojącego w rogu stodoły, i tak nie mógł pojąć. Niemcy, naród oszczędny, drobiazgowy – dywagował – a tu naraz taka rozrzutność, dla jakichś tam zasad: ten robi to, inny tamto, jeszcze inny coś innego, a my... – nie mógł zrozumieć ichniego myślenia.

Mężczyzna w kapeluszu Marii zawsze kojarzy się z Amerykaninem. Wiesbaden i fabrykę amunicji, w której pracowała, wyzwolili Amerykanie, widziała i wojskowych, i cywili w kapeluszach. Inne zdjęcia. Ona z Nataszą przed fabryką, w której pracowały. Długie falujące włosy, a koleżanka – gruby, jasny warkocz spływający po piersi przez lewe ramię. Maria wymienia nazwę wioski Nataszy na Ukrainie, imię i nazwisko brygadzisty, majstra, opowiada, dlaczego ten drugi lepszy był od pierwszego, furiata goniącego do roboty: „arbait, arbait" i „schnell, schnell polnische Faulenzer" – ekscytuje się Maria.

– Jakby innych słów nie znał, i tak przez dwanaście, a czasami i czternaście godzin.

Kolejna karta i inne fotografie, z chłopcami: „dwa i sześć lat" – dopowiada Maria. Rodzice z sytuacyjnym uśmiechem, chłopcy poważni, spięci obowiązkiem patrzenia w miejsce, skąd zaraz wyleci ptaszek. Miejsce gdzieś nieopodal kamienicy: łąka na zboczu, w tle horyzont wierzchołków drzew i dymiących kominów kopalni i koksowni (taki obrazek był w książce z geografii). I na urlopie przy żniwach u brata, z kosą i powrósłami. Kobiety chustki podwiązane z tyłu głowy, mężczyźni w nakryciach z chustek do nosa związanych w rogach. Słonecznie, a oni ubrani od stóp po głowy (kłosy nieprzyjemnie kłują, przycięte knowia mogą nawet przebić skórę). Stryjna powoli przekłada szare kartki albumu.

Patrzę na czarno-białe fotografie bliskich, potem na Marię (zawiesiła spojrzenie na jednej z nich) i znowu na fotografie. Pamięcią ogarniam rozsianą w czasie przestrzeń ich trwania. Ich bytu spopielonego do małego kartonika fotografii i tych nędznych fragmentów w pamięci Marii, mojej pamięci i może jeszcze paru innych osób. Myśli jej wędrują pewnie od Wiesbaden przez czarnoziemy Ukrainy po Chabarowsk przy chińskiej granicy. Twarze matki, rodzeństwa i ich dzieci płowieją w pamięci starej kobiety, tracą kontury,

zapadają się w czarne czeluście. Kiedy opowiada, plączą się już daty, zdarzenia, historie. Łzy bezwiednie spływają po zapadłych policzkach. Nawet ich nie wyciera, bo i po co, nie ma przed kim się wstydzić; wyschną w bruzdach mijającego życia. Dostrzega moje spojrzenie.

– Często sobie oglądam... i pogadam do nich, i popłaczę przy tym – opowiada mi ze spokojem, stara się uśmiechać – i wtedy mi się wydaje, że nie jestem sama... I kiedy tak się napatrzę, to długo potem ich wszystkich mam przed oczami.

W jej twarzy z wątrobowymi plamami usiłuję wypatrzyć inną Marię, tę zapamiętaną.

Bar Placuś był przy placu Tuwima, u wylotu na Nowe Miasto.

Wstępowałem w drodze ze szkoły. Wchodziło się po kamiennych stopniach. Salka nie była duża, kilka kwadratowych (o laminatowych blatach) stolików na stalowych nogach i kilkanaście krzeseł. Przy każdym poruszeniu robił się nieznośny rumor, decybele bombardowały uszy. Siadałem bliżej wejścia do kuchni. Kiedy wchodziła na salkę z talerzami w rękach – wysoka, słusznej postury, cała w bieli (w fartuchu i czepku) – i mnie spostrzegła, uśmiechała się szeroko, pełną twarzą (policzki promieniały od kuchennego gorąca). Widziałem, jak błyszczy jej złota koronka. Ona zanosiła zamówione placki, potem podchodziła do mnie. Całowałem ją w policzek, a ona opiekuńczym gestem kładła rękę na moim ramieniu. Po chwili znikała za zasłoną szeleszczących, kolorowych pasków folii. Przynosiła półtorej porcji ziemniaczanych placków i kefir w kubku. Kiedy sięgałem do kieszeni po drobne (zawsze coś tam miałem), znaczącym gestem zaciskała dłoń na mojej ręce. „Nie trzeba. Jedz, jedz" – mówiła, siadając na brzegu krzesła. Jadłem chrupiące placki, popijając zimnym kefirem (przepadałem za tym jedzeniem). Maria pytała, co w szkole. I zawsze zapraszała w odwiedziny. W przerwach między kęsami coś tam opowiadałem, nie zawsze zdążyłem, wchodzili nowi klienci.

– Muszę podawać – mówiła. Potem przechodziła obok mnie jeszcze kilka razy, uśmiechając się.

Maria pokazuje na parawan z prawej strony drzwi i mówi, że Zbyszek zrobił jej łazienkę i ubikację i nie musi teraz wychodzić na korytarz, bo i jak? (Wzrok mimowolnie pada na nieruchome kolana). I znowu o synu: że zagląda czasami do niej, raz albo dwa razy w miesiącu, nie może powiedzieć, że nie. Mieszka na drugim końcu miasta, to nie może często – „ma swoje sprawy", usprawiedliwia go Maria – spyta, czy matce czego potrzeba, czy może do lekarza zawieźć, czy jakie zakupy zrobić i ucieka. Na syna złego słowa nie da powiedzieć, kiedy jaka sąsiadka wspomni, że Zbyszek powinien to czy tamto.

– Jak trzeba, to zawsze mi pomoże, kupi węgiel, do lekarza zawiezie... – zastanawia się – no i łazienkę zrobił. Dobry chłopak – ucina niespodziewanie, by po chwili znowu opowiadać o synu. A „dobry chłopak" i rentą się zaopiekuje – to przede wszystkim – bo, gdy matka będzie potrzebować – zapewnia przy każdej okazji – to on zawsze jest na miejscu, w gotowości, żeby pomóc, przecież wie, że zawsze dostaje na paliwo, i na co inne też. – Teraz wszystko drogie – podkreśla, usprawiedliwiając przede mną swoją do niego słabość.

Raz w tygodniu przychodzi siostra PCK i pomaga się wykąpać. Nie ma się gdzie wybrudzić, to częściej nie potrzeba.

– Gdyby nie ona... – Maria znacząco macha ręką – śmierdziałabym jak skunks. (Skąd u niej takie słowo? Przecież nie czytała Karola Maya).

Opowiada o listonoszu.

Ważny dla niej dzień oczekiwany z niecierpliwością dziecka.

– Listonosz to taki Święty Mikołaj starych ludzi. Dzieci mają Mikołaja raz w roku, a stare ludzie każdego miesiąca – śmieje się i mówi, że tak oczekuje już tylko jego i śmierci.

Maria przygotowuje się do tej wizyty od rana. Dłużej zatrzymuje się przed lustrem, wsuwkami dokładniej upina włosy, nawet wargi pociągnie szminką i skropi tanimi perfumami. Dłużej też myje ręce. Zakłada odświętną bluzkę i kolorowy sweterek. Ze spódnicą radzi sobie najtrudniej. Przygotowuje wszystko już w przeddzień. Ubranie trzeba wyciągnąć z szafy, przewietrzyć ze stęchlizny, czasami i przeprasować.

– Na wózku to na wózku, ale muszę jakoś wyglądać – podsumowuje.

Listonoszem jest Gienek. Maria zna go od małego, całe życie tutaj mieszkał. Kolegował się z młodszym synem (tym za granicą), przychodził do ich mieszkania. Teraz przyniesie rentę, usiądzie czasami, gdy się nie spieszy, porozmawia, spyta jak się czuje, nawet i herbatę wypije.

– Dobry człowiek, tylko chodzić już nie bardzo może – z żalem kończy o listonoszu.

Nadmiar czegokolwiek nikomu nie służy, zwłaszcza kiedy nie można obdarować innych. Nawet bardziej szkodzi niż brak. Maria cierpi na nadwagę i nadmiar czasu; nie może przecież ciągle patrzeć w okno, czy rozmawiać z nieobecnymi, to martwi się o innych. Że Bojszczakowa nie wyjdzie z domu bez nitrogliceryny („kiedyś ją złapało w mieście, to by się wykończyła kobieta, dobrze, że apteka była blisko"). Że Paduchową zżera rak. Że listonosz niedomaga na nogi. Że syn ma duże wydatki... Wymienia nieszczęścia bliższych i dalszych, patrzy na swoje zgięte w kolanach nogi i się śmieje, że ona sobie dobrze radzi. Opowiada, jak wstaje z łóżka.

U sufitu, nad tapczanem, wiszą na grubych sznurach stalowe kółka. Maria dosięga ich, gdy siedząc podniesie ręce. Najpierw ściąga bluzę piżamy (łatwiej zdjąć niż koszulę), drży, jesienny chłód przenika ją na wylot. (Psioczy na jesień i dostaje dreszczy na myśl o zimie. O każdej zbliżającej myśli, że to jej ostatnia. I tak od kilku lat. Jest przekonana, że któregoś roku nie doczeka wiosny). Kiedy poradzi sobie z piżamą, wciąga na siebie bluzki, bluzy, swetry – ubiera się „na cebulę" – a na wierzch taki gruby, z owczej wełny. Dopiero wtedy chwyta za kółka. (Wózek stoi tuż obok, tylne kółka, by się nie cofnęły w czasie siadania, blokuje przymocowana do podłogi listwa). Musi się sprężyć, i na ugiętych ramionach (bezwładne nogi stopy wbijają w miękki tapczan) unieść się nad posłaniem; lewitując, opada na siedzisko wózka, bacząc, by trafić między wsporniki ramion. Kończyny Marii są ciężkie i długie, a rzopa („po naszemu nazywam – mówi i się uśmiecha – trochę ładniej") jak wybujała dynia z trudem mieści się na wózku. Maria musi mieć tyle siły w rękach, by się podciągnąć na tych kółkach. Boi się myśleć, co by się stało, gdyby nie miała siły się unieść albo nie trafiła na wózek. Usadowienie się na nim – niemalże przedsięwzięcie dnia.

Zaciska dłonie na kółkach i lewituje w lewo, opada z westchnieniem ulgi, kiedy kolejny raz się udaje; gdy się już wymości, końce kocyka upycha pod nabrzmiałe opuchlizną uda – wtedy dopiero kładzie dłonie na gładkie powierzchnie opon i nakierowuje wózek w stronę otwartych drzwi do kuchni. Tutaj porusza się utartymi ścieżkami: kuchenka, zlewozmywak, kredens, okno i odwrotnie, i w innej kolejności. W misce z wodą obmywa twarz i oczy z nocnych mar, które ją nawiedzają często. Potem codzienny, niespieszny, rytuał ze śniadaniem: pieczołowicie smaruje kromki chleba (cienko, oszczędnie – nawyk z dawnych lat – zaciąga je masłem), nakłada cienkie plastry pasztetowej, mortadeli czy innej taniej kiełbasy, i dokładnie, popijając herbatą, przeżuwa.

Maria skończyła opowiadać (mam przeczucie, iż uznała, że powiedziała mi już wszystko), odchyliła się i oparła o poręcz krzesła, opuściła głowę i milcząc, zastyga. Patrzy z zainteresowaniem pod stół, jakby zobaczyła coś, czego dotychczas nie widziała. Podniosła głowę – jej uśmiech jest nieporadny, smutny.

– Czasami tak sobie myślę – mówi powoli, z powagą – że gdyby ich nie było, miałabym lżej. – Patrzy na mnie spojrzeniem bez wyrazu. (Orientuję się, że ma na myśli swoje bezwładne nogi). Po chwili przenosi spojrzenie w okno. – Znowu pada. Dzisiaj tak cały dzień.

Pogoda jest kołem ratunkowym naszej rozmowy. Teraz mówi o deszczu, że jesień i zima są dla niej najgorsze. Poprawia się, że tylko jesień, bo gdy spadnie śnieg, to jest ładnie.

– Siedzę wtedy w oknie i patrzę...

Kiedy tak opowiada, oczami wyobraźni widzę jesienne poranki, kiedy za oknem przeciera się noc: kryształki wody wiszące u gałęzi drzew, jak bombki na choince, omszałe sztachety ogródków, kałuże wody przed blokiem. Maria budzi się wcześnie, o wiele za wcześnie. Otwiera oczy, kiedy na podłodze ścieli się półmrok, a w oknie nieśmiało przegląda dzień. W pokoju ziąb. Zimne powietrze przeciska się przez nieszczelne okna. Wiatr tłucze okiennicami (przetrwały tyle lat!), hałasuje urwana rynna, strumienie wody ślizgają się po tynku. Mur jak gąbka chłonie wilgoć, rosną pleśń, grzyby...

Za oknem szarzeje.

Maria dostrzega moje spojrzenie.

– Jeszcze zdążysz, dokąd się śpieszysz – usiłuje mnie zatrzymać. – Wiesz, przed tygodniem miałam odwiedziny. Przychodzą kilka razy w roku – uśmiecha się tajemniczo. – Opowiem ci. – I opowiada, jak przyszli do niej świadkowie Jehowy. – Wpuszczam, bo co mi tam, teraz mi wszystko jedno. Siądą, ja im zrobię herbatę, czasami, gdy mam, to i ciastkami poczęstuję. Oni mnie już nie nawrócą. Tym razem przyszła kobieta i dziewczynka, dwanaście, może trzynaście lat, dziecko jeszcze, a już ciągają je po domach. Wyjęła książeczkę, potem drugą, pokazuje obrazki (takie same jak wtedy, kiedy byłam młoda) i zaczyna mi opowiadać o szczęściu i o zbawieniu, jakie mnie czeka, gdy przejdę na ich wiarę. Nie odzywam się, tylko potakuję głową. Skończyła (dziewczynka przez cały czas się nie odezwała), potem patrzy na mnie i pyta, czy się zgadzam (za każdym razem jest to samo). Muszę jej coś odpowiedzieć, myślę sobie. Mówię, że może bym i przyszła do was – ona tak z uwagą mi się przygląda – tylko, jak mam to zrobić? Klepię się po tych swoich martwych kulasach. – Maria śmieje się jak z dobrego dowcipu.

Żadne dźwięki nie dochodzą z zewnątrz, prócz kropel deszczu spadających na parapet. Rząd komórek za oknem ginie w przedsionku nocy, twarz Marii rozmywa sączący się przez szyby zmierzch.

Na mnie już czas. Woda chlupie pod stopami. W padających kroplach deszczu odbija się twarz Marii. Przed ścieżką wiodącą do ulicy jeszcze się oglądam. Wysmołowane dachy komórek połyskują jak brzuch olbrzymiej ryby przewalającej się przez fale. Monumentalny budynek ocieka wodą.

Tam już nikt nie mieszka.

Sierpień 2012

(I nagroda w XIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. E. Paukszty w Kargowej ph. *Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów*)

Autoportret
(antyk)

Ubranie uszyte z czarnych żagli
których zamroczony winem Tezeusz
zdjąć zapomniał
przyczyniwszy się do śmierci swego ojca
okrywa me liche ciało
co w całości piętą jest achillesową

W ręku nie dzierżę gromu
symbolu władzy
ani też wagi
z której dumna była Temida
lecz kłębek nici Ariadny
będący zapalonym lontem którego
nikt ani nic
ugasić nie zdoła
nim wieńczący go dynamit
nie wysadzi puszki Pandory

To kara za to że
zbratałem się z Prometeuszem
wykradając bogom ogień

Ciągnę za sobą przykuty
do mej lewej nogi
kamień którego Syzyf się wyrzekł
gdy doszedł do słusznego wniosku
że praca jego jest bezsensowna

Gubię po drodze strzępy piór
ze skrzydeł które dostałem
w spadku po Ikarze
jak Odys błąkam się po świecie
głuchy na głosy
pięknych lecz pragnących mnie zniewolić
syren
jednak czy dane mi będzie kiedyś
trafić do swojej
Itaki

1999

Adam Bolesław Wierzbicki

Autoportret w tłumie

Kropla potu wpadająca
do ogromnej winnej kadzi

Kryształkiem cukru zagubionym
pośród nieprzeliczonych ziaren piasku Sahary

Niebieskim chabrem wetkniętym
w bezkresne złotopszenne łany Ukrainy

Starym bezzębnym wilkiem spacerującym
wśród bezbronnego stada beczących owiec

Czerwoną plamą krwi zostawioną
na ogromnym białym płaszczu Antarktydy

Plującym czarnym dymem wysokim kominem
strzelającym w niebo w zielonych lasach Amazonii

Oto ja
zawsze i wszędzie

Obcy

25 października 1998

Przemysław Grzesiński

Strona medalu

Chciałbym cię przeprosić. Gdybym nie był takim chciwym, głupim kutasem, to pewnie siedzielibyśmy sobie dzisiaj tutaj. Inaczej. Pilibyśmy wino. Słuchalibyśmy jazzu. Inaczej.

Ale, oczywiście, nie. Zwyciężyło to, co gorsze. Zwyciężyło to, co silniejsze. Więc zwyciężyło to, co gorsze, czyli miałkie, czyli powszechne, czyli żadne. Zwycięstwo, więc przegrana.

Śmierdzi smażoną rybą, przypaloną, smażoną rybą i starymi ziemniakami zanurzonymi w oleju. Tanie, sprane obrusy, zasłonki à la cepelia i sztuczne kwiaty w dzbanuszkach kontrastują z cenami high live. Dochodzi czternasta, więc pięćdziesiąt i dwieście wędzonego węgorza. Czterysta od Warszawy, dziesięć do wypłaty i cztery w Zakopanem jeszcze. Piętnaście rat do zera, siedem do czterdziestki, starsze siedem, młodsze dwa, ona pierwsza.

Dlaczego tutaj tak syfi rybą, skoro po dziewięć za sto? Obok siedzą Niemcy. Głośno. Nawet kiedy się nie odzywają i nie są obok. Więc pięćdziesiąt.

Gdybyś tu był, to byś się nieźle uśmiał.

Mój respirator leży przede mną. Co chwilę sprawdzam w nim baterię. I tak od sześciu lat. Teraz z większym lękiem niż wcześniej. Więcej wiem o świecie, więc bardziej mnie przeraża.

Gdybyś znał mój lęk przed tym przedmiotem.

– Przepraszam do cholery, nie wiem, czy pani zauważała, ale czekam na frytki jedenaście minut, a i tak przyniesie je pani albo bez keczupu, albo bez soli i to zimne. Czy ja, kurwa, może za dużo wymagam, płacąc po dziewięć za sto!? W Warszawie już byś... by pani nie pracowała.

Przepraszam – myślę, kiedy już odchodzi. Ludzie patrzą na mnie. Facet sześćdziesiąt – sześćdziesiąt pięć klaszcze i mówi: dobrze pan powiedziałeś! Młodzież dzisiaj, proszę pana, to taka, że szkoda gadać, chodzą te dziewuchy z gołymi tyłkami, że ręce opadają.

W tym wieku to już opadają – myślę. – Za twoich czasów nawet rodziły we włosiennicy – myślę.

– Chuj by to wszystko – mówię. Mój respirator...

Pamiętasz, kiedy dostałeś od Piotra karton książek z piwnicy po jego bracie, co wyjechał do Holandii? Cztery Zajdle, dwanaście Lemów, jeden Asimov, dwóch Strugackich, trzy Le Guinki, osiem Sheckleyów, łącznie dziewięćdziesiąt sześć książek. Była zazdrocha i grubo wśród kumpli. Ty miałeś swój respirator, który podtrzymuje przy życiu.

Nieźle byś się ubawił, widząc mój.

Leży przede mną na tandetnym obrusie. Matowy, czarny. Śmierdzi smażoną rybą, ale mu to nie przeszkadza. Nic mu nie przeszkadza i wszystko o mnie wie. Wszystko słyszy. Jest narzędziem mojej pracy. To jemu mówię, że kocham, przez niego i dla niego. I nie mam złudzeń, że jest inaczej. Nie mam nadziei. Jego dotykam, żeby porozmawiać z dziećmi, z biurem. Czytam w nim o sobie. I nie stać mnie na jego odłączenie. Kiedy jest przy mnie żyję, zarabiam, jestem. Rozmawiam z nim więcej niż z kimkolwiek innym. Moim respiratorem jest mój iPod. Jakub, kurwa, miałeś rację.

Deszcz się wzmaga. Właśnie teraz, czy co? W życiu z tej smażalni nie wyjdę. A ty gdzie jesteś? – Nieważne. Przyjdziesz, zawsze mnie znajdziesz. Wyciągniesz jak szkielet z tego zasranego węgorza. (Ryby mają szkielet? A może ości składają się na coś innego?).

Kto smaży tu to cholerstwo, ja pierdolę! Czy poza kilkoma warszawskimi restauracjami naprawdę w tym kraju nikt nie potrafi porządnie podać i doprawić ryby? To jest takie kurewsko skomplikowane jak drzewo genealogiczne *Mody na sukces*? Upierdolę sobie tylko koszulę i tyle będzie. Pizda wielka chodzisz w szelkach.

Przynajmniej tyle, że wódka klasa sama w sobie.

Padało. Kiedy wszystko było jeszcze możliwe, a tak zwany świat stał tak zwanym otworem, padało. Wiał silny wiatr ze wschodu – ze wschodu jak w *Wyjściu z cienia*. Ludzie chodzili ponumerowani jak w *Całej prawdzie o planecie Ksi*. Domy były szklane jak w *Paradyzji*. Świat wymagał i oczekiwał. Ode mnie. Świat czekał. Padał deszcz. Ty wiedziałeś, Jakub, że to błąd, że to ostatnie miejsce, gdzie warto wchodzić, nawet na chwilę, nawet po to, żeby schować się przed deszczem, wiatrem, mrozem. Czymkolwiek, kimkolwiek. Nie wchodzi się do biura poselskiego partii. Nie posłuchałem cię.

Najpierw w pierwszy dzień, po wejściu, normalna rozmowa, uprzejmi ludzie. Darmowa kawa z ekspresu wysokociśnieniowego, żadne zalewane wrzątkiem fusy. Perspektywa rozszerza się, widać właściwych ludzi na właściwych miejscach, nowe komputery, legalne oprogramowanie, perspektywa rozszerza się. Widać lepsze jutro, lepszy świat, pracę zespołową, szczęśliwych obywateli – jeszcze nie, jeszcze wtedy naprawdę, jeszcze na serio, kurwa poważnie – jeszcze z tego wszystkiego nie lałem, serio, serio – świat się układał.

Potem było darmowe ksero, darmowy internet, darmowa kawa z ekspresu wysokociśnieniowego, żadne zalewane wrzątkiem fusy, materiały z biura na uczelnię, pismo – jeden numer, drugi.

– Alicja, wiem, że miałem przyjść, ale z chłopakami z biura idziemy na taką imprezę integracyjną. Wiesz, kto tam będzie?

Nie słyszałem jej. Czegokolwiek by nie mówiła, cokolwiek mówiła, jakkolwiek i tak nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Alicja, wiem, że miałem przyjść, ale z chłopakami z biura idziemy na taką imprezę integracyjną. Wiesz, kto tam będzie?

– Nie idź, kochanie, umarła mi matka, przejechał mnie tramwaj, zabiłam ojca.

– Alicja, wiem, że miałem przyjść, ale z chłopakami z biura idziemy na taką imprezę integracyjną. Wiesz, kto tam będzie?

– Ja cię kocham, ale nie masz dla mnie czasu, mieliśmy obejrzeć film, odkładasz to już czwarty raz.

– Alicja, wiem, że miałem przyjść, ale z chłopakami z biura idziemy na taką imprezę integracyjną. Wiesz, kto tam będzie?

– Ja odchodzę.

– Wiesz, kto tam będzie?

– Nie będzie mnie, kiedy wrócisz. Ale ty już nie wrócisz, prawda?

Popatrzyłem na jej cycki i nie dosłyszałem. Jedno zdanie, które miało zreferować ją całą, przyćmione zostało przez dwa potężne melony i muzykę w integrującym nas klubie. Tak zapoznałem się z moją obecną żoną Ireną, Jakub. Zdanie to brzmiało:

Kocham się śmiać i dobrze bawić.

Kocham się.

Kocham się.

Kocham się.

Śmiać i dobrze bawić.

Bawić. Bawić! Bawić!

Ba ba ba ba ba bawić, jaaaaaazzzzdaaaaaaaaa!!!

Elektro weszło w stan wyższej konieczności. Lasery rozstrzeliwały salę. Poniósł mnie polityczny melanż.

Irena Bogalewska była uroczą dziewczyną o długich, wówczas blond, włosach rozrzuconych na hotelowym łóżku, popsutej górnej szóstce i motywacyjnym usposobieniu objawiającym się dopingowaniem: Dalej! Tak! Dasz radę! Właśnie tak!

Jej motywujące skandowania idealnie pasować mogły jako hasła na dowolny plakat wyborczy.

Jan Kowalski – Dasz radę!

Jan Kowalski? – Właśnie tak!

Irena była dziewczyną, którą dzisiaj nazwałbym silnie umocowaną politycznie.

20 czerwca, między 14.00 a 14.48 rozegrała się najważniejsza rozmowa w moim życiu. Adam Bogalewski – wicedyrektor, poseł, gigant, brat Ireny. Na spotkanie wybrał jedną z najdroższych restauracji w Warszawie. Oczywiście po to, żebym nie wiedział, co i jak zamówić, oczywiście po to, żebym nie mógł uregulować swojego rachunku. Wydawał mi się wtedy szarmanckim, arystokratycznym politykiem nowej klasy i jakości. Dopiero później zrozumiałem, że to nie szarmanckość, a pogarda dla tych, którym się nie udało to, co jemu. Dopiero później zrozumiałem, jak bardzo miał na wszystko wyjebane.

– Wiesz, dlaczego cię tutaj zaprosiłem? – spytał, podtrzymując kciukiem podbródek.

– Domyślam się, że chciałeś porozmawiać – bardziej spytałem, niż stwierdziłem.

– Nie. Nie do końca. Chciałem ci kilka rzeczy uświadomić. Zaoszczędzić czas, energię. Pokazać skrót. Żeby niedomówień w przyszłości nie było – mówił w sposób wyrobiony, ze swadą, charyzmą, prawie naturalnym wdziękiem często towarzyszącym osobom, które na wiele stać.

– Okej…

– Żenisz się z moją siostrą, i dobrze robisz. I mądrze, i taktycznie, i wszystko okej. Jak coś zrobisz nie tak, wiesz, że cię nie ma, prawda?

Zmrużył oczy i wykrzywił usta jak w grymasie, półuśmiechu, półsprawdzająco, pół żartem, pół śmiertelnie serio, czy na pewno właściwie odczytuję jego intencję, czy dokładnie go rozumiem, czy wpasowuję się w sposób ścisły w program jego myślenia. To pół na pół było ważne jak sam skurwysyn, bo kiedy by robiło się 48 do 52, Bogalewski byłby już gotów wydłubać rozmówcy łyżką oczy, rzucić się do krtani, zagryźć, zdeptać, zemleć i wypluć.

– Dobrze – kontynuował. – Trzymasz się mnie blisko. Zawsze, kiedy ci powiem. Comprendo?

– Si – odpowiedziałem.

– Dobrze. Dzisiaj pójdziesz ze mną, spotkamy się ze Sznycalskim.

– Ale on jest z…

– Z Warszawy – poprawił mnie. – On jest z Warszawy, to jedyna rzecz, która nas interesuje. Jest z Warszawy jak my, prawda? Oglądasz champions league?

– Tak.

– Konkretny klub czy po prostu lubisz piłkę?

– Lubię Bayern, mój kumpel…

– A to już nieważne jest. Teraz i w ogóle. Polityka to kluby. Możesz sobie lubić barwy Bayernu, ale grasz w Milanie, rozumiesz? Chuj mnie, ciebie i innych obchodzi, że jest pasek zielony, niebieski, czy chuj wie co na koszulce. Myślisz, że Ronaldo, jak idzie na boisko, to zastanawia się, dla kogo gra i kiedy powstał jego klub? Surfuje sobie jak po markecie, wkłada do siaty sobie, ile wlezie, tyle że przy kasie to jemu płacą, a nie on. Grasz w pomocy.

– To znaczy?

– To znaczy, że pomagasz mi we wszystkim, co ci powiem, robisz, co ci powiem i tak też właśnie myślisz. Co myślisz?

– Ty mi powiedz.

– Właśnie. Obroniłeś się już?
– Tak. Tydzień temu.
– Za tydzień zaczynasz pracę.
– Gdzie?
– Nie gdzie, tylko za ile.
– Ile...?
– Średnia krajowa.
Co? Ja? – pomyślałem. Zatkało mnie.
– To jest...
– To jest początek.
– Co będę robił?
– Już ci powiedziałem. Masz słuchać.
– Okej, ale ja mam pomysły. Chociażby...
– Dobrze. Dobrze. Dlatego tu jesteś. Miałeś dobre pomysły, jesteś kreatywny, więc się do mnie dostałeś. Ale teraz będziesz miał inne pomysły.
– Chciałbym jednak mieć wpływ...
– Kurwa, to sobie kup kajak! Czepek, wiosła i spływ Dunajcem do Szczawnicy! Wprowadzam cię, bo jesteś narzeczonym mojej siostry i masz szansę coś osiągnąć w życiu. Żyjemy w feudalnej Polsce, więc nie pierdol mi tu o jakichś swoich fochach i pierdach! Jesteś jebanym Billem Gatesem? Jeśli jesteś prawdziwym geniuszem, to nas nie potrzebujesz, mnie nie potrzebujesz, bo sobie poradzisz sam. Nawet w Polsce. Ale ty... Ty jesteś tylko zdolny. Niestety, po prostu tylko zwyczajnie zdolny. I bez nas nie osiągniesz nic. Nieważne, czy bez nas z Milanu, czy bez nas z Bayernu. Tylko zdolny możesz wypierdalać do Norwegii czy innej Holandii na zmywak i jak bociek na zimę wracać, żeby kupować coraz droższe leki dla starzejących się rodziców. Comprende amigo?
– Comprende.
– Bądź zdolny, punktualny, uczciwy. I nie bądź za zdolny. Nie próbuj ciągnąć za sobą peletonu. Nigdy.
– Zdolny, punktualny, uczciwy. Okej. Uczciwy. Znaczy lojalny.
– Mówiłem, że jesteś zdolny. Rozumiesz?
Tak. Rozumiem. Mam dwadzieścia cztery lata. Zaczynam proces transformacji. Przemieniam się w motyla, mistrzu Machiavelli – pomyślałem. Wydawało mi się, że wygrałem los na loterii.
– Ja swoje zdanie to mam bynajmniej. Normalnie żal mi cię! Jakaś żenada, kurwa, to jest! Żenua jakieś, człowieku!
Jakub, ty to słyszysz? Jeden kurwiszon, omyłkowo przez kulturalnych ludzi nazywany kobietą, drze się na facecika, który coś tam skacze sobie do niej w sandałkach ze skarpetkami i wąsikiem pod tytułem Polska B. I wiesz co, Jakub? Ty byś tego nie zrobił. Z całym tym swoim Zajdlem, Lemem i Le Guinką, co to opisują światy nieistniejące, ty byś ten ich obrazek schował w sobie.
Co jak co, ale wódkę mają tu zacną. Zmrożona, a słodka jak ogień.
Ty byś nic nie powiedział, Jakub. Introwertycznie zawłaszczyłbyś obraz tej parki i być może zamieszkałaby ona na *Planecie zła* w twojej głowie, ale co z tego? Albo zobacz – idzie taka *Matka Powieszonych* i zbiera po parę złotych. Może byś ją wsparł dobrym słowem i co jej to da? A ja? A ja kurwa mogę. Bo ja, kurwa, jestem.
– Ale może ja zasługuję na coś więcej od życia? Może ja mam jakieś aspiracje – kontynuował kurwiszon omyłkowo przez kulturalnych ludzi nazywany kobietą. Wywaliła ręce na boki i wachluje nimi jak pojebana. Kurwa, człowiek-nietoperz w centrum Zakopca poluje na smażoną rybę, czy jak? Zawsze mi się trafi jakiś przebój, jak mam tylko chwilę dla siebie.

Patrz, Jakub, no patrz, jak to się robi po rządowemu.

– Może pani zamknąć japę? Jak słyszę żal, żenua, żenada i inne żet z kropką, to już wiem, że mam do czynienia… – no i mi się czknęło…

– No z kim? – zapytał poirytowany facio w krótkich spodenkach, sandałkach, skarpetkach, spocony – na oko w dziewięćdziesięciu procentach.

– No z kim? – zgodnie jak od dnia ślubu, którego nie było, zawtórował kurwiszon omyłkowo przez kulturalnych ludzi nazywany kobietą.

Wstałem, podszedłem do nich, stanąłem między nimi i oboje, po przyjacielsku, bratersko uścisnąłem.

– Z wyborcami! – powiedziałem z możliwie największą empatią, na jaką było mnie stać.

Zbaranieli.

– To znaczy? – zapytał wąsik.

– Znaczy – odpowiedziałem z namaszczeniem. – Nawet nie wiedzą państwo jak wiele. Złapałem koszulkę wąsika i poprawiłem na nim. Była przesiąknięta potem.

– Squisitamente – powiedziałem. – Znakomicie.

No i co, Jakub? Zdziwko, co nie?

– Gdyby chciała pani aspiracje rozwijać w Warszawie – tu jest moja wizytówka. Jestem radnym. Pomogę. Radny, radny, lecz zaradny.

– Nic tak nie umacnia przyjaźni jak małe prezenty i drobne przysługi – jak mawia jeden z moich licznych przyjaciół – dodałem i uśmiechnąłem się.

Podziękowali, poszli.

Trzeba zmieniać świat. Kochać ludzi.

O, rozchmurza się. No i pozytywnie… Pozytywnie…

A co, jeśli do rady nadzorczej wezmą Klawika? Irena będzie wściekła.

– Obiecałeś, obiecałeś mi, że zabierzesz mnie na Majorkę. Od ślubu tam nie byłam, a i tak za podróż poślubną płacił mój tata! Nie będę latać do Tunezji jak jakaś sekretarka! Sorry, kolego. Miałeś być zastępcą dyrektora – i co? Wszędzie, w całej Polsce zastępcami zostają ludzie z nadania, a ty? Politolog! Klawik jest po historii i jest w ambasadzie portugalskiej! Wierzba z kolei…

– Kurwa… Będzie afera jak smok, jeśli wezmą Klawika.

Frytki zimne, no i jasne, bez keczupu. Ja pierdolę, co za kraj.

Może by se tak, łowce pasać? Chodzić w tym śmiesznym kapelusiku góralskim z tymi takimi lampasami, syr robić? Co, Jakub, śmieszne, nie? Śmieszne.

Trochę to wszystko… pojebane.

Najbardziej smutne jest to, że wczoraj… wczoraj świat był duży. Oni mogli go zmienić.

– Poproszę jeszcze jedno piwo – powiedziałem do przechodzącej obok kelnerki.

– Jasne czy ciemne?

– Bez znaczenia – odpowiedziałem.

– To jakie pan woli?

– Łamane. Jest pani naprawdę góralką czy to tylko strój?

– Tak, góralką. Mamy jasne lub ciemne.

– Jak się to nazywa? – wskazałem na coś takiego przyczepionego przy gorsecie.

– Kaletki – odparła. – Na jakie piwo się pan zdecydował?

– Nie mam zdania.

– Gdyby się pan zdecydował…

– Ja już się na nic nie zdecyduję.

Uśmiechnęła się uprzejmie, wymijająco. Była w pracy. Już musi iść. I pójdzie. Za dwie, cztery, sześć godzin pójdzie do domu i ściągnie kaletki. Założy jeansy. Albo i nie.

I nie będzie już w pracy. Będzie góralką. Albo i nie.

Wczoraj świat był duży. Oni mogli go zmienić. Do nich można było się zwrócić. Oni mogli odtrącić lub przytulić.

Dzisiaj oni to my.

Świat jest mały. To Heniu. To Zbyszek. Heniu nie jest panem doktorem, jest chujem. Zbyszek nie jest ambasadorem, jest tym, który wyrżnął wszystkich swoich politycznych kolegów.

Wszystkie światy Lema, Ursuli Le Guin, Zajdla i Sheckley'a skurczyły się.

Zwiadowca, astronauta przemierzający samotnie kosmos, z misją niedokończoną na...

– Jakub, do cholery! – Irena wpadła do smażalni i pokonała slalomem stoliki z prędkością strusia pędziwiatra. – To ja z dzieciakami cię szukam, a ty tu siedzisz sobie w najlepsze i wódeczkę popijasz.

– Mogłaś zadzwonić.

– Nie mogłam, zasięgu tutaj nie mam.

– Mówiłem ci, żebyś operatora nie zmieniała.

– Jakub, ty już lepiej nic nie mów, dobrze? Wyglądasz, jakbyś ze stypy wrócił. Umarł ci kto?

– Tak. Albo i nie.

– Znowu jesteś napruty, jeszcze szesnastej nie ma.

– Chyba mogę kiedyś odpocząć, co?

– Chciałabym już być w domu – kawa z ekspresu wysokociśnieniowego, żadne zalewane wrzątkiem fusy.

Strona medalu Przemysława Grzesińskiego to ostatnie opowiadanie z cyklu zatytułowanego *Brama*, w którego skład weszło osiem utworów. Każdy z nich może być odczytany odrębnie jako samodzielny tekst, jednak dopiero lektura całości ukazuje prawdziwe intencje autora. *Brama* jest bowiem rodzajem obrachunku pokolenia urodzonego w latach 80. z przeszłością i teraźniejszością. Kreowany przez autora bohater to wnuk pokolenia Kolumbów, o których Tadeusz Różewicz mówił jako o „ocalonych", „prowadzonych na rzeź", „krzyczących w nocy". To pokrewieństwo dotyczy nie tylko świadomego wykorzystania motywów i obrazów z pierwszego powojennego tomiku poety *Niepokój* (otwiera go wiersz *Róża*), ale jest przede wszystkim podjęciem próby wypowiedzi w imieniu generacji młodych spustoszonych wewnętrznie przez swoje czasy. Okazuje się bowiem, że nie tylko koszmar wojny może stać się przyczyną zachwiania wszelkich wartości, lecz pozornie bezpieczny dla nich czas pokoju. Zdawać by się mogło, że pokolenie, które czas wojennej Apokalipsy zna jedynie z podręczników historii, nie powinno mieć trudności w odróżnianiu prawdy od kłamstwa, miłości od nienawiści – bowiem powtórne oddzielenie światła od ciemności zostało już dokonane, przywrócone. Co zatem się stało, że transmisja spuścizny wartości i dorobku kulturowego została zachwiana? Jaki popełniono błąd, że młode pokolenie nie chce, nie może, czy nie potrafi ich przyjąć?

Autor *Bramy* nie daje odpowiedzi na te pytania. Głos jego bohaterów to głos tych młodych, których oskarża się o sprzeniewierzanie się odwiecznym prawom, o nieznajomość historii i tradycji, młodych nastawionych konsumpcyjnie do świata, wyzutych z wszelkich zasad, nieodczuwających żadnych więzi z minionym, dla nich już archaicznym i niezrozumiałym czasem. I zarazem to głos tych „ocalonych" z pożogi upadku wartości, którzy jednak nie potrafią odnaleźć swojego miejsca wśród rówieśników wyznających z rozbrajającą szczerością: „Mam dwadzieścia cztery lata i... jestem, jaki jestem".

Supełki

pierwsze wrażenie
na żabi skok
wiosna

era wodnika
czas pogania
echo

obecny – nieobecny
na jednej nodze
bocian

wrony za pługiem
niosą brzemię
orki

w ogrodzie zięba
w barwach ziemi
widmo

pająki w sieci
przyczajone
punkty

żagiew płonąca
maki w polu
cisza

lilia tygrysia
liże piegi
lata

w podcieniach zmierzchu
niosą jeże
księżyc

to psia pogoda
skryła górę
w chmurach

Zofia Mąkosa

Pas Oriona

Jest mroźna lutowa noc. Śnieg ledwie przyprószył drzewa w parku. Cienką warstwę leżącą na trawnikach przecinają ślady ludzkich i ptasich stóp. Niczym nie skalaną biel ma tylko skute lodem jezioro. Ale jedynie dalej, bo blisko brzegu widoczne są smugi po ślizgających się dzieciach i miejsca wydeptane przez wędkarzy. Wieś śpi. Od czasu do czasu zaszczeka pies, ale niechętnie, bo mróz zabiera oddech i lepiej skulić się w budzie niż prowadzić towarzyskie pogawędki.

Centralne miejsce w pogrążonym we śnie parku zajmuje pałac. W blasku księżyca łatwo zauważyć jego jasną bryłę przykrytą dwuspadowym dachem. W oknach klatki schodowej widać światła. Poza tym wszędzie panuje ciemność. Ciemno jest też w małej sali znajdującej się w sześciobocznej pałacowej wieżyczce. Do każdego z boków przystawione jest metalowe łóżko i przyporządkowana mu szpitalna szafka. Wydaje się, że mieszkające tu dzieci śpią. Na jednym z łóżek, tuż przy drzwiach, leży dziewczynka. Ręce ma wyciągnięte wzdłuż boków. Głowa wsparta na wysokiej poduszce, oczy są szeroko otwarte i błyszczące. Z napięciem wpatruje się w nocne niebo, dobrze widoczne w dużych, pozbawionych firan i zasłon oknach. Wreszcie znajduje poszukiwany gwiazdozbiór i pogrąża się we wspomnieniach.

W sali rozlega się ciche popłakiwanie. Dziewczynka obraca głowę. To Stasia. Jest bardzo chora. Męczą ją straszne bóle głowy. Nawet po lekach mijają powoli. Czasem dziesięcioletnia Stasia płacze z tęsknoty za domem. Ewa podnosi się i podchodzi do łóżka koleżanki.

– Posuń się. Przytulę się do ciebie. Łatwiej zaśniesz.

– Nie. Idź po pielęgniarkę – prosi Stasia. – Boli. Nie mogę już wytrzymać.

Jakby na dowód tych słów ciałem chorego dziecka zaczynają wstrząsać torsje. Ewa schyla się i wyjmuje spod łóżka metalową miskę. Podstawia ją Stasi i szybko idzie do dyżurki. Najpierw przemierza dużą salę, w której stoi w dwóch rzędach kilkanaście łóżek. Potem musi przejść obok sypialni pełnej maluchów. Stamtąd też słychać pochlipywanie. Ewa zagląda do małych dzieci i widzi pielęgniarkę uspokajającą dwuletniego chłopczyka.

– Siostro, Stasia źle się czuje. Zwymiotowała.

– Już idę, tylko najpierw muszę zajść do zabiegowego.

– Ale ona zabrudziła piżamę.

– To pójdź do jej szafki na korytarzu i zobacz, czy ma jakąś czystą.

Ewa przemierza długie pałacowe korytarze. Drży z zimna i ze strachu. Wydaje jej się, że w tym obcym, chłodnym pałacu jest zupełnie sama. Żarówki świecą bardzo słabo, a boazerie na ścianach dodatkowo pochłaniają światło. W ciemnych wielkich oknach kolejno odbija się sylwetka jedenastoletniej dziewczynki w żółtej piżamie. Zielone oczy czujnie patrzą w każdy kąt, usiłując dostrzec, czy nie czai się w nim jakieś niebezpieczeństwo. Wreszcie dociera do miejsca, gdzie korytarz się rozszerza, tworząc niewielki hol. Stoją tu szafki, w których są rzeczy dzieci niemieszczące się w salach. Nikt ich nie zamyka na klucz, więc Ewa bez

trudu otwiera szafkę Stasi. Znajduje piżamę. Jeszcze sprawdza, czy na tasiemkach obowiązkowo przyszytych do każdej sztuki ubrania jest imię i nazwisko koleżanki, zamyka szafkę i szybko wraca do sali. W drodze powrotnej ogląda się co chwila. Wyobraźnia podsycana półmrokiem i pałacową architekturą tworzy straszne obrazy. W końcu dociera do pokoju w wieżyczce i z ulgą zamyka za sobą drzwi.

Prawie jednocześnie zjawia się pielęgniarka. Po cichu rozmawia ze Stasią, potem zapala światło i pomaga jej się przebrać. Z metalowego pudełka wyjmuje igłę, mocuje ją na strzykawce, później przebija cienkie wieczko pojemnika z lekarstwem, wciąga je do strzykawki, dodaje płyn ze szklanej ampułki i po przetarciu wacikiem, wbija igłę w pośladek chorej. Siedzi przy niej jeszcze chwilę, głaszcząc uspokajająco gęste, szorstkie włosy dziecka. Kiedy dostrzega, że lek zaczyna działać i Stasia zasypia, wstaje, zabiera metalowe pudełko i miskę, gasi światło i wychodzi. Pozostałe obudzone wcześniej dziewczynki również pogrążają się we śnie. Ewa też próbuje. Obraca się na bok twarzą do ściany i przymyka powieki. Ale sen nie przychodzi. Znowu kładzie się na plecach i szuka wzrokiem swoich gwiazd. To te same, które widać z okna sypialni znajdującej się tylko pięć kilometrów stąd. Wyobraża sobie swój uśpiony dom. Mamę i młodszego brata, dziewczynę do pomocy – Krysię i sukę Sabę na legowisku pod kuchennym piecem. Uśmiecha się, bo w wyobraźni widzi, jak Saba przez sen pomrukuje i leciutko rusza łapami, jakby biegła.

Jednak po chwili wpatrzone w gwiazdy oczy smutnieją. Ręce bezwiednie zaciskają się na pościeli. Ewa myśli o minionym dniu. Skończył się drugi miesiąc pobytu w sanatorium. Jutro poniedziałek, od nowa zastrzyki, pobieranie krwi, niemiła przełożona pielęgniarek, zmuszająca codziennie do jedzenia obrzydliwej słodkiej, pełnej kożuchów zupy mlecznej z ryżem i wmuszająca na obiedzie szpinak, choćby zbierało się na wymioty. Sobotnia zbiorowa kąpiel bez odrobiny intymności. Nie, wcale nie jest tak źle. Czasem jest całkiem miło. Rozmowy z Jagodą, śliczną przyjaciółką z dużej sali, objazdowe kino, spacery, zajęcia w świetlicy i dni, kiedy dyżur ma pani Gabrysia. Uczy piosenek, śpiewa kołysanki, rozmawia o tym, co kogo boli. Rozwesela, widząc smutną minę. Nie jest źle, ale nocą przychodzą do głowy te gorsze chwile. Wtedy szuka trzech gwiazd w Gwiazdozbiorze Oriona. Patrząc na nie, wyobraża sobie, że jest w domu. Ale dzisiaj to nie pomaga. Na wspomnienie minionego dnia za gardło łapie kurcz. Dzisiaj były odwiedziny. Nikt nie robi problemu, jeśli ktoś przyjedzie w zwykłą niedzielę, ale oficjalnie na odwiedziny jest wyznaczona jedna w miesiącu. Ewa ma już za sobą drugą taką niedzielę. Miesiąc temu pod koniec stycznia nie mogła się doczekać dnia wizyty. Przez trzy tygodnie nikt do niej nie przyjechał. Ale to się zdarzało też innym dzieciom. Szczególnie tym, które miały rodziców daleko. Po wcześniejszym niż zwykle obiedzie kolejno wszystkie dzieci były wołane do świetlicy na spotkanie z rodzicami. Ewa zrywała się za każdym razem, słysząc kroki wychowawczyni. Nikt do niej nie przyjechał.

Nie mogła w to uwierzyć.

Mija luty. Dziś były kolejne odwiedziny. Tak, jak miesiąc wcześniej, siedziała sama w pustej sali. Na kolanach trzymała książkę, ale przez godzinę nie przewróciła ani jednej kartki. Kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi do dużej sali, serce drgnęło. Nie było wołania, tylko kroki wychowawczyni sprawdzającej pokoje. Zbliżały się do półotwartych drzwi salki w wieżyczce. Jeszcze chwila i zobaczy ją. Samą. Przesunęła się cicho w kąt łóżka. Po chwili kroki oddaliły się. Odetchnęła z ulgą.

Teraz Ewa leży, wpatrując się w trzy gwiazdy. Z kącików oczu ku poduszce płyną łzy.

– Jeszcze dwa tygodnie – myśli. – Niedługo będę w domu.

Wreszcie zmęczona obraca się na bok, otula kołdrą i zasypia.

* * *

Noc jeszcze się nie skończyła. Zaledwie kilka kilometrów od parku i stojącego w nim pałacu leży wieś. W mroźnym powietrzu intensywnie błyszczą gwiazdy. Wśród bezlistnych drzew i krzewów stoi dom z drewnianym gankiem. W kuchennym piecu wygasł już ogień. Ciepło jest tylko w dużej sypialni, gdzie słychać

oddechy śpiącego chłopca i kilkunastoletniej dziewczyny. Niedaleko okna stoi duże podwójne małżeńskie łóżko. Jedna jego część jest zasłana. Nikt tam nie śpi. Na drugiej leży kobieta. Choć jest bardzo późno, ona położyła się dopiero przed chwilą. Na sen zostały jej tylko cztery godziny. Musi wstać wcześnie, wydoić krowę, wystawić mleko do mleczarni, napalić pod kuchenną płytą, zagotować wodę, sparzyć śrut w wiadrach i nakarmić nim świnie, pozbyć się lodu z kurzego garnka na wodę, nakarmić drób, obudzić Krysię, umyć się, ubrać porządnie i, mimo mrozu i lodu na drodze, wyruszyć rowerem do pracy w pobliskim miasteczku.

Chociaż jest strasznie zmęczona, nie może zasnąć. Całą minioną niedzielę, jedyny wolny od pracy zawodowej dzień, spędziła poza domem. Chciała odwiedzić Ewę, ale w tygodniu dostała pismo z internatu, gdzie mieszkał najstarszy syn, by obowiązkowo stawiła się na spotkanie z kierownikiem. Ta sprawa była ważniejsza, więc wstała o czwartej rano i poszła przez ciemną wieś, a potem drogą przez łąki na małą stacyjkę, skąd miała wyruszyć dalej. Przyszła na ostatnią chwilę, ale pociąg się spóźniał. Trzy ściany kolejowej wiaty słabo chroniły przed podmuchami lodowatego wiatru. Postawiła na betonowej podłodze torbę ciężką od przygotowanego dla syna jedzenia. Mimo ciepłego płaszcza mróz przenikał do szpiku kości. Palców u rąk i stóp prawie nie czuła, więc raz po raz poruszała nimi, by całkiem nie zesztywniały. Wreszcie daleko na wschodzie zobaczyła światła nadjeżdżającego pociągu. Po kilku minutach znalazła się w pustym wagonie.

Jadąc, rozmyślała o swoich starszych synach. Janek już drugi rok uczył się w odległej o prawie sto kilometrów szkole średniej z internatem. Niestety, często była wzywana z jego powodu. Wesoły i ruchliwy z natury, z trudem podporządkowywał się regulaminom. W dodatku uczył się tylko tego, co lubił – przedmiotów zawodowych. Inne nie interesowały go zupełnie. Z powodu różnych przewin i słabych ocen co rusz pozbawiano go stypendium. Dla matki, której zawsze brakowało pieniędzy, był to poważny problem. Dzisiaj zapewne jechała w podobnej sprawie. Kto wie, co znowu zbroił.

Marian też wybrał szkołę z internatem, ale położoną zupełnie gdzie indziej. Mimo że był tam dopiero pół roku, już pojawiły się problemy. Rozgniewany, nie umiał się opanować. Zadarł z chłopakami z miasta.

Wszystko byłoby inaczej, gdyby żył Wojtek. Chłopcom brakuje ojca – myślała wtulona w kąt przy oknie.

Pociąg zatrzymał się. Wysiadła. Za pół godziny miała przesiadkę. Zmieniając co chwilę rękę niosącą torbę, dotarła do budynku stacji. Usiadła na twardej drewnianej ławce w poczekalni. Ciepło i zmęczenie spowodowały, że zasnęła. Obudził ją głos z megafonu zapowiadający przyjazd pociągu. Zerwała się i wyszła szybko na peron. Zimny wiatr natychmiast zabrał całe nagromadzone ciepło. Aż się skuliła pod jego podmuchem. Parowóz już wtaczał się na stację. I w tym pociągu wagony były prawie puste. W niedzielę mało kto musiał jechać do pracy. Znowu usiadła przy oknie. Wpatrywała się w ciemność i dalej myślała o swoim życiu. Nigdy nie było lekkie. Miało jednak swój szczęśliwy rozdział. Piętnaście lat z Wojtkiem. To prawda, że były naznaczone ciężką pracą i strachem o jego chore serce, ale były też dzieci, radość wzajemnej bliskości i budowania wspólnego bytu. Niespełna trzy lata temu Wojtek umarł. Zdrzemnął się na chwilę po obiedzie i już się nie obudził. Została sama z dziećmi i z mnóstwem różnych kłopotów. Renta po mężu była tak mała, że musiała wrócić do pracy. A i to nie starczało. Od czasu do czasu sprzedała jajka, mleko albo wyhodowaną świnię. Ale jak chłopcy poszli do internatów, było jeszcze ciężej. Poza tym bardzo ich brakowało w małym gospodarstwie. Młodsze dzieci były zbyt małe, żeby zastąpić swych starszych braci w pracy na polu lub w obejściu.

Pociąg stanął. Było już jasno. Jeszcze tylko kilometr pieszo i była na miejscu. Tam rozmowa ze skruszonym Jankiem i z wychowawcą w internacie. Tym razem groźba usunięcia ze szkoły. Wybłagane darowanie winy. Krótkie sam na sam z synem i droga powrotna. Znowu pociąg, przesiadki i smutne myśli.

Był już wieczór, kiedy wróciła do domu. Szybko się przebrała i poszła zobaczyć, czy Krysia potrafiła zadbać o zwierzęta. Potem kolacja, rozmowa z Tomkiem i ułożenie go do snu. Później jeszcze długo ślęczała nad książkami i zeszytami, by przygotować się na jutro do pracy w szkole.

Teraz leży w łóżku i nie może zasnąć. W głowie natrętnie stukają koła pociągu. Z łóżka, gdzie śpi najmłodszy chłopiec, dobiega kaszel. – Znowu się przeziębił – martwi się kobieta. – Czemu on jest taki poważny? Przecież ma tylko sześć lat. Powinien się bawić, chodzić do kolegów, a on obserwuje ptaki, spaceruje z Sabą, ogląda książki o zwierzętach, pyta o las, o ojca... Znowu nie pojechałam do Ewy. Zawsze coś stoi na przeszkodzie. Całe szczęście, że choć ona ma ciepło, czysto i o nic nie musi się martwić.

Kobieta wpatruje się w gwiazdy za oknem. Na niebie wyraźnie widać Gwiazdozbiór Oriona – wielkiego łowcy, spiętego w talii trzema gwiazdami – Pasem Oriona. To Wojtek, zapalony myśliwy, powiedział jej, jak się nazywa. Może tak jak Orion wędruje ze swoim psem gdzieś daleko? Wciąga rękę ku pustemu posłaniu. Poduszka już dawno straciła jego zapach, ale wtula w nią twarz i zamyka oczy.

* * *

Mróz puścił. Marcowe słońce topi resztki śniegu. Betonową drogą przez las idzie Ewa z mamą. Niosą dużą torbę z rzeczami dziewczyny. Dwa kilometry do głównej trasy i przystanku autobusowego mijają szybko. Matka opowiada, co zdarzyło się w domu przez ponad dwa miesiące, kiedy nie było tam Ewy.

– A co u ciebie? Jak ci tam było?

– Dobrze. Poznałam dużo koleżanek. Z jedną wymieniłyśmy adresy i będziemy do siebie pisać.

– Tęskniłaś do domu?

– Trochę.

– Wiesz... Ja nie mogłam się wyrwać, żeby ciebie odwiedzić. Ciągle mam tyle pracy. Ale na pewno nie do wszystkich dzieci przyjeżdżali rodzice?

– Nie. Nie do wszystkich.

Na przystanku zatrzymuje się biało-niebieski autobus. Po chwili rusza. Wysiądą na kolejnym przystanku i pójdą do domu, niosąc razem ciężką torbę.

Różowa kula

Różowa kula widzi
Kobietę
Błyszcząca w ramionach
Dżungli
Skąpana w ulewnym deszczu
Amazonia wydaje szelest
Pięknej tajemnej muzyki
Kula pęka
Rozprzestrzenia się różowy
Pył
Kobieta odpływa otoczona
skorpionami i piraniami
Podróżniczka lepszego świata

Marzec 2012

Czarny włos

Czarnowłosy chłopiec
Spogląda na otwarte okna
Świata
Widzi twarz księżyca
Łzy tworzą kałużę smutku
Odpływa łódką do Babilonu
Kiedy obudzi się ranek
Słońce zaświeci
Zamkną się zielone drzwi
Czarny włos pozostanie
na białej pościeli

18 czerwca 2012

Smak jaśminu

Wchodzisz do biblioteki
mojego serca
kładziesz gałązkę jaśminu
pośrodku książki
Bierzesz dzban z miodem
Smakujesz
Nadchodzi ranek
Na pożegnanie całujesz
w usta
Smak jaśminu pozostaje
na całe życie

2 czerwca 2012

Bogumiła Różewicz

Ogród duszy

W ogrodzie Duszy
Anioł rozkłada skrzydła
Pióro opada z nieba
Konary tańczą walca
Liście unoszą się na wietrze
W środku kwiatu
Zegar wybija pierwszą
Wtedy śpiewają cykady
Biegnę zieloną łąką
Rosa dotyka moich stóp

14 grudnia 2012

Mirosława Szott

Formulistyczne związki

O poezji Mirosławy Kużel i Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza

Mirosława Kużel – tajemnicza i intrygująca poetka, związana niegdyś z Zieloną Górą, obecnie mieszkająca w Hiszpanii. Młodym pisarzom lubuskim to nazwisko wiele nie mówi, starsi je zaledwie kojarzą. Trudno znaleźć na jej temat jakiekolwiek informacje poza tym, że zachwycała urodą i była pierwszą żoną Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Wydała jedynie trzy tomiki, dwa w 1970 roku (*Zaklinania, Z białego drzewa*), ostatni niedawno, bo w 2007 roku (*Gorączka ogrodu*). Domeną jej pisarstwa są przede wszystkim wysmakowane i subtelne erotyki, choć nie należy zawężać jej twórczych poszukiwań tylko do tego gatunku. Ostatni tomik składa się prawie wyłącznie z sonetów.

W kontekście Orientacji Poetyckiej Hybrydy i formulizmu postulowanego przez Waśkiewicza, wymienia się takie nazwiska, jak (poza Waśkiewiczem): Krzysztof Gąsiorowski, Janusz Żernicki, Zbigniew Jerzyna, Mieczysław Stanclik. Niekiedy mowa też o Barbarze Sadowskiej. W lubuskim środowisku literackim formulizm legitymizowany był głównie działalnością poetycką (wczesną) Waśkiewicza. Ale wpływy tego programu poetyckiego można też zauważyć w tekstach Kużel.

Formulizm był w pewnym sensie ucieczką od rzeczywistości polityczno-społecznej lat 60. i 70. Jednym z jego założeń była rekonstrukcja rzeczywistości i próba wprowadzenia weń porządku. Nie materia,

ale idea interesowała poetów oraz skomplikowane relacje łączące te dwa światy, między którymi nie ma płynnego przejścia. Waśkiewicz próbował rozwiązać – jak pisze w nocie od autora w tomiku *Próba uzasadnienia*[1] – antynomie rzeczy i znaku na cztery sposoby:

- konsytuacją (którą poeta nazwał „doopisem", tworzeniem sytuacji),
- ekwiwalentyzacją znaczeń,
- opisem konstruktywnym – budową,
- redukcją (ograniczenie pojęcia do rzeczy; Żuliński powie: „ociosywanie pejzażu"[2]).

W tym szkicu chciałabym się przyjrzeć zwłaszcza zabiegowi ekwiwalentyzacji znaczeń (2), który pojawia się w twórczości obojga wyżej wspomnianych poetów i formulitycznemu dialogowi, który toczy się pomiędzy dwoma pierwszymi arkuszami poetyckimi Kużel (*Zaklinania* [1970]*, Z białego drzewa* [1970]) i trzema tomikami poetyckimi Waśkiewicza (*Dziedzictwo* [1966], *Przestrzeń po człowieku* [1967] oraz *Próba uzasadnienia* [1970]). W *Próbie erotyku* Waśkiewicza relacja znaku i rzeczy ujęta została następująco:

próby określeń – zawsze obok rzeczy
opis tu tylko – poprzez ekwiwalent[3]

Cytowany fragment zawiera metarefleksję nad słowem, które wywołuje tak wiele konotacji ze światem materialnym, że staje się furtką do dowolności, jednym z wariantów nazwania („Słowa odległe – spełzły z nich znaczenia"[4]), umownie stosowaną kategorią. Jak więc opisać świat, skoro nie posiadamy pewnych i niezmiennych uniwersaliów? Poezja formulistyczna jest poezją znaku, wzoru. Nie polemizuje więc z różnymi ujęciami kamienia czy drzewa, ale ogniskuje się wokół ich pojęć. Tak oto realizuje tę zasadę inny wiersz Waśkiewicza:

kamień ze wszystkich rzeczy najdalszy jest mowy
z każdej strony zamknięty
wszystkie jego wyrwy
chroni powłoka cienka a nieprzenikalna

przekraczanie kamienia odbywa się poza słowem
znak kamienia – ze słowa –
jest zbyt kruchym szeptem[5]

Wymawiając słowo „kamień", nie zbliżamy się do jego istoty. Błądzimy tak samo jak nasi przodkowie („od epoki kamienia łupanego trwa dochodzenie do jego/ wnętrza"[6]). Ten sam motyw możemy zobaczyć w lustrze tekstu Kużel:

wymawiam ciszę dźwięczy w słowie
nazywam kamień mową niekamienną
niedrzewnym słowem nazywam tu drzewo
kiedy je w słowie próbuję pomieścić
[...]
bo słowo tylko jest pozorem rzeczy
co w każdym dźwięku od siebie jest dalsza

I jeśli nawet rzecz pomyślę słowem
rzeczy tu nie ma pozostają dźwięki
nazbyt wyziębłe w swojej dowolności[7]

Znak jest tylko analogonem rzeczy, unieruchamia ją (Waśkiewicz pisze: „gdy gest oznaczy – to zastyga w kamień"[8]), a przez to jest też w pewnym sensie jej wypaczeniem. Blisko jest tej poezji do platońskiego idealizmu. Tak jak fotografia nie oddaje piękna galopu koni, tak słowo dalekie jest od świata, jego dźwięków, barw, faktury. Wiąże się z tym także teza formulistów o świadomościowym charakterze tekstu, czyli innymi słowy, o nieopisy-

1 A.K. Waśkiewicz, *Posłowie*, [w:] *idem*, *Próba uzasadnienia*, Zielona Góra 1970, s. 16,
2 L. Żuliński, *Posłowie*, [w:] A.K. Waśkiewicz, *Horyzont zdarzeń. Cztery poematy*, Zielona Góra 1999, s. 65.
3 A.K. Waśkiewicz, *Próba erotyku*, [w:] *idem, Próba...*, s. 8.
4 M. Kużel, * * * [w wypalonym lesie...], [w:] *eadem, Z białego drzewa*, Toruń 1970, s. 5.
5 A.K. Waśkiewicz, *Próba kamienia*, [w:] *idem, Próba...*, s. 5.
6 *Ibidem.*
7 M. Kużel, *Sonet umowny*, [w:] *eadem*, *Z białego...*, s. 7.
8 A.K. Waśkiewicz, *wiersz dydaktyczny*, [w:] *idem*, *Próba...*, s. 12.

walności świata. Wiersz jest tylko wyrazem myślenia o świecie. Stąd pojawiają się w tych utworach sformułowania: „mówić tę ziemię"[9], „drzewa myślałam rzędem"[10], „pisanie człowieka"[11], „pisanie drzewa"[12] itd. Taka składnia zaświadcza o dążeniu do niemimetycznego opisu, do konstrukcji (ziemi, drzewa, człowieka). Przypomnę, jest to jeden ze wskazanych przez Waśkiewicza sposobów rozwiązywania antynomii rzeczy i znaku, który interferuje z zabiegiem ekwiwalentyzacji. Wiele z tych wierszy, zarówno u Kużel, jak i u Waśkiewicza, ma charakterystyczne tytuły zawierające słowo „próba", które sugerują, że mamy do czynienia z pewnym eksperymentem. Aby dostać się do wnętrza, trzeba przebić się przez otorbiony wizerunek rzeczy, porzucić schematy myślenia, poddać słowa właśnie p r ó b o m . Ekwiwalentyzacja znaczeń jest widoczna np. w próbie opisu noża:

> My wyjdźmy poza, w suwerenność rzeczy
> i nóż opiszmy, że ostrze jak róża
> albo jak płomień utoczony gładko[13].

Wyjście „poza" jest *conditio sine qua non* wejścia „w". Aby zobaczyć nóż w róży lub płomieniu, trzeba zrezygnować z klasycznego wyobrażenia. Choć prymarne właściwości oraz przeznaczenie tych rzeczy są diametralnie różne, można dopatrzyć się ciekawych drugo- lub trzeciorzędnych właściwości. Co ma nóż wspólnego z różą? Na pewno ostrze, ale można próbować doszukać się związków na innych poziomach słów (poziom symboliczny: nóż – ogień, płomień, zemsta; róża – dziewczęca niewinność, miłość). Płomień z kolei daje złudzenie gładkości; symbolizuje miłość, nienawiść, niebezpieczeństwo oraz oczyszczenie. Warto zauważyć, jak podobne zestawienia słowne (róża, nóż, płomień) grają znaczeniowo w poezji Kużel:

> W twoich dłoniach wybucha ciepłem
> zwęglona róża – wyjdziesz
> z czarnego światła z ostrą rysą w źrenicach
> w niebo jasne jak noże[14]

Najpierw formulista łamie skamielinę słowa, aby następnie odkryć samodzielność przedmiotów. Trafnie ujął sens tych prób Leszek Żuliński: „To, co unieruchomione i określone, staje się przyswojone, przestaje być zewnętrzne. [...] Tworzenie obrazów-formuł nie miało jednak służyć opisowi, tylko zaanektowaniu rzeczywistości, wyjściu poza nią poprzez wchłonięcie jej w siebie"[15]. Cytat przywodzi na myśl pomysły francuskiego filozofa, Henri Bergsona. Jego krytyka intelektu polegała na udowodnieniu, że umysł nie potrafi poznać dynamicznej rzeczywistości. Musi ją zdeformować, aby była „przyswajalna". Unieruchomienie świata dokonuje się w znaku, czyli też w poezji. Słowa kategoryzują świat, gubią jego nieoczywistość i nie odzwierciedlają nawet cienia rzeczy:

> Wymawiam słowo a nie znam już rzeczy
> która pierwotnie jego kształt przybrała
> bo takie płaskie że ani tu cienia[16]

Znakiem wodnym pierwszych tomików Kużel jest niewątpliwie formuła, a jednym z wielu poruszanych tematów – problem opisu świata. Dialog, który poetka podejmowała z Waśkiewiczem, był możliwy dzięki wypracowaniu wspólnego języka mówienia o rzeczywistości. Na marginesie można by dziś zapytać: czy Kużel była żoną formulisty, czy formulistką?

9 *Idem, Dziedzictwo*, [w:] *idem, Dziedzictwo*, Warszawa 1966, s. 44.
10 M. Kużel, *święto ciebie*, [w:] *eadem, Zaklinania*, Zielona Góra 1970, s. 6.
11 A.K. Waśkiewicz, *Pisanie człowieka*, [w:] *idem, Dziedzictwo*, s. 37.
12 *Idem, Pisanie drzewa*, [w:] *idem, Dziedzictwo*, s. 66.
13 *Idem, dyskurs*, [w:] *idem, Przestrzeń po człowieku*, Poznań 1967, s. 63.
14 M. Kużel, *ludziom czarnego światła*, [w:] *eadem, Z białego...*, s. 33.
15 L. Żuliński, *op. cit.*, s. 65.
16 M. Kużel, *Z białego drzewa*, [w:] *eadem, Z białego...*, s. 10.

Eugeniusz Kurzawa

Skąd te wspomnienia

Smutno o tym mówić, ale cóż, mówimy o faktach. W dniu pogrzebu Andrzeja K. Waśkiewicza na gdańskim cmentarzu łostowickim, już po ceremonii, spotkaliśmy się w gronie Jego rodziny i przyjaciół. Rzuciłem wtedy myśl, żeby wydać specjalny numer „Autografu", pisma przez Niego redagowanego przez 24 lata. Dosłownie do ostatnich dni. Szło o numer, w którym każdy z nas, Jego przyjaciół, znajomych napisze, jakiego Andrzeja zapamiętał. Pomysł przyjął się, a wydawca – Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki – poprosił o zredagowanie tego specjalnego numeru żonę Andrzeja, Annę Sobecką. Pomagałem jej wpierw zamawiać, a potem zbierać teksty od twórców i kolegów Andrzeja rozsianych po całej Polsce. Najobficiej napisali o Nim gdańszczanie, gdyż w końcu ostatnie 33 lata życia spędził nad morzem. Wśród tych wspomnień wyróżniają się zwłaszcza piękne noty dwóch wdów po poetach gdańskich – Jacku Kotlicy i Stanisławie Gostkowskim. *Notabene* w obu przypadkach Andrzej pomagał wydać pośmiertnie wiersze swych zmarłych przedwcześnie kolegów, w przypadku Gostkowskiego rzec można nawet – sąsiada, gdyż Stanisław mieszkał na tym samym osiedlu Morena co AKW. Kiedyś zresztą Gostkowskiego wspólnie odwiedziliśmy. Z kolei Kotlica miał ongiś epizod zielonogórski. W Winnym Grodzie właśnie Waśkiewicz z Kotlicą się poznali. Wzruszające jest też to, co napisała inna, ale bliska, gdańska sąsiadka, Grażyna Król, mieszkająca w tym samym bloku co Waśkiewicz, tylko w klatce A. On mieszkał w klatce B. Wzruszające to, bo interesująca się poezją młoda kobieta miała świadomość kogo od lat spotyka pod blokiem, zwykle na spacerze z psem, ale nigdy nie zdobyła się na odwagę, żeby powiedzieć coś więcej niż „dzień dobry".

Drugą, dość liczną grupą osób wspominających w „Autografie" Waśkiewicza są oczywiście zielonogórzanie: Czesław Sobkowiak, Mieczysław J. Warszawski (wierszem), Janusz Koniusz, Jolanta Pytel, Żenia Pawłowska, Wacława Walczak, niżej podpisany oraz gorzowianin Czesław Ganda. Warto te wspomnienia poznać, gdyż „Autograf" już się ukazał. Promocja zielonogórska odbyła się 22 lutego w bibliotece wojewódzkiej, zaś gdańska 9 marca w siedzibie wydawcy, GTPS przy ul. Chlebnickiej.

Już po tych faktach otrzymałem niespodziewanie dwie przesyłki, jak się zaraz okazało, spóźnione wspomnienia, przekazane mi przez irackiego poetę Hatifa al Janabiego, wykładowcę na Uniwersytecie Warszawskim, ale przysłane w imieniu swych znajomych. Z al Janabim znamy się od 30 lat, stosunkowo niedawno gościł w Zielonej Górze (oraz Sulechowie i Świebodzinie) na spotkaniach autorskich, na które go – wespół z biblioteką wojewódzką – zaprosiłem. Hatif al Janabi dowiedział się o powstającym numerze specjalnym „Autografu" i słyszał, że mam z tym coś wspólnego. Problem polegał na tym, że dwoje jego kolegów z uniwersyteckiej katedry, znających Waśkiewicza z lat 80., napisało wspomnienia, ale nie wiedziało jak dotrzeć do redakcji „Autografu". Dlatego te zapisy nie weszły do numeru specjalnego. Poprosiłem o przysłanie wspomnień. Ponieważ nie wiadomo, czy „Autograf" po śmierci A.K. Waśkiewicza będzie się ukazywał, zapytałem redakcję „Pro Libris" o możliwość publikacji tych-

że ważnych materiałów i uzyskałem pozytywną odpowiedź.

Autorami wspomnień są Barbara Wrona, tłumaczka, kustosz biblioteki Katedry Arabistyki i Islamistyki Uniwersytetu Warszawskiego i arabista prof. Marek M. Dziekan, wykładowca tejże katedry. W biografii Andrzeja „znaleźli się" dzięki wspólnemu wyjazdowi z AKW, w ramach delegacji pisarzy polskich, na festiwal Mirbad (siódmy z kolei), który odbywał się w Iraku, zresztą w czasie toczonej wówczas przez ten kraj wojny z Iranem. Festiwal odbył się w dniach 23 listopada – 1 grudnia 1986 r. Poetyckim rezultatem tego wydarzenia był, jakże ważny dla twórczości AKW, tom *Mirbad, 7* wydany w 1991 r. Choć, jak sam autor pisze w posłowiu do tegoż zbioru, pierwotnie miał się ukazać w PIW-ie w 1989 r. (mimo iż złożony został do druku już w 1987 r.). Ostatecznie wydawcą okazała się Oficyna Wydawnicza im. Tadeusza Peipera w Warszawie.

Festiwal Mirbad, 7, pobyt w wojennym Iraku potrącił niezmiernie czułą strunę Waśkiewiczowskiej twórczości. Obudził bardzo ważne pokłady jego świadomości, w tym wywołał na światło dzienne związki z dzieciństwem, z Ziemią Lubuską. B. Wrona i M.M. Dziekan poniekąd byli świadkami tego wydarzenia stąd ich świadectwo jest tutaj istotne. Warto dodać, iż B. Wrona napisała wkrótce po powrocie z Iraku sprawozdanie z festiwalu i umieściła je w kwartalniku „Przegląd Orientalistyczny" nr 3(143) z 1987 r., wspominając też m.in., że AKW udzielił wywiadów prasie irackiej. Szkoda, że te wspomnienia nie znalazły się wraz z innymi w „Autografie", z drugiej strony cieszy, że to właśnie „Pro Libris" może uzupełnić tak ważne wspomnienia dotyczące poety i krytyka wywodzącego się przecież z Ziemi Lubuskiej.

9 kwietnia 2013

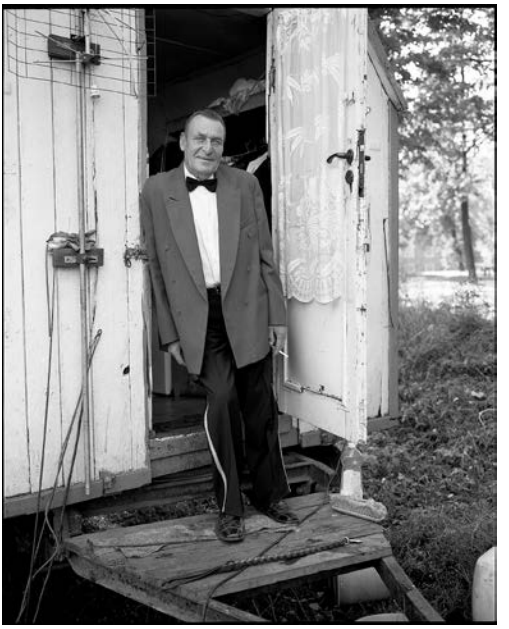

Barbara Wrona

AKW

po wypalonych schodach wypalonego domu
wchodzi chłopiec
i tak idzie
lata mijają a on idzie...*

– doszedł do szczytu schodów. I nie wróci, a znajomi nie wyobrażają sobie, jak dalej będą żyć bez możliwości spotkania z nim, zadzwonienia, porozmawiania, zapytania... Mówił, że u nas poezji nikt nie czyta, ale miesiąc, dwa później publikował jakiś nowy wiersz (lub wiersze).

Nawiązujący do staroarabskich tradycji festiwal poezji Mirbad, na każdym robił wrażenie, bo tam w Bagdadzie nie tylko daktyle leżały na ulicach, ale również prości ludzie słuchali wierszy, setki prostych ludzi czytało wiersze i słuchało wierszy... Zaiste Bagdad bywał miastem z 1001 nocy. Mirbad, 7, na który pojechał Andrzej K. Waśkiewicz, odbywał się w czasie wojny iracko-irańskiej; na Bagdad co parę dni spadała kolejna irańska rakieta, mimo to festiwal został zorganizowany z dużym rozmachem; cóż – Irak był krajem bogatym w ropę! Czasem się zastanawiałam, czemu w Polsce mamy uszy tak niewrażliwe na poezję, podczas gdy na Bliskim Wschodzie poezja nie tylko jest chętnie pisana, ale również chętnie czytana, obecna w codziennym życiu kulturalnym społeczeństwa... Poemat *Mirbad, 7* zaczął powstawać bezpośrednio po powrocie Andrzeja K. Waśkiewicza z festiwalu (czyli grudzień '86 – luty '87 i tylko nasze warunki spowodowały, że druku doczekał się dopiero w 1991 r.) i jak przy innej okazji określił sam autor, jest poematem autobiograficznym.

Od wielu lat Andrzej K. Waśkiewicz pracował jako redaktor książek i czasopism, bywał w zespołach i radach redakcyjnych, ale wreszcie w 1988 udało mu się założyć „Autograf". Miał niespotykaną obecnie umiejętność słuchania (i słyszenia) rozmówcy oraz wychwytywania rzeczy pozornie mało ważnych. Przyznaję, że w czytaniu literatury lub prasy szerokim kołem omijałam panegiryki, póki nie usłyszałam o planach umieszczenia takiej rubryki w nowo organizowanym przez niego czasopiśmie. Pomyślałam: to nie możliwe, to się nie uda, a jednak wkrótce zobaczyłam na własne oczy *Słońce epoki* w pierwszym numerze „Autografu". W tym miejscu można przywołać późniejsze słowa Andrzeja K. Waśkiewicza: „ze zdobyczy demokracji najbardziej sobie cenię możność gadania, najczęściej gada się głupio, a znacznie rzadziej mądrze". „Autograf" był jego ukochanym dzieckiem, które mógł ukształtować od początku do końca... I robił to doskonale; każdy, kto miał w ręku egzemplarz „Autografu", mówił, że już pierwsze wrażenie sprawia bardzo dobre (lata 1988-1991), chwalono zarówno szatę graficzną, jak i zawartość każdego numeru (nawet cudzoziemcy). Człowiek otwarty widzi konieczność poznawania innych kultur, więc naczelny „Autografu" szukał oryginalnych tekstów i zamieszczał przekłady poezji arabskiej czy afrykańskiej w rubryce *Słońce epoki*, a to prozy (np. egipskiej, noblisty Nadżiba Mahfuza 1988). Zadaniem orientalistów było wybranie odpowiednich tekstów (w epoce przedkomputerowej i przedinternetowej z tekstami orientalnymi w Polsce nie było łatwo),

* Fragment poematu *Miasto (notatki)* Andrzeja K. Waśkiewicza.

sporządzenie przekładu, ewentualnie namówienie kogoś z kolegów, aby na chwilę odłożył swoje prace i przetłumaczył stroniczkę lub dwie prozy, albo parę strof wiersza. Andrzeja K. Waśkiewicza lubili wszyscy, ktokolwiek się z nim zetknął, więc traktowali go jak przyjaciela, a nie redaktora, który czegoś oczekuje, a tym bardziej żąda. A jednak redaktor Andrzej K. Waśkiewicz przede wszystkim był poetą...

Pytasz o poezję...
była ze mną nim się spotkaliśmy
potem opuściła mnie na chwilę... by pójść do kilku przyjaciół
a teraz przychodzi do ciebie
więc nie zlekceważ jej i nie prześpij... bo krew
poezji osiedla się na pożarach...

(*Hamid Sa'id, współczesny poeta iracki*)

A.K. Waśkiewicz wśród poetów arabskich (trzeci z lewej)

Marek M. Dziekan

Autor irackiego poematu

Jak słusznie pisze Barbara Wrona, Andrzej K. Waśkiewicz dla warszawskich arabistów był po prostu Poetą – wiadomo było, o kogo chodzi, choć nie jedyny to literat w naszym środowisku. Osobiście znałem pana Andrzeja raczej słabo – spotkaliśmy się tylko kilka razy, choć pozostawaliśmy w kontakcie korespondencyjnym. Po raz pierwszy spotkałem Waśkiewicza na II Ogólnopolskim Seminarium Literackim Młodych na Cedzynie we wrześniu 1987 roku. Jako członek kieleckiego oddziału Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy brałem w nim udział jako młody poeta, Waśkiewicz zaś był jednym z referentów jako specjalista od debiutów poetyckich.

Najbardziej kojarzę go jednak z wyjazdem do Gdańska, na początku stycznia 1988 roku, w którym jako tłumacz towarzyszyłem irackiemu pisarzowi Ghaziemu al-Abadiemu. Dzięki kontaktom w gdańskim środowisku dziennikarskim udało się w drugim dniu pobytu Ghaziego na Wybrzeżu opublikować w „Głosie Wybrzeża" jego opowiadanie *Osaczona* w moim przekładzie. A stało się tak, pomimo że wizyta ta była dla gdańszczan pełnym zaskoczeniem, choć centrala ZLP zapewniała mnie, że tam na miejscu wszystko jest dograne. Tylko energii i pomysłowości Waśkiewicza zawdzięczam to, że Ghazi nie zauważył, że wszystko było czystą improwizacją.

A.K. Waśkiewicz na sali obrad podczas festiwalu Mirbad, 7 (pierwszy z lewej)

Później współpracowałem z Waśkiewiczem jako redaktorem założonego przez niego „Autografu", następnie „Post-Autografu". Udało mi się tam opublikować kilka przekładów z arabskiego i innych tekstów, bowiem po pamiętnej wyprawie Waśkiewicza do Bagdadu i opublikowaniu poematu *Mirbad, 7* (1991) był on wielkim admiratorem literatury i kultury arabskiej. Związki z arabistami zaowocowały także kilkoma publikacjami innych warszawskich orientalistów.

Wspomniany iracki poemat uważam zresztą za najwybitniejszy przykład współczesnego polskiego orientalizmu (w pozytywnym, „właściwym" znaczeniu, nie Saidowskim). Pisałem o tym w 2004 r. w eseju *Literatura w Bagdadzie – Bagdad w literaturze. Piśmiennicza topografia miasta*, podkreślając wątek bagdadzki, ale przecież jest tam cały Irak, a w pigułce i symbolice – cały świat arabski, tak dobrze wyczuwany poetycką intuicją Waśkiewicza. Dla nas, arabistów, pozostanie Waśkiewicz Poetą, ale przede wszystkim właśnie autorem irackiego poematu, który jakoś nie odbił się szerszym echem wśród krytyków literackich, choć bez wątpienia stanowi niezwykle oryginalne ujęcie nie tylko świata arabskiego, ale może przede wszystkim polskiej historii XX wieku przez pryzmat Orientu.

Agata Buchalik-Drzyzga

Pour Féliciter – Na szczęście

P.F. to bliski krewny ekslibrisu. Graficy, kolekcjonerzy czy obdarowani tą formą grafiki nazywają ją zdrobniale „peefką". Nie wiadomo gdzie i kiedy narodziła się ta forma plastyczna, będąca wyciskiem, a dopiero w późniejszym okresie grafiką czystą. „Peefka" jest cennym zjawiskiem artystycznym i społecznym, przekazem uczuć i myśli ujętym w rygory graficzne.

Klasyczna „peefka" związana jest ze świętami Bożego Narodzenia lub Nowym Rokiem i zawiera oprócz przesłania graficznego tekst życzeniowy, względnie tradycyjny skrót P.F. z podaniem roku oraz nazwiska, bądź inicjałów właściciela – czyli osoby wysyłającej życzenia.

To właśnie zbliża ją do ekslibrisu. Podobnie jak ekslibris „peefka" przechodzi różne przeobrażenia. Staje się intymną rozmową graficzną z osobami obdarowanymi, czasem zbliża się do formy graficznej karty pocztowej. Bywa też grafiką czystą, w której tekst życzeniowy autor wpisuje odręcznie.

„Peefka", podobnie jak ekslibris, jest wiernym odbiciem czasu, w którym powstaje.

EDYTA
ARTUR
GRA
MA
CKI
EXLIBRIS
Pf 9.02.2006

ex libris
GRZEGORZ
ANACKI

ex
LIBRIS Witold
NOWICKI

MARIA
SKRZY-
PIEC
exlibris
p.f.
94

ex
libris
p.f.
94
LIDIA JOLANTA
KURZAWA

WŁODKA
KWAŚNIEWICZA

exlibris
p.f.
94
KASIA
JAREK
GRAMACCY

95
Pf
ex Libris

ex libris
Jerzy Wojciech
BIELECKI

Se non è vero
è ben trovato
ex libris
agaty Buchalik
Drzyzga

Se non è vero
è ben trovato
ex libris
agaty Buchalik
Drzyzga

AGA
TY
ex
lib
ris
Bu
chalik
Drzyzga

ex-libris
AGATY
BUCHALIK-
DRZYZGA
92

Pf 1993
PIOTR PALECZNY

PREZENTACJE

Marek Lalko

W swojej działalności porusza się w nurcie fotografii dokumentalno-reportażowej oraz konceptualnej, bazując na klasycznych technikach fotograficznych i technologiach cyfrowych.

Studia I stopnia na kierunku grafika w Instytucie Sztuki i Kultury Plastycznej na Uniwersytecie Zielonogórskim dyplom *Moja fotografia dokumentalna*. Studia II stopnia na kierunku malarstwo ze specjalnością fotografia w Instytucie Sztuk Pięknych na Uniwersytecie Zielonogórskim dyplom *Miejski pejzaż człowieka*. Studia Fotograficzne w Europejskej Akademii Fotografii w Warszawie.

Działalność organizacyjna i popularyzatorska sztuki: 1993–1994 współtwórca Młodzieżowego Laboratorium Fotograficznego; **od 1993** członek Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego; **od 1993** warsztaty fotograficzne w Broniszowie, uczestnik i prowadzący; **od 1995** uczestnik Wszechnicy Fotograficznej w Jeleniej Górze; **od 2003** współprowadzący Galerię Fotograficzną „Projekt"; **od 2004–2005** współprowadzący galerię „PWW"; **od 2010** prowadzący Galerie Fotografii „Na Dole" w Instytucie Sztuk Wizualnych

Wystawy indywidualne: 1995 – „koncerty" Zielona Góra, zestaw prac prezentujący zapis dokumentalny sceny rockowej w Polsce lat 90.; **1997** – „Wenecja" Galeria fotografii pod kaczką Zielona Góra; **1997** – „parada miłości" BWA mała sala Zielona Góra; **1999** – „fotografie" galeria studencka Galera Zielona Góra; **2000** – „fotografie" Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze; **2001** – „fragmenty z..." Galeria Twórców Galera Zielona Góra; **2001** – „fotografia otworkowa" Galeria nad Wisłą Toruń; **2002** – „fotografia otworkowa" Galeria Ciasna Jastrzębie Zdrój; **2003** – „fotografie" Galeria Korytarz JCK Jelenia Góra; **2003** – „fotografia otworkowa" Galeria Lapidarium Wschowa; **2003** – „fotografie" Galeria Zup art Ratusz miejski w Głogowie; **2004** – „pin hole odc. 2" BWA Zielona Góra; **2005** – „fotografia" Galeria Korytarz JCK Jelenia Góra; **2005** – „dzięki niej widzę" Zielona Góra galeria handlowa Grafitt; **2005** – „dzięki niej widzę" galeria teatralna Nowa Sól; **2006** – „lalko.australia.2005" BWA Zielona Góra; **2007** – „w Sydney polak" centrum kultury i sztuki w Koninie „Wieża Ciśnień"; **2007** – „fotografie" W ramach II Żywieckiego Festiwalu Filmów Amatorskich w Galerii Zamkowej w Muzeum Miejskim w Żywcu; **2008** – „fotografie-londyn" Zielona Góra „Heban"; **2011** – „fotografia numeryczna" Galeria DEKA Rybnik; **2011** – „india story" Galeria Drugiego Planu Rybnik; **2011** – „terapia dla zmęczonych codziennością oczu" BWA Zielona Góra; **2011** – „Taman Negara" dom kultury Chwałowice w Rybniku; **1995–2008** uczestnik ponad 45 wystaw zbiorowych.

Dorobek dydaktyczny: 1994–2001 praca w Instytucie Sztuki i Kultury Plastycznej przy WSP Zielona Góra na stanowisku laboranta w Pracowni Fotograficznej; **2001** kontynuacja pracy na Uniwersytecie Zielonogórskim na stanowisku laboranta w Pracowni Fotograficznej; **2005** BWA Zielona Góra, udział w warsztatach artystycznych z osobami chorymi na schizofrenię zakończony wystawą fotografii; **2005–2008** Wojewódzki Ośrodek Dokształcania Zawodowego w Zielonej Górze, zajęcia z fotografii na kursach zawodowych I i II stopnia; **2006** Gimnazjum nr 2 w Zielonej Górze, warsztaty fotograficzne z młodzieżą wyjaśniające zjawisko powstawania obrazu w Camera Obscura; **2007–2008** Liceum Plastyczne w Zielonej Górze, prowadzenie zajęć z podstawy fotografii i filmu; **2008–2009, 2010–** wykładowca w Akademii Twórczych Poszukiwań w Zielonej Górze; **2010** Zakład Poprawczy w Babimoście, warsztaty fotograficzne z młodzieżą wyjaśniające zjawisko powstawania obrazu w Camera Obscura; **2011** Festiwal podróżników Rozjazdy 2011 w Rybniku, wykład i pokaz prac „fotograf w podróży".

Z cyklu *Cyrk Europa*, fotografie

Z cyklu *Indie*, fotografie

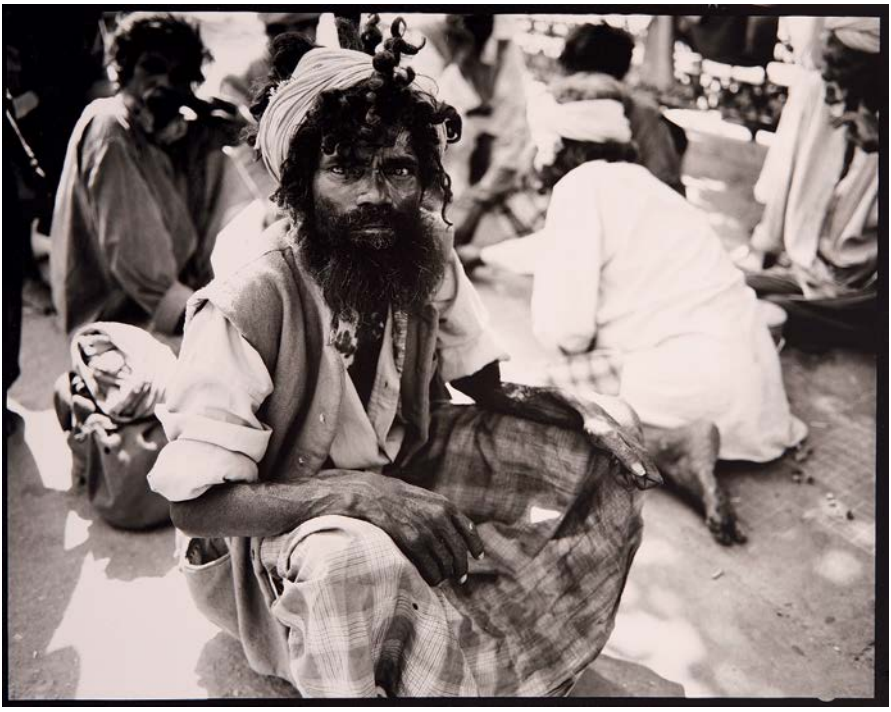

Z cyklu *Indie*, fotografie

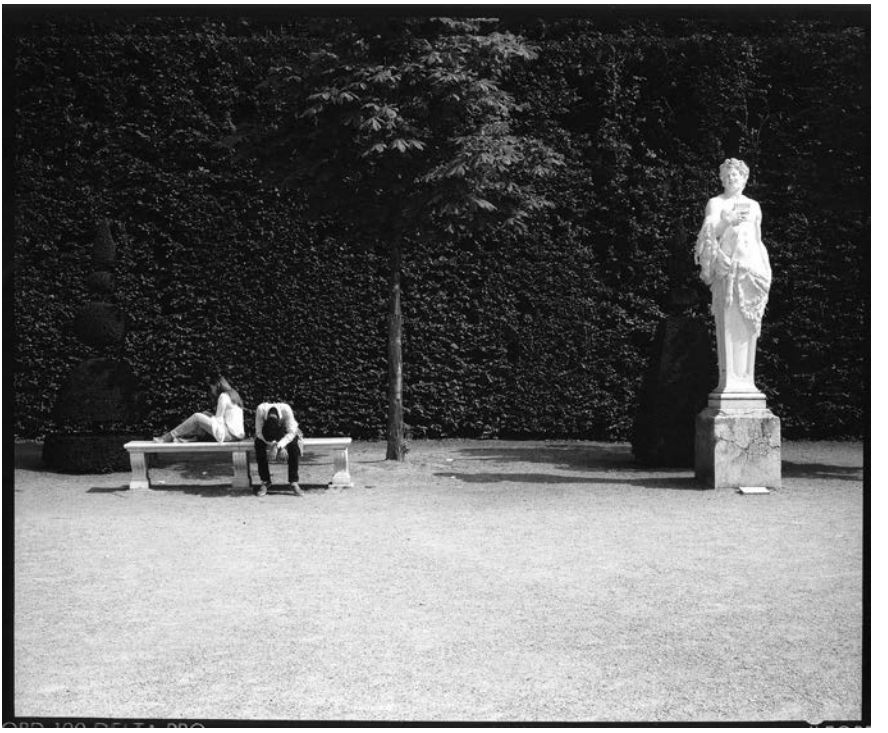

Z cyklu *Paryż*, fotografie

Lidia Głuchowska

Circus Europe i inne kontynenty. O fotografii Marka Lalki

Bez podpisu, często także bez daty...

Fotografie Marka Lalki posortowane są wprawdzie w cykle, prezentuje je on jednak bynajmniej niechronologicznie. Tak że w obrębie serii prac pod wspólnym tytułem pojawiają się zdjęcia zdradzające różną topografię ukazanych scen. Roczna czy dzienna data ich powstania nie jest zresztą istotna. Automatycznie wyczuwa się tu aktualność, a mimo to przypadkowe z pozoru ujęcia zdają się ponadczasowe. Nie jest to bowiem reportaż – doraźna rejestracja faktów z pierwszych stron gazet – lecz wizualna refleksja snuta wokół banalnych z pozoru zdarzeń, spostrzeżeń czy odczuć. Te składają się na doznanie kontaktu z otaczającą rzeczywistością i oswojenie obcości – faktycznej czy pozornej – z tym, z czym zderza się każdy, skrecając w nieznany zaułek, wysiadając z pociągu czy samolotu.

Pod względem wizualnej komunikacji są to scenerie transparentne, a jednak zwykle nie dostrzega się ich w pośpiechu codziennej bieganiny. Marek Lalko – podróżnik – potrafi się jednak zatrzymać. Pokonując odległość, nie tylko oswaja nieznane, lecz i zdobywa dystans wobec tego, co zostawia za sobą. Zyskuje świeżość spojrzenia. Wyznacznikiem tego jest w pewnym sensie wybrana technika. Wydaje się obiektywna, nosi jednak znamię antykwaryczności, świadomie zresztą eksponowanej. Monochromia – zwykle czerń i biel analogowych średnioformatowym ujęć (6/7 cm) – to pierwszy sygnał swoistego anachronizmu znamionującego poetycką, a nie reporterską pasję. Jest tu i estetyzm, i wola poznania, lecz nie „interesowna", dziennikarska wścibskość, śledząca sensację i bezkarnie epatująca bólem, intymnością innego. I czas – zaobserwowany i zainwestowany w podróż – choćby tylko mentalną, tuż za róg ulicy. A potem jeszcze w proces techniczny – tradycyjny od początku do końca. W tej fotografii jest zatem czas. Czas – najcenniejsze, co mamy...

Poetyka sepii

Tylko wyjątkowo, w miejsce surowej i pozornie neutralnej czerni i bieli pojawia się w tych odbitkach sepia – artystyczne *signum* nostalgii. Akcentuje ona element liryczny i niemal dosłownie – na prawach synestezji – przywodzi na myśl słońce Południa. Jest tak jedynie w migawkach z Indii Północnych (2009) i w pełnych mgły i nostalgii ujęciach z Wietnamu (2008). Te pierwsze „doświetlają" kicz naddartych reklam – echa pop-artu kontrastujące z nędzą. Wychudzone ciała dzieci, zmarszczki sprzedawców, raz po raz turban, wielkie czarne oczy. I jeszcze cień biegnącego chłopca. Jak cień Zachodu w aurze Orientu – niepoetycki bynajmniej.

Uniwersalny jest zachwyt uśmiechem dziecka, oddech wstrzymany wobec zadumy staruszki z przedmieść, znanego z opowieści, lecz teraz przecież poznanego z autopsji prania w rzece. I cienie na ścianach, uliczne kramy, kurort, plastikowe krzesła trochę jak z Hoppera. Te ostatnie to ślady „innych"

– intruzów, gapiów, dyspozytorów komercji i konsumentów turystycznych „hitów".

W zdjęciach z Wietnamu – przeciwnie – uderza bliskość, ufność otwartych, zdziwionych spojrzeń w rozmytych kulisach postsocrealistycznych sklepików, willi czy rozległych polan, nad którymi unosi się mgła i cień melancholii. Wilgoć i ciężar powietrza są niemal dotykalne...

W tych dwóch wyjątkowych cyklach sepia to element naddany, ślad kreatywizmu, a więc i korekty rzeczywistości, strategii twórczej fotografa. On sam doda tylko: „Interesuje mnie obraz sam w sobie, tu zaś w pierwszej kolejności czynnik czasu w fotografii – przemijanie... Istotne są też wartości znaczeniowe, a przede wszystkim forma graficzna obrazu. Staram się uchwycić treści pozornie powierzchowne i łatwo ulegające destrukcji emocjonalnej. Przypadkowe, subiektywne spostrzeżenia są niekiedy momentem decydującym. Wplatam je w proces fotografowania na styku dokumentu i prostej typograficznej relacji". Stąd też, mimo pozornej spontaniczności wizji, odbiorca tych zdjęć szybko rozpoznaje, że prezentują mu *natura naturans*, nie zaś *natura naturata*.

Detektywistyczny zmysł i pasja szperacza

Częściej niż fotografie poetycko odrealnione Marek Lalko tworzy cykle „krajoznawczo-rewelatorskie" i „szperacko-detektywistyczne". Te ostatnie inspiruje banalność oswojonych, lecz na ogół wypieranych ze świadomosci miejsc. Typowe wśród nich to choćby *10 Floors* i *Still life*. To wnętrza blokowisk – pseudoarchitektura i jej pseudoogrody – parodia awangardowej utopii równości – ziejące pustką korytarze, wszechobecna standaryzacja i anonimowość. Substytutem ludzkiej obecnosci w betonowym labiryncie jest dżungla: fikusy i filodendrony na plastikowych krzesłach, dostawkach i kwietnikach rodem z minionego stulecia. Ich filosynteza zdaje się warunkować istnienie jakiegokolwiek życia. Cień drapieżnie bluszczowatych pędów skrywa nijakość i prowizorium betonowych konstrukcji. Dusząca płodność natury wdziera się między nagie ciało „jej" śpiącej i „jego" odbicie w lustrze.

Szperacka pasja fotografa objawia się też w śledzeniu przewrotnej semiotyki piktogramów, choćby tych z serii *Numbers*. Identyfikatory ulic i domów, znaki drogowe czy rzeczne symbolizują tu nieoczywistość swojskiego wszak kodu. Inny cykl – *Pinhole* – to scenerie o rozmytym konturze, w nietypowych kadrach i kalejdoskopie świetlnych efektów, podczas gdy *Panoramix* raz po raz operuje grą słów i obrazów na szyldach czy banerach, kiedy indziej zaś kontrastem otwartych i zamkniętych perspektyw. Wszystko to ewokuje tyleż dekonstrukcję optycznych przyzwyczajeń, co trening zleniwionego spojrzenia.

Peryferia obszaru tej „detektywistycznej" fotografii, śledzącej niezwykłość codzienności, wyznaczają serie *Portraits 1*, *Portraits 2* czy *10/12 Portraits*. Bez upiększeń i aranżacji ukazują rodzinę, znajomych, artystów i studentów, może i przypadkowo zapoznanych przechodniów. Ich wizerunki skojarzone bez wspólnego mianownika są rodzajem życzliwego katalogu fizjonomii, póz i gestów. Pokrewne im prace z cyklu *People* jedynie geograficznie zataczają „szerszą" perspektywę. Ich socjologiczny profil jest bowiem

podobny – w którymś z odległych, egzotycznych miast dzieci palą papierosy w budce telefonicznej: normalne, zwykłe, standard? *Aussie people* i *Aussie places* to menażeria ludzi w przedziwnych pozach i rekwizytornia gadżetów wyrwanych z właściwego kontekstu. Wśród nich symboliczny jest zwłaszcza stół w otwartej przestrzeni pustkowia, bez ludzi i bez ścian domu, zapraszający zmęczonych drogą – wspólny i niczyj zarazem. *Work 2004* na podobnej zasadzie przybliża z kolei rozliczne miejsca i ceremonie, wśród nich Komunię św. i wiejskich ministrantów – strażników jej powagi. Te gabinety osobliwości są wizualną zagadką, wyzwaniem poznawczym, dokumentem chwili.

Serie *Made in Poland* i *Zielona Góra* to widoki sztucznych palm na plażach, porzuconych koni na biegunach i prowincjonalnego kiczu. Splątane linie elektryczne, okaleczone kamienice i opustoszałe ulice w bladym świetle poranka, tak jak kino o znamiennej nazwie „Bajka", tworzą pomost między ruinami i przyszłością socrealistycznej prowizorki. W pokrewnym im, choć zrealizowanym w Rumunii cyklu *Dacia story* (2008), lejtmotywem są porzucone wraki aut wśród wołów ciągnących wozy po drogach z przydrożnymi krzyżami w sąsiedztwie śmietników. Na ścianach wokół jak porosty plewi się gąszcz satelitarnych anten. Fotograf spogląda na to raczej z życzliwością niż ironią, czasem z pobłażliwym uśmiechem.

Z alegorii kontynentów

W samych cyklach „krajoznawczych" – ku zaskoczeniu wielu, którzy je widzą – na próżno by szukać turystycznych wspomnieniowych „fotek", charakterystycznych miejsc z domyślnym podpisem „tu byłem". Zamiast nich rolka z aparatu utrwala tęczowe parasole, kapelusze, ptaki w klatkach czy busz palm spowitych we mgle (*Indonesia 2010*), a kiedy indziej szałasy, drzewa i „smutek tropików" (*Taman Negara* 2008) czy też kalejdoskop perspektyw i panoram. Imponujące konstrukcje kontrastują z monumentalnością krajobrazu (*Australia 2005*). Poziomy pejzaż i architektoniczny luksus tworzą abstrakcyjny wzór rzeźbiony ostrym światłem, cieniem postaci i zarysem rozległych wzgórz. Wizjer nieodmiennie śledzi kontrast skali ludzkiej i skali natury (*New Zealand*). Symbolem destrukcji środowiska stają się betonowe plaże (*Latitud 43*).

Turystyczne regiony Marek Lalko przezentuje bez szyldów i etykietek. Resztki rzeźb i łatany płot nie kojarzą się z lapidarium. Cegłówki podtrzymują chwiejny portal, ze ścian osypuje się tynk. We włoskim kurorcie poza sezonem wspomnieniem turystycznej aury są tylko okiennice oglądane z dołu i puste leżaki na plażach (*Tuscany guide*). Gdzie indziej to mansardowy dach, geometryczny „fryz" boskietów i secesyjne wejścia metra mgliście identyfikują widok znad Sekwany (*Aroud the Saint Lazare*). Kloszardzi na ławkach i staroświecki kelner są *pars pro toto* tej mekki artystów.

Charakterystykę utrwalanych miejsc Marek Lalko konstruuje zwykle z elementów nietypowych, ukazując paradoksy standardowych o nich wyobrażeń. Uliczne graffiti, złomowiska i niemal słyszalne klaksony dziwią, tak jak gejowska para czy islamska modlitwa w biurowcu z wielkich tafli szkła i panoramą miasta. Ciasne targowisko i uśmiech starej

kobiety to resztki indywidualności tego hybrydycznego miasta. Jego wyjątkowy kontur zatarła globalizacja, niwelująca tożsamość Orientu (*Istambul metropolitan*) nawet na peryferiach cywilizacji. Wdziera się ona także tam, gdzie – po przeciwnej stronie kontynentu – spowolniony rytm życia podtrzymują fotografie poległych w wypadkach. Rozmyty zarys ich fizjonomii na banerach przy autostradzie ma działać jako przestroga dla rozpędzonych kierowców. Camping na fiordach, widoki portu i eleganckie jachty kontrastują z widokiem muzułmańskich dzielnic. To optymistyczne (?) oblicze skandynawskiej demokracji. *Nord way* – tytuł serii, w której tylko nieliczni rozpoznają Oslo – przekornie obnaża uniformizację i „nienordyckie" oblicze multikulturowej Północy. Sceptyczną refleksję nad kondycją nowoczesności wnosi także seria *Salon recreativo.*

W anonimowym kurorcie dla przybyszów z „lepszego" świata (Tunezja?, może Egipt?), szerokie plaże i hotelowe palmy graniczą z pseudosztuką na sprzedaż, obskurnym targowiskiem i nędzą kartonowych siedlisk.

Circus Europe

Circus Europe (2006) – dwadzieścia jeden fotografii – subtelne emocjonalne ujęcia sprzed kilku już lat. Stroje i „rekwizyty" zdradzają współczesność w niedookreślonej części kontynentu, zapewne tej środkowo-wschodniej. Pośród migawkowych zdjęć zdarzy się i wystudiowany czy wręcz klasyczny portret. Pojedyncze sylwetki, niekiedy dwuosobowe grupy ukazane są w ciasnym kadrze. Nieliczne rozświetlone uśmiechem twarze widziane są jak zza mgły. Piękna para za kulisami emanuje aurą fin de siècle'u.

Brak tu splendoru cyrku rodem z płócien pointylistów czy Toulouse-Lautreca. Marek Lalko odsłania ukryte przed wzrokiem żądnych atrakcji widzów tło spektakularnej ekwilibrystyki, tresury zwierząt czy tańca na linie. Wszystko to odbiega od zapamiętanego z dzieciństwa zachwytu, bajecznej aury cyrku utkanej z cekinów, barwnych piór i gęstniejącego wraz z emocjami rytmu werbli. Tancerka w gumowych laczkach porzuca baletki – sztywną formę sztuki, a clown w niekompletnym kostiumie bawi się na zewnatrz z dzieckiem. Mały asystent tresera zasiadł samotnie w zadumie. Jego liberia zdaje się matowa, epolety opadły z ramion. I tylko iluzjonista z przewrotnym uśmiechem pozuje frontalnie, z dumą.

Circus Europe to świat bez „ochronnych" barw i blasku galowego stroju, wyjęty z ram spektaklu spełniającego dziecięce sny. Przerysowany makijaż w dziennym świetle trąci kiczem, obnażajac i sztukę, i sztuczność. Bez śladu znikł *glamour*. W twarzach uderza zmęczenie, w pozach zagubienie, strach.

Choć autor twierdzi, iż nie jest to cykl wyjątkowy, że tylko podkreśla sens symbolicznej wędrówki po fotograficzne „trofea", w tym wypadku „złowione" 5 km od domu, znawca jego dorobku ma prawo nie dowierzać. Poniekąd bowiem seria ta jest kwintesencją ujęć z wszystkich pozostałych. To, co gdzie indziej prezentował w skali makro, tu pokazuje jak pod lupą, w laboratoryjnej próbce, jak drugie dno. Ogladany z Rodczenkowskiej perspektywy wielbłąd

tuż obok zdezelowanego roweru i „Wohnmobile", jak cygańskie wozy czy arabskie karawany, zdają się być metaforą „płynnej" nowoczesności. Nieodparcie przywołują na myśl nomadyczną naturę Europy bez granic, bez cech szczególnych i bez domów na zawsze.

Imago mundi i eskapizm

„Fotografuję od z górą dwudziestu lat" – twierdzi Marek Lalko. „Była to kręta i wyboista droga. Bardziej świadome widzenie przyszło kilka lat później. Cały czas jest to proces w toku..." Kulisy rejestrowanych przez niego scen – rejestrowanych bardziej niż kreowanych, gdyż kadr niemal zawsze wydaje się tu spontaniczny – są zwykle egzotyczne. Można wręcz odnieść wrażenie, że tworzy rodzaj *imago mundi* – wizualnej kroniki świata, lub że jak barokowi malarze plafonów tworzy wizję uniwersum, odtwarzając misternie alegorie kontynentów. Bruno Schulz taki zbiór „widoczków" zewsząd określał mianem „Księgi", choć w niej substytutem fotografii były pocztowe znaczki, pozwalające na wirtualną podróż w odległe krainy. Budząc nie tylko zachwyt proroka ery reprodukcji – Waltera Benjamina, lecz i – później – rzesz kolekcjonerów zza „żelaznej kurtyny", stawały się formą ucieczki poza ciasnotę, zniewolenie i świat paszportów dla wybranych. W epoce easy jet i cyfrowych aparatów egzotyka jest już egalitarna, inaczej niż w czasach artystowskiej *grand tour*. Namnażanie obrazów w seriach i w pamięci przypomina palimpsest. Wielowarstwowo ponaklejane, na wpoły zdarte reklamy z różnych zakątków świata, pozwalają odczytać zaledwie fragmenty intencjonalnego komunikatu, stając się parodią komercyjnych haseł i politycznych kampanii (*Billboard*).

Czerń i biel, a efemerycznie także sepia, ukazują ruch – murale i twarze. Ciasny kadr – mozaika cieni i odbić – to kulisy codzienności i kolaż perspektyw. Miękkie światło Południa i ostry kontur Północy dekonstruują posthistoryczny turyzm, *ancienne regime* i nadzieję mimo wszystko... Nomadyczna zaduma i spojrzenie z dystansu są tu autentyczne. Egzotyka to bodaj tylko filtr – próba wrażliwości i ostrości widzenia. Z tych przypadkowych pozornie ujęć wyłania się pragnienie syntezy. Eskapistyczny zachwyt Marka Lalki ma siłę. Uwodzi. Może być zaraźliwy.

Joanna Kapica-Curzytek

Nihongo

W świecie widzianym przez pryzmat innych języków możemy dostrzec rzeczy zupełnie nowe, które dotychczas były dla nas niedostępne. Ich odkrywanie i doświadczanie są dla mnie źródłem najsilniejszych przeżyć związanych z uczeniem się obcych języków. Przeżywam wtedy radość, oczarowanie i zadziwienie.

Tajemnicze przypadki

Gdy uczymy się jakiegoś języka obcego – mamy okazję wyjść poza materię naszego własnego języka i przezwyciężyć jej ograniczenia. Możemy wtedy znaleźć się poza horyzontem naszego języka, w zupełnie nowym dla nas świecie, gdzie odkryjemy nieznane nam dotąd powiązania między naszą myślą a rzeczywistością. To pozwala zobaczyć otaczający nas świat od nowej, nieznanej strony.

Od jakiegoś czasu zgłębiam tajemnice *Nihongo*, języka japońskiego. Choć jego nauka nie jest łatwa, zdarza mi się uchwycić czasem jakiś niedostrzegany dotąd element otaczającego świata albo drobny okruch ukrytej w tym języku wielowiekowej wschodniej mądrości. Japoński jest jednym z bardziej tajemniczych języków ludzkich. Nie ma bliższej rodziny, nie znamy też dobrze jego pochodzenia. Naukowcy nie są w stanie jednoznacznie umiejscowić go na językowej mapie.

Są jednak takie podobieństwa, które mnie intrygują. Na przykład *atama* po japońsku oznacza głowę, a przecież podobne do niego jest (znane nam choćby z Sienkiewiczowskiej Trylogii) słowo pochodzenia prawdopodobnie turecko-tatarskiego *ataman* – przywódca, dowódca. Albo *gaijin* (czytane: *gajdźin*) to w języku japońskim cudzoziemiec, obcokrajowiec. W języku romskim *gadzio*

to nie-Rom, obcy. Podobieństwa – czy może jednak tylko przypadki? Skąd się wzięły? Z pewnością mniej tajemniczy jest związek słowa *cha* – herbata ze słowem *chai* – występującym w języku hinduskim, perskim, hebrajskim – i oczywiście rosyjskim.

Osobliwe części mowy

To zdumiewające, ile rzeczy zupełnie dla mnie nowych zawiera gramatyka języka japońskiego, choć nie jest to pierwszy język obcy, którego się uczę. Pamiętam swoje zaskoczenie podczas jednej z pierwszych lekcji, gdy dowiedziałam się, że japońskie przymiotniki odmieniają się przez czasy. W tym języku, odmiennie niż w wielu innych, są tu tylko dwa: przeszły i teraźniejszy.

Japoński ma też takie osobliwe części mowy, które nie występują w językach europejskich. Na przykład towarzyszące liczebnikom klasyfikatory. Za ich sprawą inne są formy liczebników, gdy liczymy przedmioty płaskie, a inne – gdy mamy do czynienia z rzeczami o kształcie cylindrycznym. Jeszcze inne są formy liczebników dla obiektów małych i okrągłych. Dlatego jedna cebula to nie to samo co jeden długopis, a trzy komputery to nie to samo co trzy osoby. Dopóki będzie istniał język japoński, możemy być pewni, że nikt nie pomyli człowieka z maszyną. Odnoszące się do nich liczebniki – za sprawą klasyfikatorów – mają odmienne formy.

O sylabach i znakach

Japońskie pismo też ma swoje osobliwości. W tym języku obowiązują stosowane równolegle trzy systemy zapisu. Znaki *katakana* służą do zapisywania słów obcego pochodzenia oraz nazw gatunków roślin i zwierząt. W systemie *hiragana* notuje się formy gramatyczne (na przykład końcówki odmienianych wyrazów). Oba są pismami sylabograficznymi, gdzie jeden znak odpowiada jednej sylabie – i dlatego dla nas są dosyć łatwe do opanowania. *Hiragana* to prawdziwa deska ratunku dla cudzoziemców, którzy mogą nią zapisywać japońskie słowa, nie znając znaków *kanji* (czytamy: *kandźi*), trzeciego i najtrudniejszego systemu japońskiego pisma.

Znaków *kanji* jest dużo, prawie dwa tysiące (według oficjalnego rejestru znaków stosowanych współcześnie) i zapis niektórych z nich jest skomplikowany. *Kanji* zostały zapożyczone z pisma chińskiego w IV wieku naszej ery. Aby osiągnąć biegłość w ich odczytywaniu i pisaniu, potrzeba uczącemu się wielu miesięcy, a nawet lat nauki. Wszystko więc jeszcze przede mną. Znaki *kanji* to logogramy: kryje się pod nimi pojedynczy wyraz lub podstawowa cząstka znaczeniowa wyrazu, przetłumaczalna na inne języki. Zapisuje się nimi słowa rodzimego pochodzenia.

„Gdy umysł jest wypoczęty..."

Pisanie *kanji* jest prawdziwą ceremonią, regulowaną ściśle określonymi zasadami. Na lekcjach języka japońskiego uczyłam się dostrzegać i rozróżniać kreski, z których składają się znaki. Pisze się je od góry do dołu, od lewej do prawej. Najpierw kreskę poziomą, później pionową. Ukośną kreskę stawia się jako pierwszą, gdy jest ona krótsza od przecinającej ją kreski poziomej. Pozioma kreska będzie pierwsza, gdy jest krótsza od przecinającej ją kreski ukośnej.

Podczas pisania znaku trzeba też pamiętać o zachowaniu jego proporcji, aby znak miał siłę i wigor i aby każdy ze znaków odzwierciedlał właściwą osobowość jakiegoś istnienia lub przedmiotu, jak nauczał w II wieku chiński mędrzec Cai Yong. To tylko niektóre najprostsze zasady kaligrafii. W Chinach i Japonii uznaje się ją jako pełnoprawną dziedzinę sztuki, przenikającą się z malarstwem, poezją, a nawet filozofią.

Bowiem w myśl filozofii Wschodu człowiek pisze najpiękniejsze i najbardziej proporcjonalne znaki wtedy, gdy w nim samym jest spokój i harmonia. Cai Yong pisał: „Przed przystąpieniem do pisania należy przegnać z głowy wszelkie smutne myśli. Trzeba być w dobrym nastroju i czuć się swobodnym. Przed zaczęciem pisania należy przez pewien czas oddać się rozmyślaniom. Gdy umysł jest czymś zajęty, nie można dobrze pisać, nawet posługując się najlepszymi pędzelkami. Gdy umysł jest wypoczęty, ruch pędzelka jest swobodny i w ten sposób uzyskuje się wspaniałe znaki"*.

* Cytat za: Mieczysław J. Künstler, *Pismo chińskie*, Warszawa 1970, s. 148-150.

Kanji i herbata

Wielką lekcją języka, ale też i życia, było dla mnie nauczenie się, jak odczytywać znaczenie *kanji*. Trzeba najpierw dokładnie i bez pośpiechu przyjrzeć się pojedynczemu znakowi i odszukać w nim tzw. klucz. To jest element podstawowy, wyznaczający obszar znaczeniowy danego znaku. Słownik japońskich znaków sporządza się według kluczy. To z pozoru wydaje się proste, ale nie dla cudzoziemca, bo wszystkich kluczy jest dwieście czternaście.

Trzeba też dobrze policzyć, z ilu kresek składa się dany znak. I dopiero wtedy można zajrzeć do spisu japońskich *kanji,* uszeregowanych według kluczy oraz według liczby kresek. Często trwa to bardzo długo. Odnalezienie w słowniku jednego japońskiego znaku i ustalenie jego znaczenia może potrwać tyle, ile przetłumaczenie całego zdania, a nawet dwóch – w którymś z języków europejskich. Tutaj nie ma drogi na skróty i trzeba umieć zwolnić tempo, dostosować się do innego rytmu. Lepiej nie liczyć na szybki efekt i utrafienie w sedno tłumaczonego znaku jednym szybkim strzałem. Wszystko to w pewnym sensie pozwala się nam przybliżyć do jednej z wielu nauk filozofii Wschodu: przebycie drogi jest sensem samym w sobie i liczy się tak samo, jak dojście do celu.

Ten rytuał jest nieporównywalny z niczym, co dotąd poznałam, ucząc się języków. Potrzebny jest tutaj – jakie to nieeuropejskie – wysiłek, skupienie, dłuższy namysł, graniczący wręcz z medytacją. Do diabła z pragmatyzmem i pośpiechem typowym dla Zachodu. Czas zatrzymuje się w miejscu, chwila nabiera cech nieskończoności. Odczytywanie znaków jest swoistym obrzędem. Dostrzegam w nim wiele podobieństw do japońskiej ceremonii parzenia herbaty, gdzie każda czynność – wykonywana w milczeniu i z najwyższym namaszczeniem – ma swoje ustalone miejsce.

Znak *kanji* nie tylko odsłania wtedy przede mną tajemnicę swojego znaczenia, ale pozwala mi nawiązać symboliczny kontakt z ludzką myślą, która w tak odległych od współczesności czasach pozostawiła po sobie namacalny ślad. Niemal każdy z tych znaków jest w pewnym sensie historycznym świadkiem narodzin pisma w cywilizacji człowieka, jeśli wziąć pod uwagę, że *kanji* mogły pojawić się w Chinach już osiem tysięcy lat wstecz. To w dziejach ludzkości początek ery pisma. W takich chwilach jeszcze bardziej odczuwam łączność i pogłębioną więź ze wspólnotą wszystkich ludzi piszących i czytających, którzy kiedykolwiek żyli na świecie.

Poezja słów

Brzmienie *Nihongo*, języka japońskiego, nie zawsze kojarzy się nam miło. Europejczykom wydaje się krzykliwy, szorstki, niezbyt melodyjny. Ale to przecież tylko nasz punkt widzenia. Jestem przekonana, że japońskie słowa, powstające ze złożenia najczęściej dwóch znaków, zawierają w sobie wiele subtelności i poezji. Ucząc się ich, z zaskoczeniem odkrywam w moim własnym języku zupełnie nowe znaczenia słów i pojęć, które – wydawałoby się – znam już od dawna. To nauka japońskiego sprawia, że zauważam w nich na nowo głębszy sens.

Zapisując obok siebie znaki oznaczające „myśleć" i „wyciągać" – tworzymy nowe słowo: „wspomnienie". Zestawiając razem znak „kobiety" i „dziecka", otrzymujemy słowo „miłość". Znak „niebo" obok „samopoczucia, ducha" tworzy słowo „pogoda". Zwyczajne pytanie „jaka jest dzisiaj pogoda?" nabiera nieoczekiwanej wzniosłości: jakie samopoczucie ma dziś niebo? *Kanji* oznaczające „człowieka" razem ze znakiem „kształt, podobizna" tworzą słowo „lalka". „Niebo" wraz ze znakiem oznaczającym „rzekę" tworzy pojęcie Drogi Mlecznej... W języku japońskim jest jeszcze wiele takich fascynujących złożeń.

Na początku drogi

I pomyśleć, że w nauce japońskiego jestem jednak jeszcze na samym początku drogi. Staram się oczywiście nie zapominać, że jej przebywanie jest równie ważne, jak dojście do celu. Na moim etapie nauki powinnam już znać około dwustu znaków *kanji*. Ale to nadal kropla w morzu... W obowiązkowym kursie japońskiej sześcioletniej szkoły podstawowej jest zarejestrowanych oficjalnie 881 znaków. Dzieląc tę liczbę przez sześć, obliczam, że znajomość dwustu znaków plasuje mnie na początku drugiej klasy...

Benita Sczaniecka

Co ona takiego miała, czego inni nie mają

W 200. rocznicę napisania *Dumy i uprzedzenia* Jane Austen.

Kiedy powieść zostaje uznana za klasykę, oznacza to, że albo została napisana z niezwykłym talentem, albo przedstawia wielkie sprawy, spektakularne sceny i ponadczasowe wartości. Najlepiej jest, jeśli posiada wszystkie te cechy. A jeszcze lepiej, aby autor był noblistą. Wówczas na pewno przeczyta ją każdy, kto ma wysokie ambicje czytelnicze i kulturalne. I na pewno nie będzie żałować. Na pewno będzie to czas spędzony w sposób wartościowy. W końcu klasykiem nie zostaje się tak zupełnie bez powodu. Jak często jednak zdarza się, aby powieść, która teoretycznie jest „tylko" romansem, nie tylko dostała się do ścisłego grona literatury klasycznej, ale jeszcze była czytana po prostu dla przyjemności, a nie tylko dla zaspokojenia ambitnych założeń czytelniczych?

Pomimo pewnych trudności, jakie autorka miała przy wydaniu niektórych swoich powieści, twórczość Austen dość szybko zdobyła sławę. Przyszło jej to w sposób jak najbardziej naturalny: po prostu była w tym dobra. Nie można było tego nie zauważyć i nawet jeśli ktoś nie przepada za romansami, musi przyznać jej talent. Możliwości promocji i reklamy na początku XIX wieku były raczej ograniczone, więc informacje o jej powieściach przekazywano ustnie, znajomi znajomym. Metoda ta, współcześnie nieco zaniedbana, okazała się niezwykle skuteczna i powieści Jane Austen były i są czytane i lubiane, nieprzerwanie od dwustu lat. I już teraz, z dwustuletnim wyprzedzeniem, gratuluję każdemu współczesnemu pisarzowi, któremu uda się ten sukces powtórzyć.

Z jej siedmiu ukończonych powieści, na podstawie sześciu nakręcono filmy, zresztą w większości bardzo udane, chociaż nie wszystkie utwory Austen są jednakowo cenione przez producentów filmowych. Tak więc *Opactwo Northanger* doczekało się zaledwie dwóch adaptacji, natomiast *Dumę i uprzedzenie* oglądać można w jednej z jedenastu wersji kinowych i telewizyjnych. Ta lista z pewnością nie jest jeszcze zamknięta.

Niezliczone są eseje, recenzje i omówienia twórczości Jane Austen, najczęściej bardzo pozytywne. Wiele z nich to arcydzieła same w sobie, prawie wszystkie słuszne. Nie brakuje w nich należnych autorce pochwał i w ogóle niczego w nich nie brakuje. Czasem tylko jest w nich czegoś za dużo: klasyfikacji. Austen pisała romanse i miała ogromne poczucie humoru. Liczne cytaty z jej powieści wciąż mogą być ozdobą każdej literackiej, salonowej lub kawiarnianej konwersacji. To wiemy. Miała swój styl i światły umysł. Głosiła chwałę małżeństwa z miłości, ale zachowywała jego zdrową, trzeźwą wizję. Tylko co tak naprawdę myślała, pisząc swoje utwory? Czy rzeczywiście miała zamiar umieścić w nich głębokie przesłanie? Czasami mam wrażenie, że nie tylko sama świetnie się bawiła przy pisaniu, ale również po prostu dawała sobie i innym prawo do pisania i czytania właśnie romansów, gatunku lekko pogardza-

nego przez takich czytelników, co to „tylko ambitną literaturę...". *Opactwo Northanger*, powszechnie uważane za parodię powieści gotyckiej, wydaje się być raczej apologią gatunku. W tej powieści autorka kilkakrotnie broni powieści, zwłaszcza romansów, byle tylko styl dobrze świadczył o inteligencji i talencie autora.

Jane Austen jest mistrzynią równowagi w ocenie charakterów i sytuacji. Nie spotyka się w jej powieściach czarnych charakterów, a te negatywne stanowią najczęściej doskonałą pożywkę dla jej humoru. Wykorzystuje ona zazdrość, plotki i obmowę, aby w pełni rozwinąć swoją zdolność wychwycenia najśmieszniejszych cech charakteru, zwłaszcza u tych, którzy chcą wypaść bardzo poważnie, jak również śmieszności nakazów i zwyczajów swojej epoki. Panna Bingley używa obmowy, aby zniechęcić pana Darcy do Elizabeth, przeciwstawia własną elegancję i pozycję niskim koneksjom rodziny Bennet. W rezultacie traci tę elegancję i maniery. Maria Bertram, której życiowym celem jest korzystne zamążpójście zgodne z wymaganiami obowiązującymi w jej sferze towarzyskiej, uznaje, „że jej oczywistym obowiązkiem" jest małżeństwo z pewnym bogatym, młodym człowiekiem, obdarzonym „zdrowym rozsądkiem, ale niczym więcej". Obie rodziny są przekonane o słuszności tej decyzji po przetańczeniu przez parę „odpowiedniej ilości tańców na odpowiedniej ilości balów". W tamtych czasach takie decyzje i ich motywy były bardzo czytelne i przejrzyste.

W swoich powieściach Austen jest bardzo kobieca, wraz ze wszystkimi elementami tej kobiecości. Porusza ona sprawy miłości i małżeństwa, ważne role grają też pieniądze, pozycja społeczna, bale, flirt, plotki, moda, uroda, charaktery i wartości moralne. Te ostatnie potrafią nawet samodzielnie przejąć główną rolę, jak to było w przypadku *Mansfield Park* i przesympatycznego, choć śmiertelnie poważnego Edmunda Bertrama. Jest kilka rzeczy, którymi autorka wyraźnie gardzi, a raczej sprawia, że to czytelnik nimi gardzi. Są to między innymi obmowa i małżeństwo dla pieniędzy. Sama Jane Austen ostatecznie odrzuciła możliwość małżeństwa z zamożnym człowiekiem, którego nie kochała. Z drugiej jednak

Sofia Nogueira (Portugalia)

strony, potrafi ona uszanować rozsądek, który, obok wielkiej miłości, wskazuje na konieczność posiadania pewnych środków utrzymania rodziny. Na przykład pani Price, która wbrew rodzinie wyszła za ubogiego porucznika, staje się uosobieniem wielkiej pomyłki.

We wszystkich powieściach autorka zwraca szczególną uwagę fakt, że nie opisuje ona drobiazgowo wyglądu swoich bohaterek. Wygląd Jane, najładniejszej z sióstr Bennet, w ogóle nie jest opisany. Wiadomo, że „nie była tak lekka jak Elizabeth". Sama Elizabeth opisana jest, zresztą niezbyt życzliwie, dopiero przez jej rywalkę, pannę Bingley. Są wyjątki. Na przykład uroda Harriett Smith w *Emmie* jest przedstawiona szczegółowo, bo uosabia ona ideał piękna obowiązujący w tamtej epoce. Natomiast sama Emma jest po prostu „piękna". I wystarczy. Czyżby nie było to dla autorki istotne? Współcześni autorzy, a zwłaszcza autorki, nie pozostawiają czytelnikowi cienia wątpliwości, że ich bohaterki są szczupłe i długonogie. Ciekawe, że pomimo tego wyraźnego braku wyraźnych opisów szczegółów urody głównych bohaterek, który wyraźnie nadawałby powieściom rys „kobiecy", panie zdecydowanie chcą te powieści czytać.

Atrakcyjność Jane, Elizabeth czy Marianny polega nie tylko na wyglądzie. Brzmi to banalnie i dlatego od razu wyjaśniam, że nie chodzi tu o znany komunał, że „piękno wewnętrzne..." i tak dalej. To akurat często bywa kłamstwem wmawianym mniej ładnym kobietom przez ich bezradnych i nieszczerych przyjaciół. Gdyby tak było, to w pierwszej kolejności odpadłaby Emma, wewnętrznie nieco mniej piękna, bo zbyt pewna siebie i zbyt łatwo oceniająca innych. Jane Austen ceni kobiety z klasą, obecnie często myloną z sukcesem zawodowym, dobrym makijażem i wysokimi obcasami. Wśród bohaterek Austen kobiety z klasą mogą być bardzo eleganckie, jak Emma, lub skromne jak Fanny Price. Co mają wspólnego?

Potrafią, każda na swój sposób, zgrabnie wybrnąć z kłopotliwych sytuacji. Bez ukrywania własnych uczuć, ale i bez ich eksplozji, potrafią elegancko odpowiedzieć nieżyczliwemu rozmówcy. Nawet jeśli bardzo chcą kogoś uwieść, nie narzucają się

Sofia Nogueira (Portugalia)

mężczyźnie. To bardzo ważne. Nie zdobywają; to one są zdobywane. To kolejna różnica pomiędzy nimi a promowanym obecnie wizerunkiem kobiety, która sama zabija swoje węże. Ogólnie rzecz biorąc, każda z nich, cokolwiek robi czy mówi, nie przestaje być damą. Damą, lecz nie leliją. Bohaterka może być wiotka i słodka, smoki do pokonania pozostawi mężczyźnie, ale przy tym na pewno będzie miała własne zdanie. Do wytworności, zarówno wrodzonej, jak i nabytej, potrzeba też charakteru oraz godnego szacunku umysłu. Jane Austen nie zawsze wymaga od nich nie wiadomo jakiego wykształcenia, ani nawet szczególnej błyskotliwości. Ani Fanny Price, ani Katarzyny Morland nikt nie będzie podziwiać za błyskotliwość, ale na pewno nikt też nie uzna ich za głupie. Głupota – to właśnie wydaje się być największą wadą w opinii Austen. Największą, bo nie dopuszcza możliwości poprawy.

Austen nie jest mściwa i nie karze zbyt surowo tych, którzy zawinili. Pozwala też niekiedy tym mniej udanym bohaterom wyjść na koniec z opresji, w której znaleźli się z własnej winy. Wickham i Lydia są małżeństwem, może nie idealnym, ale w miarę stabilnym. Pani Bennet nigdy tak naprawdę nie odczuje konsekwencji własnych błędów i może, choć niezasłużenie, znajdować radość w drażnieniu sąsiadów sukcesem dwóch starszych córek. Pan Crawford traci wprawdzie Fanny, ale nie musi ciężko pokutować i w końcu na pewno ułoży sobie życie. Jedynie pani Rushworth autorka każe ponieść karę za wstyd, który ta przyniosła rodzinie i skazuje ją na resztę życia w towarzystwie cioci Norris. Ale przynajmniej zostawia ją w dostatku. Nie od niej nauczy się czytelnik pragnienia zemsty płynącego z niskich pobudek.

A więc co my tu mamy? Niepowtarzalny humor, doskonałe portrety psychologiczne, jeszcze doskonalsze połączenie otwarości wypowiedzi z taktownym dystansem. Autorka nie gorszy się, nie pała oburzeniem, nie wynosi nikogo pod niebiosa. Ona mówi to, co myśli i pozwala czytelnikowi robić to samo. Jane Austen zdaje sobie sprawę ze swojego talentu oraz doskonale wie, że jej obserwacje ludzi i sytuacji są trafne. Może i z tej świadomości bierze się jej swoboda pisania.

Trudno byłoby „podsumować" Jane Austen. Wszystkie banały typu „wyprzedziła swoją epokę" wydają się raczej pomniejszać jej twórczość niż ją chwalić, bo nie obejmują całego obrazu. Geniusz? Na czym właściwie polega bycie geniuszem? Czy gdyby jakiś szarak był w stanie czyjś genialny umysł nazwać, sklasyfikować i precyzyjnie opisać, nie świadczyłoby to raczej o braku geniuszu opisywanego? A może tu nie chodzi o samą wielkość umysłu. Może to talent albo ta jej elegancja lub humor? Nie istnieje szufladka, do której ktokolwiek ośmieliłby się ją ograniczyć; sama myśl o szufladkowaniu Jane Austen powinna – odpowiednio do jej epoki – wywołać rumieniec wstydu na twarzy zbyt śmiałego krytyka.

Jane Austen wyraźnie ma zaufanie do inteligencji czytelnika, a to ujmuje. Nie tłumaczy, że ten bohater jest dobry, a tamten nie. Nie musi też niczego wyjaśniać ani uprzedzać czytelnika, żeby tej właśnie postaci nie ufał, bo on czy ona źle skończy, a zwycięży ktoś inny. Nawet kiedy pan Wickham od początku wzbudza sympatię, autorka nie próbuje temu zapobiec. Nie musi, bo czytelnik i tak do wszystkiego dojdzie nie tylko sam, ale i z większą przyjemnością, niż gdyby od początku był przekonywany, jakie stanowisko ma zająć.

Dariusz Pawlicki

Epitafium dla pewnego międzygórzanina

[…] tam, gdzie się kończy nieszczęście, musi zaczynać się szczęście

Andrzej Strumiłło, *Factum est*

Piszę ten tekst z potrzeby zapisania tkwiących we mnie emocji związanych z pewnym człowiekiem. Nie wiem jeszcze, jakie one są; jedynie ich się domyślam. Jestem jednak przekonany, że w trakcie pisania poznam je.

Impulsem do rozpoczęcia przelewania na papier owych emocji mogło być to, że zlokalizowałem w moim księgozbiorze trzy książki mające z nim bezpośredni związek (dwóch autorskich: zbioru esejów *Świat bez prawdy* i zbiorku wierszy *owoc ja*, a także przetłumaczonej z angielskiego *Drogi* Lao Tsy'ego). Innych Jego publikacji nie posiadam. A to z całą pewnością dlatego, że życiem i twórczością Williama Blake'a interesuję się pobieżnie. Nie to, co adresat niniejszego *Epitafium*, który nie tylko, że Blakiem był zafascynowany, ale był jego największym znawcą wśród osób uznających język polski za ojczysty. To dlatego, bodajże w 2004 r., jako jedyna osoba z Polski, został zaproszony do wzięcia udziału w zorganizowanej w Londynie międzynarodowej konferencji poświęconej temu angielskiemu mistykowi, malarzowi, poecie, rytownikowi.

Jego wiedza na ten temat zogniskowała się w opublikowanym przez wydawnictwo słowo/obraz terytoria, pokaźnych rozmiarów tomie *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytności.* Ta książka to *magnum opus* bohatera niniejszego tekstu.

Nie wykluczam jednak i tego, że w pewnym momencie szczególnie mocno dał o sobie znać żal związany ze śmiercią człowieka, który mógł jeszcze wiele zdziałać. Zmarł przecież w wieku ledwie 62 lat. Dobrze pamiętam swoje myśli, a były one niezwykle poruszone, wręcz rozedrgane, gdy dowiedziałem się 18 grudnia 2010 r. o jego śmierci (nastąpiła tego właśnie dnia). Choć dla kogoś bliżej związanego z nim i jego rodziną, dysponującego dzięki temu wiadomościami najaktualniejszymi, to odejście pod koniec owego roku, nie było może zaskoczeniem. Ale ja, otrzymawszy jakieś trzy miesiące wcześniej informację o poprawie stanu jego zdrowia, pozostałem przy tej optymistycznej wiadomości. Wręcz liczyłem na to, że następna będzie jeszcze pomyślniejsza.

Na moje myślenie o nim, owocujące m.in. tym oto tekstem, wpływ ma również świadomość, że mieszkał w pięknym miejscu – w górach, a konkretnie w Międzygórzu, u stóp Masywu Śnieżnika. I zamieszkiwał je od drugiego roku życia (urodził się w 1948 r., w Warszawie). A tak się składa, że sześć dni przed rozpoczęciem pisania *Epitafia* zjawiłem się w Międzygórzu. Byłem tam pierwszy raz. Chciałem zobaczyć miejscowość malowniczo położoną w dolinach Wilczki i Bogoryi. W znacznej części zabudowaną pochodzącymi z XIX w. domami w stylu tyrolskim. Przyjechałem jednak przede wszystkim ze względu na Niego. Pragnąłem bowiem odwiedzić jego grób znajdujący się na niewielkim cmentarzu. Jak też rzucić okiem na dom, w którym mieszkał. Pragnienia te spełniłem. Z tym, że gdy patrzyłem na

dom (nie jest w stylu tyrolskim), od drogi gruntowej oddzielony bukszpanowym żywopłotem (czuć było delikatny zapach bukszpanu), nie wiedziałem, że to właśnie ten. Brałem to jedynie pod uwagę. Posiadałem bowiem informację, że stoi na obrzeżach Międzygórza, przy jednym ze szlaków turystycznych wiodących do Sanktuarium Matki Boskiej Śnieżnej, znajdującego się pod szczytem Iglicznej.

* * *

Tego, któremu to *Epitafium* jest poświęcone, nie staram się opisać takim, jakim był. Nie jest to absolutnie moim zamiarem. A mógłbym podjąć taką próbę choćby z tej racji, że znam spore grono osób, które znały Go dobrze bądź bardzo dobrze. Nie będę więc próbował sprawić wrażenia, że i ja do nich należałem. Dlatego, od początku do końca, tekst ten będzie subiektywnym i fragmentarycznym opisaniem człowieka, z którym spotkałem się (jedynie!) kilkanaście razy. A w cztery oczy rozmawiałem dwu-trzykrotnie, gdy natknęliśmy się na siebie we Wrocławiu. Pamiętam, że jedno z takich spotkań miało miejsce przy wejściu do siedziby Ossolineum, od strony Zaułka Ossolińskich. Akurat stamtąd wyszedłem, a On miał zamiar wejść. Spotkań i rozmów najpewniej byłoby więcej, gdybym poznał go wcześniej, i przez kilka lat nie przebywał poza krajem. A już na pewno częstotliwości tych kontaktów sprzyjałoby to, gdybyśmy zamieszkiwali tę samą miejscowość: Wrocław albo Międzygórze.

Międzygórze, kościół pw. św. Józefa (fot. autor)

Mimo braku znamion zażyłości z nim, piszę *Epitafium* jemu poświęcone. Odczuwam bowiem taką potrzebę, bo teraz, gdy nie ma go wśród żywych, pojawiło się Coś, co zasługuje na miano... bliskości.

Przebywając w Międzygórzu, przyglądając się budynkom i zboczom porośniętym dorodnym lasem, siedząc we wnętrzu urokliwego, drewnianego kościółka, robiąc zakupy w sklepie spożywczym, spoglądając w bystro płynące wody Wilczki i Bogoryi, podziwiając okazały, strzelisty świerk rosnący nieopodal skweru upamiętniającego Mariannę Orańską, podejmowałem próby (to mogły być tylko próby) spoglądania jego oczami na otoczenie, na rzeczywistość międzygórską. Bo to było do niedawna jego otoczenie, jego rzeczywistość. To, że na wszystkie te punkty nie tylko patrzył, ale również je widział (patrzenie nie jest tożsame z widzeniem), jest rzeczą pewną. Eseiści, poeci są ludźmi spostrzegawczymi. On zaś był zarówno jednym, jak i drugim. Do tego był jeszcze malarzem. Niewidzenie, w jego przypadku, nie mogło mieć miejsca. Na dodatek pośród tych punktów żył 60 lat, a Międzygórze jest niewielką miejscowością. A to, że od kilkunastu lat część czasu spędzał w Zielonej Górze, jako wykładowca na tamtejszym uniwersytecie, niczego w tym względzie nie zmieniło. To dlatego młody mężczyzna zamykający akurat kiosk z prasą, odpowiedział z wyrzutem przemieszanym ze zdziwieniem:

– Oczywiście, że tak.

A zapytałem, czy znał tego, któremu niniejsze *Epitafium* jest poświęcone.

* * *

Poniższy fragment utworu Johna Donna był (i będzie) wielokrotnie cytowany: „Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z całą ludzkością".

Są jednak śmierci, które indywidualnie odczuwamy jako, co najmniej, podwójne umniejszenie. I tak właśnie traktuję odejście Michała Fostowicza-

-Zahorskiego (nadszedł czas na ujawnienie imienia i nazwiska). Przy czym mogę mówić o szczęściu – mogłem przecież Michała nigdy nie spotkać. Mogłem nie zdążyć go (choć trochę) poznać. Ale zdążyłem: spotkałem i poznałem!

Na koniec posłużę się cytatem z *Pamięci Stephena Spendera* Josifa Brodskiego: „Ludzie są tacy, jak nasza o nich pamięć". A tak się składa, że w mojej pamięci Michał tkwi jako jasny punkt!

PS:

Minęły prawie dwa lata od napisania tego, co widnieje powyżej, gdy kupiłem pokaźnych rozmiarów książkę (566 stron) zatytułowaną... *Boska analogia.* Teraz czytam ją codziennie. A to znaczy, że „kontaktuję się" wówczas nie tylko z Williamem Blakiem, ale również z Michałem Fostowiczem.

Wrocław, kwiecień 2011 – marzec 2013

Florian Firlej

Fenomen czy farciarz?

Jest fenomenem czy wyrachowanym karierowiczem? Waldemar Pawlikowski pracuje jako kierownik galerii sztuki. Z wykształcenia jest plastykiem, po Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Najczęściej stosowana przez niego w twórczości malarskiej technika to pastel, a inspirujące go barwy to szarości. I to jest właśnie fenomen, że w szarościach znajduje inspiracje do działania. Paleta jego inspiracji jest szeroka. Potrafi w rozmowach z ludźmi odnaleźć pomysły na działania artystyczne i niejednokrotnie buduje wielkie wydarzenia o dużym ładunku emocjonalnym. Jest również muzykiem i autorem tekstów, stał się bardem poezji śpiewanej, jest organizatorem cyklicznego projektu „Poetyckie Rubieże". W pierwszych działaniach postawił na znajomych z konkursów poezji śpiewanej, w których niejednokrotnie zdobywał czołowe miejsca. To dało impuls do zaproszenia poznanych tam artystów, jak i sąsiadów z pobliskich Niemiec. Gdy zorganizował drugą edycję konkursu, zaprosił artystów o znanych nazwiskach: Zbigniewa Zamachowskiego, Krzysztofa Kiljańskiego, jak również tych, którzy nie zawsze mogą przebić się na szczyty: Chwila Nieuwagi, Bieguni, Jarek Gościkiewicz.

Wielokrotnie sam występuje, jest chętnie słuchanym artystą. Grał na wielu charytatywnych koncertach, wystąpił w studiu Agnieszki Osieckiej, w Programie Trzecim Polskiego Radia. Wielu znajomych zachęca go do nagrania płyty, lecz on pozostawia to czasowi.

Jednym z kolejnych projektów zaskoczył mieszkańców pogranicza – były to rozmowy o przeszłości w „Spotkaniach bliskich nieznajomych". Wydarzenie

Waldemar Pawlikowski

niosło wielkie emocje, bo spotykali się tam ludzie z sąsiedztwa, z ogromnym bagażem życiowych doświadczeń – Polacy i Niemcy. Opowiadali swoje koleje losu, które ich przywiodły na pogranicze, gdzie przez lata budowali swoją małą ojczyznę. Pozwalał im opowiadać, konfrontować ich wyznania, by sprowokować wzajemne zrozumienie i przybliżenie w sąsiedztwie, sprawił, że przestali być anonimowi i zostali dobrymi znajomymi, poznali swe życiowe drogi i wspólnie budują lepsze relacje.

Waldemar nie poprzestaje na koronnych cyklicznych projektach, lecz podejmuje wiele pomniejszych działań mówiących o pograniczu, o Gubinie, organizuje wystawy lokalnych twórców, jak i uznanych artystów, czynnie uczestniczy w plenerach i warsztatach artystycznych. Jest aktywny w pozyskiwaniu

środków na organizowanie swych działań, którymi udowadnia, że można w małym ośrodku organizować życie kulturalne nie tylko jego mieszkańców, lecz również sąsiadów zza rzeki.

Można podejrzewać, że te działania są skutkiem jego tułaczki po Polsce, gdzie poznawał życie i kultury różnych społeczeństw. Sam opowiada, jak przez prawie rok przebywał wśród Cyganów i poznawał ich specyficzne podejście do życia. Na jego drodze znalazł się również Toruń i Bydgoszcz, gdzie spędził kilka lat. Wielokrotnie mówił, że szuka swego miejsca na ziemi. Stwierdzenie wydaje się być zaskakujące, bo sądzić by można, że jest związany z miejscem swojego działania – Gubinem. Waldemar jest typem wędrowca. Najchętniej odnajduje się tam, gdzie może się realizować artystycznie. W swoich działaniach potrzebuje muzy, która byłaby jego natchnieniem. Jeśli taką odnajduje, wtedy stara się pokonać wszystkie wyzwania i bariery, staje się człowiekiem czynu. Lecz – jak to w świecie artystów bywa – nie jest wolny od humorów, które czasem są przeszkodą, a czasem napędem. Od paru lat daje sygnał, że chce pozostać w Gubinie, od kiedy zaczął remont we własnym domu i nadal organizuje spotkania poezji śpiewanej. Zaczyna utożsamiać się z miejscem, imprezami, które trudno byłoby przenieść w inne środowisko, z ludźmi, z którymi pracuje i których zaprasza do udziału w przeprowadzanych działaniach. Tu ma fanów, swoich zwolenników i paru przeciwników, ale czuje się u siebie. Swymi działaniami wpisał się w koloryt domu kultury, Gubina, a nawet Ziemi Lubuskiej.

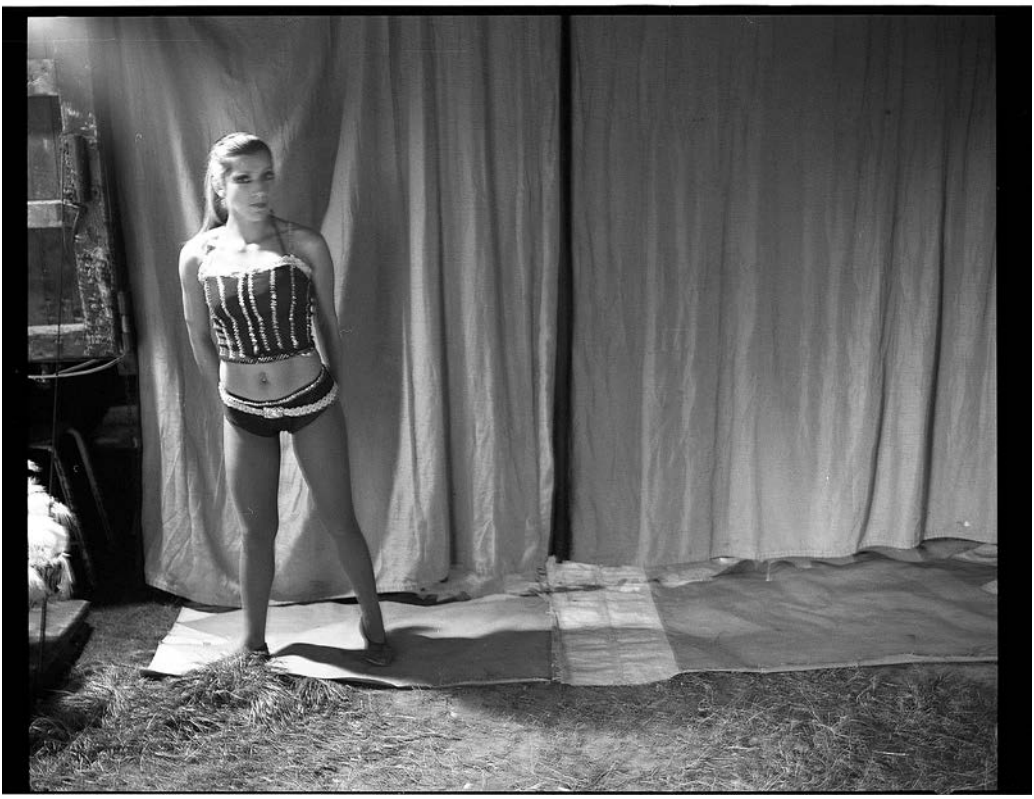

Roman Garbowski

Zamiast ruszyć w Polskę zostałem w Zielonej Górze

Podczas zdobywania zawodu nauczyciela rysunku więcej czasu poświęcałem premierom w łódzkich teatrach oraz zajęciom w Zespole Dramatycznym przy Łódzkim Domu Kultury. Kilkoro członków tego zespołu zostało aktorami. Między innymi zielonogórski aktor Cezary Kazimierski, warszawski aktor Bogusław Koprowski. Również ja, zafascynowany teatrem, po uzyskaniu dyplomu nauczyciela rysunku, zatrudniłem się w charakterze aktora-adepta w Państwowym Teatrze Lalek „Pleciuga" w Szczecinie.

Los adepta w teatrze zawodowym nie był łatwy. Na początku pomagałem zespołowi technicznemu w zmianach dekoracji. Od czasu do czasu zagrałem małą rólkę w przedstawieniu. W okresie terminowania pod okiem kierownika technicznego wydarzył się zabawny epizod. Po przedstawieniu w terenie razem z zespołem technicznym rozmontowywałem i ładowałem do samochodu dekoracje. Niosłem właśnie na plecach ciężką skrzynię ze sprzętem elektrycznym. Obok szedł kierownik brygady technicznej z rękami w kieszeniach i wypominał mi, że nie zdążyłem w czasie spektaklu na czas przestawić drabinę, przez co aktor spóźnił się na plan. Puściły mi nerwy. Ostatkiem sił uniosłem skrzynię nad głową i cisnąłem na betonowe podłoże tak skutecznie, że rozpadła się na kawałki, ukazując zwoje kabli elektrycznych. Znakomity w swoim zawodzie pan Adam Tokarski zamiast pomstować uścisnął mnie i powiedział:

– Dojrzałeś. Od dziś jesteś zwolniony od wszelkich zadań technicznych.

Po dwóch latach terminowania na niewielkiej gaży adepta, pojechałem z „Pleciugą" na festiwal teatralny do Torunia. Po spektaklu inspicjent powiadomił mnie, że w kawiarence teatralnej czeka na mnie jakaś tajemnicza dama w kapeluszu. Gdy chciałem przywitać ją tak, jak na to zasługiwała, ściągnęła do dołu moją rękę i oderwała swoją dłoń od moich warg gotowych do całowania. Jej niebieskie źrenice wpatrywały się we mnie badawczo.

– Halina Lubicz – przedstawiła się. – Przy Teatrze Lubuskim w Zielonej Górze powstaje Scena Lalkowa. Angażuję pana. Zapewniam dużo grania, gażę aktorską, pokój w Domu Aktora.

Zanim się opamiętałem, miałem w ręku podpisaną umowę.

Do Zielonej Góry przyjechałem w nocy do nieistniejącego już dzisiaj hoteliku Pod Orłem. O dziesiątej rano na stoliku zadzwonił telefon.

– Witam pana. Marek Okopiński. Jestem dyrektorem Lubuskiego Teatru. Jak tam podróż? Przyjedzie po pana kierownik gospodarczy nyską. Pojedziecie na dworzec po bagaże, a potem do Domu Aktora. Czeka tam na pana umeblowany pokój. Gdy się pan rozpakuje, proszę przyjść do mnie.

Kremowy mikrobus z bagażami zatrzymał się na podwórzu przed Domem Aktora przy ulicy Wandy.

– Bardzo pana przepraszam – zwrócił się do mnie gospodarczy. – Musimy chwilę poczekać w samochodzie, sprzątaczka kończy pastować podłogę.

Podobną propozycję przejścia drogą rozpisanego konkursu do Cudaczka – bo tak nazwano zielono-

górską scenę dla dzieci – otrzymała moja żona, Janina Janiak-Garbowska, która w tym czasie pracowała w charakterze choreografa i aktorki w Państwowym Teatrze Lalek „Czerwony Kapturek" w Olsztynie.

Zatrudniliśmy się w teatrze, o którym było głośno w Polsce. Na Kaliskich i Wrocławskich Spotkaniach Teatralnych Lubuski Teatr zdobył: sześć nagród za najlepsze przedstawienie; sześć nagród za scenografię; siedem nagród za reżyserię i osiemnaście nagród aktorskich. Ponadto nagrodę specjalną miasta Kalisz za konsekwentną prezentację sztuk polskich na Kalskich Spotkaniach Teatralnych. Prócz tego Stanisław Hebanowski otrzymał nagrodę za twórczą współpracę literacką z teatrem, zielonogórski Teatr uhonorowano nagrodą Ministra Kultury i Sztuki za twórczość artystyczną w roku 1963, a władze lokalne przyznały Teatrowi nagrodę kulturalną miasta Zielona Góra.

W zespole artystycznym dramatu w tym czasie byli: Danuta Ambroż, Stefania Cybulska, Irena Grzonka, Antonina Girycz, Sława Kwaśniewska, Halina Lubicz, Amelia Szymańska, Halina Winiarska, Anna Wróblówna, Barbara Zgorzalewicz, Stanisław Cynarski, Maciej Dzienisiewicz, Józef Fryźlewicz, Zdzisław Grudzień, Zdzisław Giżejewski, Wirgiliusz Gryń, Aleksander Iwaniec, Jarosław Strzemień, Lech Pietrasz, Bolesław Idziak, Bogusław Jerke, Ryszard Jakubowicz, Andrzej Mrozek, Zygmunt Malanowicz, Henryk Machalica, Józef Michalcewicz, Hieronim Mikołajczak, Zygmunt Szpecht, Andrzej Tyralewski, Zdzisław Wardejn.

Marek Okopiński dbał o swój zespół. Dawał szanse każdemu. W jednej sztuce aktor grał epizod, w następnej główną rolę. Wymagał bezwzględnej dyscypliny. Za spóźnienie na próbę lub przedstawienie karał surowo. Przyjście do pracy w stanie nietrzeźwym kończyło się dyscyplinarnym zwolnieniem.

Natomiast na spotkaniach popremierowych wódki nie brakowało. Techniczni w czasie całej libacji musieli być trzeźwi. Popijali herbatkę i czuwali nad porządkiem. Kto wypił o kieliszek za dużo, był wynoszony na noszach do zaplecza sceny i układany na rozścielonych kotarach. Dwóch technicznych czuwało nad śpiącymi uczestnikami popremierowej biesiady. Marek Okopiński od czasu do czasu przychodził sprawdzić, czy komuś nie jest potrzebna pomoc lekarska. Po imprezie budzono śpiących i rozwożono do domów. Gdy kończyło się przyjęcie techniczni dostawali przechowany dla nich w gabinecie dyrektorskim należny alkohol.

Odchodząc do Poznania, Marek Okopiński zabrał ze sobą sporą grupę aktorów, którzy wyróżnili się później w teatrach i filmach. Mimo że byliśmy z żoną aktorami-lalkarzami, zaproponował nam pójście za sobą. By lepiej nas poznać, kazał w ramach ćwiczenia przygotować sztukę Aleksandra Fredry *Świeczka zgasła*. Żonie powierzał asystenturę, opracowania choreograficzne i ruch sceniczny. Lecz pani Halina Lubicz zrobiła wszystko, by zatrzymać nas w Zielonej Górze.

Nie wiem, co by nas czekało u boku znakomitego reżysera, ale to, co przytrafiło się nam, młodym aktorom, przybyłym z dużych miast do jednego z najmłodszych teatrów w Polsce, zupełnie nam wystarczyło, by się spełnić.

Aktor, który wiązał się na stałe z takim miastem jak Zielona Góra, zwłaszcza w tamtych czasach, był pozbawiony możliwości współpracy z telewizją, radiem czy filmem. To dzisiaj działają agencje aktorskie, które zajmują się proponowaniem aktorów do filmu.

Pewnego razu zostałem zaproszony do jednej ze szkół lubuskich na spotkanie z widzami. W „Gazecie Lubuskiej" któryś z dziennikarzy mocno przesadził, bo napisał, że odbędzie się spotkanie ze „znanym aktorem teatralnym i filmowym".

Gdy jeszcze nie myślałem o zawodzie aktora, statystowałem w kręconym w Łodzi filmie *Krzyżacy* w reżyserii Aleksandra Forda. Scena, w której Zbyszko klęczy przed królem i tłumaczy się, dlaczego zaatakował niewinnego Krzyżaka, w dalszym planie stoi szereg pachołków ze świecami. Jadąc na spotkanie, poprosiłem operatora świebodzińskiego kina, by wyciął mi jedną klatkę z tej sceny. Zapytany o mój dorobek filmowy, wyświetliłem na ścianie slajd.

– To jest scena z filmu *Krzyżacy* – wskazałem na jednego z pachołków – ten to właśnie ja – po chwili poprawiłem – o, przepraszam to nie ten – przesunąłem wskaźnikiem po szeregu stojących ze świecami w identycznych strojach i perukach – raz, dwa, trzy, cztery, pięć... To ten. To jest mój dorobek filmowy.

Po planie filmowym chodziłem ze szkicownikiem, wykorzystując wolny czas na rysowanie. A czasu było dużo, bo na swoją scenę czekałem ubrany w strój kilka dni. Reżyser nie pozwalał nikomu przebywać na planie poza biorącymi udział w zdjęciach. Jeden z asystentów reżysera wypatrzył mnie i głośno wyprosił z planu. Przechodząc w ciszy obok reżysera, który siedział na stylowym zydelku, powiedziałem „przepraszam". Aleksander Ford, wskazując na trzymaną w ręku teczkę, zapytał:

– Mogę zobaczyć? – Przejrzał rysunki i powiedział: – Pan może zostać.

W czteroosobowym zespole aktorskim Sceny Lalkowej (Janina Janiak-Garbowska, Kira Franciszkowicz, Andrzej Rettinger, Roman Garbowski) graliśmy po kilka ról w spektaklu. W pierwszej sztuce rozpoczynającej działalność Sceny Lalkowej przy Teatrze Lubuskim, *Janek Wędrowniczek* według Marii Konopnickiej, grałem narratora przed parawanem oraz kilka postaci lalką. Właśnie zszedłem z proscenium za parawan by zagrać Młynarczyka. Za parawanem czekał na mnie zawsze techniczny z pacynką, by szybko nałożyć mi ją na rękę. Rozpoczynałem scenę piosenką. Tym razem techniczny spóźnił się. Obracając się wokół swojej osi, wypatrywałem technicznego, śpiewając pod muzykę puszczoną z taśmy magnetofonowej:

Kręci się wiatrak kręci
Miele nam mączkę miele.

Musiałem zabawnie wyglądać, kręcąc się dookoła. Koledzy pokładali się ze śmiechu. Młynarczyk wszedł na scenę w połowie piosenki.

Czasem graliśmy po trzy spektakle dziennie w bazie i terenie. Widownia pękała w szwach. Granie dla dzieci to niesamowite przeżycie dla aktora. To wspaniali widzowie. Reagują spontanicznie. Są widzami surowymi, ale sprawiedliwymi. Po spektaklu dzieciaki nie szczędziły nam braw, obdarowywały kwiatami, pomagały technicznym rozładowywać i załadowywać dekoracje. Gdy odjeżdżaliśmy, biegły za autobusem, machając wdzięcznie rączkami.

Nie ograniczaliśmy się do bycia z kolegami tylko na próbach i spektaklach. Mieszkanie w Domu Aktora stwarzało możliwości spotkań przy posiłkach, drobnych uroczystościach, wspólnym czytaniu z podziałem na role sztuk teatralnych, prowadzenia do późna rozmów na temat teatru. Sami przygotowywaliśmy drobne realizacje sceniczne na festiwale. Aktorzy przychodzili na próby, nie szczędzili uwag i wszelkiej pomocy. W różnych porach dnia i nocy pukali do nas aktorzy z dramatu, prosząc, by partnerować im przy uczeniu się tekstu do kolejnej premiery.

Ponieważ w naszym pokoju był piec z fajerkami, składaliśmy się i gotowaliśmy wspólne obiady. Pewnego razu Kira Franciszkowicz przyniosła w garnku obrane ziemniaki, by ugotować je dla siebie. Pod ziemniakami ukryła kotlet schabowy. Sprawa wydała się, gdy pokój wypełnił się zapachem gotującego się mięsa.

Byliśmy jedną zżytą rodziną. Na zmianę zajmowaliśmy się pilnowaniem dzieci. Również wakacje spędzaliśmy razem pod namiotami nad jeziorem.

W zespole aktorskim i pomocniczym zawarto kilkanaście małżeństw. Nasz ślub cywilny zawarliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego w Zielonej Górze. Natomiast kościelny odbył się w Olsztynie, tam gdzie mieszka rodzina mojej żony.

Dzieci pracowników teatru grały w sztukach, zatrudniały się w pracowniach pomocniczych przy teatrze. Kilkoro zostało aktorami. Nasze dzieci, Emil i Hanna, grały na scenie, a gdy dorosły: córka odbyła praktykę w pracowni fryzjersko-perukarskiej, zaś syn napisał muzykę do jednej ze sztuk i przygotował wokalnie zespół aktorski.

Ulubieniec publiczności, Zdzisio Grudzień znalazł żonę poza teatrem. Bardzo był szczęśliwy, gdy przyszła na świat córeczka. Po spektaklach szybko biegł do domu. W stolarni teatralnej wykonywał dla niej zabawki. Prowadził staranną kronikę rodzinną. Jest posiadaczem zbioru poświęconego Lubuskiemu Teatrowi.

Jeździliśmy z przedstawieniami w teren autobusami, w których szwankowało ogrzewanie, owinięci w obszerne służbowe szoferskie kożuchy. Graliśmy w salach niedogrzanych, bo szkoda nam było dzieciaków, które dowożono z sąsiednich wiosek na traktorowych nieosłoniętych przyczepach. Często po powrocie z terenu na zespół czekała, ugotowana przez Halinę Lubicz, gorąca zupa.

Całe moje życie zawodowe związałem z Teatrem Lubuskim. Z wyjątkiem trzech lat kierowania Świebodzińskim Domem Kultury oraz dwóch sezonów w Teatrze Gorzowskim, gdzie rolą króla Francji Zygmunta w sztuce Christophera Marlowe *Tamerlan Wielki* (prapremiera polska 8 marca 1985 r.) w reżyserii Wiesława Górskiego, obchodziłem swoje 25-lecie pracy na scenie. Wykorzystując dodatkowe umiejętności, z tej okazji w holu teatralnym przygotowałem wystawę moich grafik na temat Gorzowskich Spotkań Teatralnych.

Mój jubileusz 40-lecia pracy na scenie świętowałem *Opowiadaniami* Antoniego Czechowa we własnym tłumaczeniu, własnej adaptacji, scenografii i reżyserii, zrealizowanymi w założonym przeze mnie Studiu Teatralnym „Komedianci" pod patronatem Uniwersytetu Zielonogórskiego. Na spektakl złożyły się cztery jednoaktówki *Drogi pies*, *Złoczyńca*, *Narzeczony i ojczulek*, *Oświadczyny*, w których zagrałem: Emerytowanego Porucznika Dubowa, Chłopa Denisa, Ojca siedmiu córek na wydaniu Kondriaszkina i Obywatela ziemskiego Czubukowa.

Na scenie „Komediantów", z okazji Dni Zielonej Góry – Winobrania, w reżyserii Waldemara Mystkowskiego wystawiliśmy w roku 1998 farsę Karla von Holtei'a *Trzydzieści trzy minuty w Zielonej Górze*. Recenzentka Danuta Piekarska napisała: „Towarzystwo Komediantów zdążyło z premierą sztuki *33 minuty w Zielonej Górze* Karla von Holtei'a, wymarzonej wprost na Winobranie".

Warto wspomnieć z okazji obchodów 60-lecia Lubuskiego Teatru, że przed II wojną światową tą jednoaktówką zrealizowaną w Teatrze Miejskim w Głogowie otwierano zielonogórski teatr.

W zespole „Komediantów" zagrali: Magdalena Ostolska, Beata Sobicka-Kupczyk, Janina Janiak-Garbowska, Agata Miedzińska, Monika Brzózka, Beata Gomzar, Ewa Wojnowska, Cezary Kazimierski, Janusz Młyński, Sławomir Krzywiźniak, Robert Ostolski, Krzysztof Machalica, Roman Garbowski. Współpracowali: Maria Jolanta Fraszewska (teksty piosenek), Monika i Wojciech Żabiccy (muzyka), Paweł Kraszewski (oprac. muzyczne), Janina Janiak-Garbowska (układ ruchu w piosenkach), prof. dr hab. Andrzej Ksenicz (konsultacja przekładów Czechowa), Grzegorz Osyczka (oprac. akustyczne). Przemysław Pochanke (światło i dźwięk).

„Komedianci" przeprowadzili szereg akcji charytatywnych, między innymi; granie spektakli dla dzieci powodzian; zabawa w teatr na obozach harcerskich, koloniach, w przedszkolach; wspólnie z telewizją lokalną „51" i firmą teleinformatyczną ITSERWIS przez dziewięć lat prowadziliśmy akcję „Święty Mikołaj czeka".

W ramach współpracy z Filharmonią Zielonogórską i Lubuskim Biurem Koncertowym, opracowałem dramaturgicznie koncert edukacyjny dla dzieci i młodzieży według muzyki do baletu Ludomira Różyckiego *Pan Twardowski*. Zaprojektowałem kostiumy i grałem Diabła Kusego. Ten koncert-spektakl w ciągu dziesięciu lat zagraliśmy siedemset razy.

Drugą wystawę rysunków zorganizowałem „za karę" w Lubuskim Teatrze z okazji wystawienia sztuki Jerzego Żurka *Sto rąk, sto sztyletów* (premiera 28 sierpnia 1981 r.). Był zwyczaj w teatrze, że egzemplarze po zrealizowaniu sztuki należało zdać do sekretariatu. Porucznik ułanów, którego grałem, miał tylko jedną scenę. Wykorzystując wolny czas, szkicowałem w egzemplarzu na stronach niezapisanych tekstem. Sekretarka poskarżyła się byłej dyrektorce i reżyserce tej sztuki Krystynie Meissner. Pani Dyrektor kazała w pracowni plastycznej, jak określiła skarżąca, „zasmarowane" kartki oprawić i wyeksponować w teatralnej kawiarence.

Po zdobyciu eksternistycznie dyplomu aktora-lalkarza i aktora dramatycznego, otworzyłem przewód reżyserski. Do pierwszej realizacji dyplomowej przetłumaczyłem sztukę rosyjskiej autorki Zofii Prokofiew *Wilk w butach*. Zecer, który składał do druku materiał reklamowy, wniósł poprawkę i wydrukował *Kot w butach*. Nadgorliwy drukarz musiał wyrzucić wszystko do kosza i poświęcić całą noc na wydrukowanie od nowa plakatów i programów.

Wilka w butach (ze scenografią Zbyszka Burkackiego, muzyką Emila Janiaka-Garbowskiego, choreografią Janiny Janiak-Garbowskiej oraz w przekładzie i w mojej reżyserii) zagraliśmy gościnnie w warszawskim Teatrze Lalka. Natomiast Telewizja Poznańska nagrała nasz spektakl i pokazała dwukrotnie w pro-

gramie ogólnopolskim, w ramach Telewizyjnego Przeglądu Sztuk Lalkowych.

Prapremierę polską *Wilka w butach* (27 kwietnia 1975) poprzedziło zrealizowane na podstawie tej sztuki słuchowisko w Rozgłośni Zielonogórskiej (scenariusz Roman Garbowski, muzyka Emil Janiak-Garbowski, reżyseria Jerzy Glapa, opracowanie akustyczne Zygmunt Galek). W obsadzie aktorskiej znaleźli się aktorzy-lalkarze oraz aktorzy dramatyczni.

Projektowałem lub nadzorowałem scenografie do masowych imprez, takich jak: Ogólnopolska Olimpiada Młodzieży '99, Dni Zielonej Góry – Winobranie, Międzynarodowy Festiwal Zespołów Folklorystycznych.

W Lubuskim Teatrze wystawiono dwie sztuki z moją scenografią. Były to: Małgorzaty Wower *Dama z łasiczką* w reżyserii autorki (premiera 13 marca 1993 r.) oraz Janusza Wolskiego *Tajemnicza Szuflada* w reżyserii Wojtka Deneki (premiera 6 grudnia 1990 r.).

Przez cały czas, jako konsultanci i instruktorzy współpracowaliśmy z ruchem amatorskim. Przez szesnaście lat moja żona prowadziła w Klubie „Pod Hubą" przy Zielonogórskiej Spółdzielni Mieszkaniowej coś w rodzaju miniszkoły teatralno-baletowej dla dzieci i młodzieży pod nazwą Kabarecik Baj-Baj. Do realizowanych spektakli projektowałem dekoracje, lalki i kostiumy. Prawie za każdym razem wracaliśmy z ogólnopolskiego festiwalu jako pierwsi. Byliśmy również najlepsi na międzynarodowym festiwalu 28. LOUTKARSKE CHRUDIMI w 1979 r. Telewizja czeska pokazała fragmenty naszych spektakli oraz wywiad z reżyserem i scenografem.

Kilkoro uczestników Baj-Baju zostało aktorami lub tancerzami.

Uczniowie Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Zielonej Górze do pracy dyplomowej, pod naszym nadzorem, projektowali i wykonywali scenografie dla zespołów teatralnych. Studenci Wydziału Pedagogiki Kulturalno-Oświatowej zielonogórskiej uczelni w Baj-Baju zaliczali praktyki.

Oboje z żoną jesteśmy na emeryturze. By nie stracić kontaktu z zawodem, założyliśmy Studio Teatralne „Komedianci".

Grzegorz Lipiec, szef kina niezależnego „Sky Piastowskie" oraz Marzena Więcek, dyrektor Lubuskiej Szkoły Filmowej i Telewizyjnej powierzają mi zadania aktorskie w swoich filmach. Czasem udaje mi się wygrać casting do filmu lub serialu.

Niestety, nie otrzymuję propozycji z macierzystego Teatru. Tak jak i inni aktorzy. A to jak poniżej:

- Filmowego i teatralnego aktora Jerzego Śliwę nie zobaczyliśmy już na scenie, mimo że po przejściu na emeryturę postanowił zostać na Ziemi Lubuskiej i to w znaczeniu dosłownym.
- Zdzisław Grudzień przez jakiś czas „grał", nie gorzej niż na scenie, „rolę" radnego oraz rzecznika praw mieszkańców Zielonej Góry przy Urzędzie Miejskim.
- Jerzy Glapa z powodzeniem pełni funkcję świeckiego mistrza ceremonii pogrzebowej.
- Sławek Krzywiźniak ma swoje Studio Teatralne „Guliwer".
- Małżeństwo Beata i Robert Belingowie założyli Teatr Trójkąt.
- Zostali również w Zielonej Górze młodsi aktorzy, którzy część swego życia poświęcili temu miastu. Gdy Teatr stał się dla nich niegościnny, znaleźli sobie inne zajęcie.

Niestety, większość kierowników artystycznych Teatru nie zawsze pamiętała również o byłych pracownikach działów pomocniczych, bez których trudno wyobrazić istnienie teatru. Oni przecież razem z zespołem artystycznym tworzyli historię tego teatru.

Ewa Mielczarek

Pomysł na zbliżenie...
I Dni Polsko-Niemieckie w Zielonej Górze

Od szeregu lat inicjowane są w zachodnim pasie przygranicznym różnorodne inicjatywy mające przybliżyć Polakom kulturę niemiecką, a Niemcom kulturę polską. Złożoność stosunków polsko-niemieckich, zaszłości historyczne, bliskość terytorialna to tylko niektóre czynniki, które mają wpływ na wzajemną emanację kultur, tak w pozytywnym, jak i w negatywnym znaczeniu. Środowiska kulturotwórcze i naukowe Zielonej Góry nie ustają jednak w zabiegach, by relacje Lubuszan z Niemcami były ożywione, a nasza wiedza o zachodnim sąsiedzie, jego języku, gospodarce, kulturze i nauce jak najbogatsza.

Zapewne takim działaniom służyć ma pomysł zorganizowania I Dni Polsko-Niemieckich w Zielonej Górze, które odbywać się będą pod wiele obiecującym hasłem „Jak dobrze mieć sąsiada". Miałam przyjemność uczestniczenia w pierwszym spotkaniu organizacyjnym 26 lutego 2013 r., które odbyło się w siedzibie Rektoratu Uniwersytetu Zielonogórskiego i pragnę zdać Państwu z niego relację.

Spotkanie zmierzało w kierunku stworzenia kulturalno-oświatowego lobby w Zielonej Górze na rzecz działań w kulturze i oświacie na pograniczu polsko-niemieckim. Pomysłodawcą i organizatorem Dni Polsko-Niemieckich jest Centrum Kultury i Języka Niemieckiego Uniwersytetu Zielonogórskiego (CKiJN UZ). Do współpracy zaproszono uniwersyteckie agendy naukowe, Euroregion Sprewa–Nysa–Bóbr, instytucje kultury, środki masowego przekazu oraz szkoły. Na spotkanie inicjatywne przybyli:

- Katarzyna Bubacz, dyrektor Biura Prorektora ds. Nauki i Współpracy z Zagranicą;
- Czesław Fiedorowicz, prezes Euroregionu Sprewa–Nysa–Bóbr, przewodniczący Komisji Kultury i Sportu Sejmiku Lubuskiego;
- Dorota Hebisz, Biuro Prorektora UZ prof. dra hab. Janusza Gila;
- Ewa Tworowska-Chwalibóg, Kierownik Działu PR na UZ;
- Jolanta Kostecka, adiunkt Wydziału Humanistycznego UZ;
- Paweł Andrzejewski, Instytut Sztuk Wizualnych UZ;
- Danuta Chlebicz, CKiJN UZ;
- Barbara Krzeszewska-Zmyślony, CKiJN UZ;
- Ewa Sapeńko, rzecznik prasowy JM Rektora UZ prof. dra hab. Tadeusza Kuczyńskiego;
- Kaja Rostkowska, Radio Index, redakcja „UZetki";
- Sylwia Babijczuk, Departament Rozwoju i Współpracy Zagranicznej Urzędu Marszałkowskiego;
- Małgorzata Nabel, Radio Zachód;
- Małgorzata Lachowicz-Murawska, zastępca dyrektora Teatru Lubuskiego;
- Ewa Mielczarek, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, sekretarz redakcji czasopisma „Pro Libris";
- Kamila Dzieńdziura, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i m. C. Norwida;
- Arleta Czyż, dyrektor Europejskiego Zespołu Szkół Dr. Rahn.

Przybyłych powitała w Sali Senatu Katarzyna Bubacz w imieniu prof. Janusza Gila. Całość obrad prowadziła szefowa CKiJN UZ Barbara Krzeszewska-Zmyślony, która pokrótce zaprezentowała 15-letnią

historię podległej placówki, scharakteryzowała specyfikę jej działania oraz przedstawiła jej inicjatywy na rzecz porozumienia polsko-niemieckiego. Pani Krzeszewska-Zmyślony zaproponowała, aby organizowane do ubiegłego roku Dni Niemieckie przekształcić w Dni Polsko-Niemieckie pod hasłem „Jak dobrze mieć sąsiada", mobilizując tym samym stronę niemiecką do współdziałania. Prelegentka zaapelowała, by w Zielonej Górze stworzyć silne lobby działające na pograniczu polsko-niemieckim w sferze kultury i oświaty, ze szczególnym uwzględnieniem potrzeby nauki języka sąsiada. Tu powołała się na dobre przykłady Zespołu Szkół Ekologicznych w Zielonej Górze, gdzie organizowane są konferencje obustronne na ten temat, a także zielonogórskie Przedszkole nr 3, które ma dobre kontakty z przedszkolami niemieckimi. Wspomniała też o 20 rocznicy powołania Euroregionu Sprewa–Nysa–Bóbr, który odgrywa istotną rolę w kreowaniu kontaktów polsko-niemieckich. Zwróciła uwagę na istniejący Dekalog Polsko-Niemiecki, wywołując tym samym do głosu jego autora – Czesława Fiedorowicza.

Prezes Euroregionu zauważył, że wzdłuż zachodniej granicy, nawet w większych miastach jak Wrocław czy Szczecin, nie inicjowano podobnych zdarzeń, a Uniwersytet Zielonogórski jest tu chlubnym wyjątkiem. Zdecydowanie poparł pomysł Dni Polsko-Niemieckich. Czesław Fiedorowicz wskazał, iż we wrześniu 2013 r. w nadgranicznym Forst z okazji 100. rocznicy rozarium w tym mieście planowana jest prezentacja kulturalnej oferty województwa lubuskiego. Wyraził ponadto nadzieję, że Uniwersytet Zielonogórski będzie wspierany w swych działaniach przez Regionalne Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze.

W dalszej kolejności zabrała głos Małgorzata Lachowicz-Murawska, składając deklarację, iż Teatr Lubuski, współpracujący z teatrami niemieckimi w Zittau i Cottbus, chętnie włączy się w działania podczas tegorocznych Dni Polsko-Niemieckich. Zaproponowała wystawienie sztuki *Trash story* wraz ze spotkaniem dla młodych ludzi na temat tej sztuki. Dyrektor Lachowicz-Murawska podkreśliła, że udział Teatru Lubuskiego byłby w tym przedsięwzięciu niemal bezkosztowy.

Dr Jolanta Kostecka, reprezentująca Wydział Humanistyczny UZ, wyraziła duże zainteresowanie – także w imieniu studentów – występami grup artystycznych, np. podczas prezentacji w Forst. Studenci są żywotnie zainteresowani tego rodzaju działaniami ze względów zawodowych.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony zwróciła uwagę, że należałoby do współpracy zachęcić studentów niemieckich z Lausitzer Hochschule lub BTU Cottbus. Wspomniała o swych doświadczeniach z BTU Cottbus, gdyż w 2007 roku inicjowała projekt Wegstrecke dla instytutów artystycznych z BTU Cottbus i UZ. Ponadto zwróciła uwagę, że rok 2013 został ogłoszony w Unii Europejskiej Europejskim Rokiem Obywatelskim. Zaproponowała debatę dla niemieckich i polskich studentów na temat „Jak rozumiesz to, że jesteś obywatelem swojego kraju, Europy?". Zaproponowała też, aby muzycy uwzględnili w programach podczas wspólnych koncertów fakt, że w UE obchodzimy Rok Richarda Wagnera i Rok Witolda Lutosławskiego.

Kolejna inicjatywa padła w imieniu niżej podpisanej – deklaracja, iż w najbliższym numerze pisma „Pro Libris" pojawi się relacja z opisywanego spotkania, która zaprezentuje ideę Dni Polsko-Niemieckich. Skrzętnie odnotowuję zatem przebieg spotkania.

Następnie Kamila Dzieńdziura pracująca w Dziale Obcojęzycznym WiMBP wymieniła organizowane w Norwidzie imprezy przybliżające polskiemu czytelnikowi literaturę niemiecką. Scharakteryzowała wieczór z poezją przedwojennego zielonogórskiego poety Otto Juliusa Bierbauma oraz planowane w marcu br. dyktando z języka niemieckiego dla dwóch grup wiekowych, nad którym patronat objął konsul niemiecki.

Dyrektor Arleta Czyż przypomniała, że jej szkoła uczestniczy w Dniach Niemieckich od paru lat i zamierza ten fakt kontynuować w zmienionej formule. Zastrzegła, że liczy na pomoc Teatru Lubuskiego w zakresie kostiumów i dekoracji.

Ewa Tworowska-Chwalibóg, Kierownik Działu PR na UZ, podzieliła się swoim bogatym doświadczeniem na temat współpracy polsko-niemieckiej na pograniczu i przywołała przykłady licznych imprez, m.in. plenery malarskie, których była organizator-

ką. Wspomniała o kłopotach z nagłośnieniem tych wydarzeń w lokalnych mediach.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony podjęła temat mass mediów, wyrażając ubolewanie, że media wydają się być mało zainteresowane tym, co się dzieje w sprawach polsko-niemieckich.

Redaktor Małgorzata Nabel poinformowała, iż chętnie bierze udział w przedsięwzięciach polsko-niemieckich. Radio Zachód nie ma specjalnych środków na realizowanie cyklicznych audycji na ten temat, a jest przekonana, że tego typu działania byłyby istotne w zmienianiu stereotypów w kontaktach polsko-niemieckich.

Paweł Andrzejewski z Instytutu Sztuk Wizualnych UZ zgłosił chęć przeprowadzenia konkursu na plakat I Dni Polsko-Niemieckich. Przedstawił ponadto uwagi na temat trudności w wizualizacji polsko-niemieckiej symboliki w sztuce.

Kolejny pomysł Barbary Krzeszewskiej-Zmyślony w sprawie zorganizowania seminarium lub warsztatów dla studentów z obu krajów i zaprojektowanie przez nich np. murali, które namalowane zostałyby przez nich w Zielonej Górze i Cottbus. Dodatkowo zaproponowała, aby RCAK przemyślał sprawę strony internetowej na temat działań kulturalnych w regionie.

Czesław Fiedorowicz przekazał informację, iż sejmik prowadzi pewne zadanie na rzecz współpracy polsko-niemieckiej, lecz żadnej instytucji nie może nic narzucić. W najbliższym czasie planowane są kolejne spotkania z Brandenburgią i Saksonią. Wyraził też słowa uznania dla redaktor Nabel za jej wkład w przygotowanie wystawy o honorowym obywatelu naszego miasta. Wspomniał o spotkaniu u naczelnego „Gazety Wyborczej" redaktora Artura Łukaszewicza, który obiecał patronat nad I Dniami Polsko-Niemieckimi. Wyraził też nadzieję, że JM Rektor UZ zaprosi nowego ambasadora RP w Berlinie, Jerzego Margańskiego, z okazji I Dni Polsko-Niemieckich z wykładem do Zielonej Góry. Wspomniał, że w Euroregionie S–N–B są środki na tego rodzaju działania.

Sylwia Babijczuk z Departamentu Rozwoju i Współpracy Zagranicznej Urzędu Marszałkowskiego wspomniała, że przed sześciu laty realizowała projekty polsko-niemieckie, będąc nauczycielką w szkole podstawowej. Uważa, że kontakty na „wyższym" poziomie województwa lubuskiego, Brandenburgii i Saksonii układają się bardzo dobrze. Wspomniała o projekcie „Widzę kolorowo" dla fotografików z Polski i Niemiec zorganizowanym w Parku Mużakowskim i pokazanym w WiMBP.

Redaktor Kaja Rostkowska obiecała pomoc w nagłośnieniu Dni Polsko-Niemieckich na łamach „UZetki" i w Radiu Index.

Po blisko dwugodzinnych rozmowach Barbara Krzeszewska-Zmyślony podziękowała za udział w spotkaniu i wyraziła gotowość do współpracy, podkreślając, że szansa praktycznych polsko-niemieckich kontaktów, dzięki środkom unijnym, jaka została nam dana, nie powtórzy się. Należy zatem ją wykorzystać.

Ewa Mielczarek

Wawrzyny Lubuskie 2012 trafiły do laureatów

Od niemal dziesięciu lat uczestniczę w uroczystościach wręczenia Wawrzynów Lubuskich, jednak tak licznie zgromadzonej publiczności, jaką zebrała tegoroczna gala, nie widziałam do tej pory. Sala Dębowa Biblioteki Norwida w Zielonej Górze dosłownie pękała w szwach, przerastając najśmielsze oczekiwania frekwencyjne organizatorów. Na ceremonię przybyli autorzy nominowanych książek, laureaci z poprzednich lat, przedstawiciele władz lokalnych, a także olbrzymia ilość czytelników – miłośników literatury oczekujących na wyłonienie laureatów Lubuskiego Wawrzynu Literackiego oraz Lubuskiego Wawrzynu Naukowego.

Rzecz odbywała się w czwartkowy wieczór, 28 lutego br., rzetelnie przygotowana przez jej głównych organizatorów: Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. C. Norwida w Zielonej Górze oraz Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Z. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim.

Nim przedstawiono laureatów, zaprezentowany został program literacko-kabaretowy *Tuwim wstawiony*, inaugurując w Zielonogórskim Salonie Poezji Rok Tuwima. Popularny aktor, Zdzisław Wardejn, wystąpił w roli poety, przy współudziale lubuskich aktorów. Swobodny charakter przedstawienia wprowadził sprzyjającą atmosferę przed mającymi nastąpić emocjami.

Po wątku artystycznym przystąpiono do oficjalnej części gali. Dyrektorzy Andrzej Buck (WiMBP im. C. Norwida) i Edward Jaworski (WiMBP im. Z. Her-

Uroczysta gala Lubuskich Wawrzynów 2012

Program artystyczny *Tuwim wstawiony*

berta) powitali zgromadzonych gości. Następnie zaprezentowano fragmenty nominowanych książek literackich oraz biogramy ich twórców, (Krzysztof Fedorowicz, Dorota Grzesiak, Jerzy Hajduga, Agnieszka Moroz oraz Czesław Sobkowiak). Nadszedł emocjonujący moment wystąpienia przewodniczącego jury Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2012, Sergiusza Sterny-Wachowiaka, który odczytał protokół z posiedzenia jury i ogłosił zwycięzcę 19. edycji Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2012 – **Krzysztofa Fedorowicza**, autora książki ***Grünberg*** opublikowanej w wydawnictwie Libron. Honorowy dyplom za całokształt twórczości przyznano pośmiertnie Kazimierzowi Furmanowi. Natomiast Artur Wodarski za książkę *Chrząszczenie* otrzymał dyplom za debiut literacki. Dyplom za walory edytorskie wręczono Zygmuntowi Markowi Piechockiemu, autorowi i wydawcy książki *W pobliżu rozumienia: tryptyk okazjonalny*. Ponadto Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze przyznał Jolancie Pytel-Marciniszyn Lubuską Nagrodę Literacką ZLP za rok 2012.

W dalszej części uroczystości przystąpiono do rozstrzygnięcia 8. edycji Lubuskiego Wawrzynu Naukowego 2012. Wzorem poprzednich lat zaprezentowano sylwetki autorów oraz zacytowano fragmenty nominowanych książek. W finale znaleźli się: dr Przemysław Bartkowiak, dr Dorota Bazuń, dr Izabela Kaźmierczak-Kałużna, dr Magdalena Pokrzyńska, dr Dariusz Rymar. Nadszedł kolejny kulminacyjny moment uroczystości – przewodniczący jury Lubuskiego Wawrzynu Naukowego 2012 prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski odczytał werdykt: Laureatem 8. edycji Lubuskiego Wawrzynu Naukowego 2012 został **dr Przemysław Bartkowiak** za książkę pt. ***Dzieje harcerstwa na Ziemi Lubuskiej w latach 1945–1989***, wydaną w zielonogórskim wydawnictwie Pro Libris. Ponadto wręczone zostały dyplomy za najlepszą książkę popularnonaukową, które otrzymali: Zbigniew Czarnuch za publikację pt. *Nad Wartą i wśród lasów. O dawnych i współczesnych mieszkańcach witnickich wsi* oraz Irena i Roman Gatys za *Żarską porcelanę 1888-1945*.

Dodatkowo przyznano dwie nagrody specjalne: Zarząd Lubuskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej uhonorował Grzegorza Chwaliboga specjalną nagrodę za książkę *Tato! – zrób sobie „Z lotu ptaka"*, natomiast Prezydent Elekt Rotary Club Zielona Góra, Krzysztof Romankiewicz nagrodził Czesława Sobkowiaka za książkę poetycką pt. *Powieść ze snu*.

Nagrody rozdano, emocje opadły... Czas dla kronikarskiego porządku podać garść ważnych organizacyjnie informacji.

Partnerem w organizacji LWL 2012 jest Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze. Partnerami w organizacji LWN 2012 są lubuskie uczelnie: Uniwersytet Zielonogórski, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Gorzowie Wielkopolskim, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa

Krzysztof Fedorowicz

Jolancie Pytel-Marciniszyn nagrodę wręcza Robert Rudiak

w Sulechowie oraz Zamiejscowy Wydział Kultury Fizycznej poznańskiej AWF w Gorzowie Wielkopolskim. Tegorocznymi partnerami w przygotowaniu uroczystości była Elektrociepłownia Zielona Góra SA, Max Elektronik SA oraz Winnica Miłosz.

Patronat honorowy nad imprezą objął Wojewoda Lubuski, Marszałek Województwa Lubuskiego, Prezydent Miasta Gorzów Wielkopolski oraz Prezydent Miasta Zielona Góra.

Patronat medialny sprawowała „Gazeta Lubuska", Radio „Zachód" i TVP Gorzów Wielkopolski.

Obaj laureaci otrzymali dyplomy i artystyczne srebrne pióra (projekt i wykonanie Aneta Pabjańska-Moskwa), ufundowane przez dyrektora WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim, Edwarda Jaworskiego oraz Rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego, prof. dra hab. inż. Tadeusza Kuczyńskiego. Ponadto ufundowane nagrody pieniężne sfinansowali: Prezydent Miasta Gorzowa Wielkopolskiego Tadeusz Jędrzejczak, Marszałek Województwa Lubuskiego Elżbieta Polak oraz uczelnie lubuskie, które partnerowały w organizacji Lubuskich Wawrzynów.

Wawrzynowe edycje za 2012 rok zamknięte, czas myśleć o roku bieżącym. Znów wszyscy autorzy tegorocznych publikacji mają równe szanse i jeszcze sporo czasu, by sięgnąć po najwyższe laury.

Dr Przemysław Bartkowiak

Czesław Sobkowiak, Dorota Grzesiak, Agnieszka Moroz

Zbigniewowi Czarnuchowi dyplom wręcza prof. Marian Miłek

Czesławowi Sobkowiakowi nagrodę wręcza Krzysztof Romankiewicz

Robert Rudiak

O konkursie poezji miłosnej w Kożuchowie

W środę, 6 marca 2013 r. po raz czwarty kożuchowski zamek gościł laureatów Konkursu na Najpiękniejszy Wiersz Miłosny, zorganizowany tym razem pod hasłem „Wakacyjna miłość". Cieszy bardzo, że Kożuchowski Ośrodek Kultury i Sportu powrócił do organizacji konkursu po rocznej przerwie i postanowił rozstrzygać konkurs znów w okresie przedwiośnia.

Konkurs kożuchowski nawiązuje tym samym do idei cykliczności organizacji konkursów poetyckich, których na Ziemi Lubuskiej jest już niewiele. Obok konkursu w Kożuchowie organizowane są jeszcze konkursy literackie w Nowej Soli, Żarach i Kargowej oraz konkurs poezji dla gimnazjalistów organizowany przez Zielonogórski Ośrodek Kultury. W Nowej Soli od 1997 r. tamtejszy Dom Kultury organizuje Konkurs Literacki „O Szczyptę Soli" i od 2002 r. Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Strzałę Erosa" (wcześniej organizował też od 1999 r. konkurs „Moje wakacje"). W Kargowej od 2000 r. odbywa się Konkurs Literacki im. Eugeniusza Paukszty, natomiast w Żarach w 2007 r. powrócono do organizacji Konkursu Literackiego „O Laur Dziewina". Ponadto odbywa się konkurs na wydanie debiutanckiego tomu poezji, który organizowany jest od 2010 r. przez Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut" i Wojewódzką Miejską Bibliotekę Publiczną im. C. Norwida w Zielonej Górze. Na przestrzeni ostatnich 20 lat zniknęły, zwłaszcza pod koniec XX wieku licznie organizowane konkursy na Ziemi Lubuskiej, głównie w Nowej Soli, Gorzowie Wlkp., Drezdenku, Sulęcinie, Krzeszycach, Choszcznie czy Strzelcach Krajeńskich.

Stąd tym bardziej cieszy sytuacja, że na konkurs w Kożuchowie napływają prace poetyckie nie tylko od Lubuszan, ale także z innych regionów kraju. W tym roku zwłaszcza z Górnego i Dolnego Śląska, Mazowsza, Małopolski i województwa warmińsko-mazurskiego. Oprócz poszerzenia się obszaru, skąd napłynęły teksty, zwiększyło się także spektrum wieku uczestników. W konkursie oprócz uczniów, nawet szkół podstawowych i gimnazjalnych, często biorą udział licealiści, studenci oraz osoby wchodzące w smugę cienia. Jak widać zatem, miłość może dopaść w każdym miejscu i w każdym wieku...

W tegorocznej edycji I miejsce przypadło Julicie Paprotnej z Praszki za wiersze: *Bądź*, *** (wczorajszej nocy...) i *** (pozwól odlecieć mi...), II miejsce Aleksandrze Dębskiej z Warszawy za wiersz *Wątpliwości*, a III miejsce zajęły wiersze Agnieszki Lewandowskiej z Głogowa – *Skrzydła* i *Dar*. Ponadto wyróżnienia otrzymali: Mariola Kruszewska z Mińska Mazowieckiego za utwory *Wypalanie ścierniska* i *Może Eurydyka może Penelopa*, Andrzej Sikorski z Nowej Soli za wiersz *Letnia miłość*, Tadeusz Charmuszko z Suwałk za tekst *Randka,* Janusz Kowalkowski z Wierzchowa za *Romans z nocą*, Sara Adamczak z Otynia za *Radość z lata*, Maciej Henryk Modzelewski z Białobrzegu za liryki *Piękna nieznajoma* i *Nasza miłość*, Kacper Płusa z Pabianic za *Ekfrazę wg obrazu infantka Tomasza Sętowskiego*, Piotr Zemanek z Bielsko-Białej za *Pornografię*

i *Goreme*, Bogdan Nowicki ze Świętochłowic za *Erotyk z akacją w tle* i *Erotyka z dębami w tle*, Andrzej Jagiełłowicz z Warszawy za wiersz *Zakochani nocą* i Gabriela Bartnicka z Sosnowca za utwór *Tylko młodość uśmiecha się bez powodu*.

Warto na chwilę zatrzymać się nad wierszami głównej laureatki konkursu Julity Paprotnej, której utwory nie tylko są dojrzałe i ciekawe warsztatowo, ale również mają wymiar dość prowokacyjny. Miłość stanowi symbol kartki, czasami zapisanej i „pogniecionej" jak nieudany wiersz, innym razem czystej i „wymiętej" niczym strapione serce. Ale miłość u Paprotnej ma nie tylko wymiar abstrakcyjny. Porównana bywa często do realnej czerwieni wschodu słońca, zagnieceń pościeli czy dotyku nagiego ciała. W drugim wierszu poetka także pisze o umierającej miłości między kochankami, która jawi im się wówczas jako bezbarwna, stygnąca i zawieszona. Wyświechtane, przebrzmiałe, powtarzane do znudzenia słówka „kocham cię" służą kochankom jedynie za parawan, za którym mogą chować się, by usprawiedliwiać jałową i odruchową miłość cielesną, pozbawioną już resztek uczuć. Miłość według Paprotnej kończy się, gdy popada w rutynę, traci zaufanie, staje się wyrachowaną grą miłosną. Ale zarazem nadziei na nowe uczucie upatruje poetka w nadchodzącym nowym dniu, który zbudzi się nad Soliną. Motyw rzeki służy oczyszczeniu i uwolnieniu się od przeszłości w myśl zasady *pantha rei*. W wierszach zwyciężczyni IV edycji konkursu spotykamy zatem z jednej strony nadzieję, czy nawet obietnicę nowej miłości, która musi przyjść po tej, która się kończy, ale też jak w utworze *Bądź* widzimy cały opis ceremoniału miłości, która trwa w najlepsze, która żyje wiarą w nowy dzień, a usypia przykryta pocałunkami i ciepłym dotykiem.

Wsłuchując się w recytację laureatów konkursu, tych bardzo młodych i nieco starszych, ale zawsze osób bardzo wrażliwych i ciepłych, doszedłem do konkluzji, że należy głośno przyklasnąć i uczestnikom konkursu, i jego organizatorom, że w tak trudnych czasach, absolutnie niesłużących kulturze wysokiej, komuś w ogóle jeszcze chce się i tworzyć, i popularyzować poezję. Nagrodzone utwory tradycyjnie ukazały się drukiem w tomiku pokonkursowym, a opiekę medialną nad konkursem pełniła redakcja „Aktualności Kożuchowskich", natomiast merytoryczną Związek Literatów Polskich w Zielonej Górze.

RECENZJE I OMÓWIENIA

Książka o Waśkiewiczu

Eugeniusz Kurzawa, *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone*, Adam Marszałek, Toruń 2012, 219 s.

Na koniec życia Andrzeja K. Waśkiewicza powstała książka autorstwa – tak rzecz określa strona okładki i karta tytułowa – Eugeniusza Kurzawy pt. *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone*. Jednak czytelnik szybko zorientuje się, że mamy tak naprawdę do czynienia z dwoma autorami. Że o zdjęciach, których sporo (to dobrze), nie wspomnę. Bo są tu teksty rozmów prowadzonych przez Kurzawę i zarazem narracje o charakterze reportażowym, które towarzyszą wszystkim odwiedzanym miejscom i miejscowościom. W ten sposób, trzeba przyznać, ciekawie zostaje przedstawiona lubuska część biografii Waśkiewicza – od dzieciństwa aż do wyjazdu z Zielonej Góry do Gdańska. Ale są też do książki włączone bardzo autonomiczne teksty samego bohatera tej podróży sentymentalnej, w większości wcześniej publikowane w „Pro Libris", co można było przypomnieć. Jest ich zresztą znacząco wiele. Zadanie Kurzawy polegało na umieszczeniu ich w odpowiednim porządku w poszczególnych rozdziałach. Nie zamierzam umniejszać wkładu jego pracy, bo jest widoczny, ani umniejszać tym bardziej znaczenia tej książki. Gwoli ścisłości tylko sygnalizuję problem. Książkę zrodziła przyjaźń. Ukazała się już po śmierci autora *Dziedzictwa*. Stanowi opis miejsc już „opuszczonych". To opuszczenie w tym momencie nabiera charakteru szczególnego, bo ostatecznego. Znaczące są tu wszystkie teksty, warte lektury, bo pokazują rzeczy bezpowrotnie minione, gdy rodziło się życie na Ziemiach Odzyskanych, gdy kształtował się Waśkiewicz. Ten aspekt się od czasu do czasu pojawia. W miarę już dorosłego Waśkiewicza – pisarza, poetę, dziennikarza poznajemy w interesujących ujęciach okresu zielonogórskiego. Rzeczy znane i nieznane. Historyczne już. Generalnie książka pokazuje biograficzną drogę, obfitującą w bogactwo przenajróżniejszych następstw życiowego losu i sytuacji. To jak zostały owe „miejsca" zapamiętane. Przeczytałem ją z tych względów niemal przysłowiowym jednym tchem. Gdy książka powstawała, zbierany był u źródeł materiał, przeszłość była oglądana i opowiadana, a potem już tylko szły przygotowywania jej do druku, Andrzej jeszcze żył. Wiedział w miarę dokładnie, co będzie zawierać. Kiedy wyszła, Andrzej już od kilku miesięcy nie żył (zmarł 11 lipca 2012). Gdyby ukazała się za jego życia, myślę, przyjmowałbym ją nieco inaczej. Chyba zwyczajniej. Jako jeszcze jedną potrzebną publikację. Teraz już naznaczona jest wyłącznie ostatecznością. Dramatem odejścia. Powstawała poniekąd – tak przypuszczam – pod presją odczuwanego późnego wieku Andrzeja oraz jego choroby. I w momencie realizacji pisarskiego pomysłu chyba oczywiste było, że odwiedzanie przez Waśkiewicza miejsc dawnego zamieszkiwania, przypominanie ich barwy i swoistości, także pejzażu, oglądanie fasad budynków w Lubsku lub w Kożuchowie, Szprotawie, jak i towarzyszące temu dokumentowanie fonogra-

ficzne i fotograficzne przez Mirosławę Szott (i żonę poety, Annę Sobecką) musiało poniekąd mieć charakter pożegnalny. Niewątpliwie, bo przecież to nie była w jakikolwiek sposób podróż krajoznawcza. Jest teraz jej zapis dokumentem życia człowieka, przyjaciela, twórcy, poety, pisarza, ale i obrazem zmienności epoki. Prozą mówioną „w drodze" dla przedsięwziętego reportażu i prozą wcześniej przez niego pisaną. Właśnie dlatego ciekawą, że uczynioną w każdym przypadku po latach. W bezpośrednim jednak kontakcie rzeczy i pamięci o nich. Jest zapisem podmiotowego widzenia przeszłości, prowincji, której obrazy czasami się już zacierają. Trudno je więc ustalić. Bo i realność tych „miejsc" niejednokrotnie się zmieniła. Inne były i inne są wyglądy tych małych miasteczek, rzeczy, ulic, architektury i natury. Jest też ta książka o ludziach, których wiele nazwisk zostało przywołanych. Niektórzy ciągle mieszkają, jak mieszkali. Jest obrazem pozostałości wojny i powojennych przemian. Nie jest na pewno o karierze lub sukcesie twórczym ani samej poezji Waśkiewicza. Z pewnością kto inny to zrobi i powinien zrobić. Takiego celu nie mógł podjąć ani wykonać Eugeniusz Kurzawa. Moim zdaniem wyrasta z pragnienia zapisania, chęci ocalenia faktów i podmiotowego doświadczenia, o którym literalnie można powiedzieć, że było ciągiem wykonywanych prac, zdobywaniem umiejętności, nauki np. w Technikum Rolniczym, a przede wszystkim zmaganiem się, i zmaganiem się innych, którzy byli obok, ze wszystkimi przeciwieństwami. Nie pretenduje więc ta książka do jakiegokolwiek rodzaju charyzmatycznej hagiografii poety. Nie o to chodziło jej twórcom. Byłoby to wbrew intencji Waśkiewicza. Pamiętajmy, że szczególnego rodzaju dramaty, niedające się unieść, w jego życiu raczej nie miały miejsca. Można rzec, że ta książka jest zapisem i opowieścią, tyleż o zwyczajności, co niezwyczajności samego życia, z położeniem wyraźnego akcentu na zwyczajność. A chyba także akcentu na tymczasowość drogi, co wybrzmiewa często spomiędzy wielu zdań. Wybrzmiewa niewątpliwie mocno teraz po śmierci. Jeśli pamiętać, że w Zielonej Górze zwłaszcza, nie wiem jak to wygląda w Gdańsku, pozostała po wyjeździe Waśkiewicza legenda – z pietyzmem był w tekstach literackich przywoływany i długo żarliwie wspominany – to ta książka teraz nadaje tej legendzie nowy, dopełniony wieloma szczegółami kształt. Bardzo konkretny i uczłowieczony. Tak naprawdę w tym celu powstała. I teraz nawet przypomnienie takich detali jak funkcjonowanie windy w wieżowcu na Dzierżyńskiego czy motocykl w Lubsku, paletko dziecięce, betonowe kręgi koło kolejowego nasypu i inne banalności też w tę legendę się włączają. Jakby – użyję może poetyckiego określenia – swoją obecnością chciały zapewnić, że wszystko to było prawdziwe. Nic zmyślone. Ważna, wartościowa książka, bo wpisuje Waśkiewicza w lubuską ziemię.

Czesław Sobkowiak

Poezja z Poddasza Poetów

Elżbieta Dybalska, *Ślady miłości*, Organon, Zielona Góra 2008, 24 s.; Emilia Grzelak, *W dorosłość,* Organon, Zielona Góra 2012, 32 s.

Znowu przypadkowo wpadły mi do ręki dwa zbiorki wierszy. Jeden wydany w ubiegłym roku Emilii Grzelak pt. *W dorosłość*, a drugi Elżbiety Dybalskiej *Ślady miłości* (2008). Obydwa ukazały się w serii „Poddasze Poetów", opatrzone numerami: „Tomik nr 17" i „Tomik nr 31". Wydawcą jest Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, któremu patronuje od lat Jolanta Pytel. Stowarzyszenie przyjęło dobrą zasadę, polegającą nie tylko na sukcesywnych spotkaniach – powiedzmy – warsztatowych, ale i wydawania swo-

im członkom, członkiniom zbiorków ukazujących ich twórcze możliwości. Objętościowo są raczej skromne, ale edytorsko prezentują się całkiem przyzwoicie. I chyba dobrze, że ten pierwszy krok taki właśnie jest, jako artystyczna próba i prezentacja własnego świata. Muszę przyznać, że wiersze w obydwu tych książeczkach czytało mi się dobrze. Są pomiędzy nimi duże różnice pokoleniowego doświadczenia, co siłą rzeczy odciska się na materii poetyckiej i sferze emocji oraz myśli, ale zadowalające może się wydać niebanalne potraktowanie słowa. Elżbieta Dybalska pokazuje, że jej świat jest już ukształtowany, stabilny. Jako człowiek znalazła i ciągle znajduje swoje miejsce w życiu, świadomie, dojrzale i racjonalnie reaguje na spotykające ją sytuacje uczuciowe, egzystencjalne, moralne, własne bądź dotyczące innych ludzi, jak np. w *Moje życie*. Życie jest tu „galopem", zaparciem się w pracy, w obowiązku, w ciszy wysiłku, czasami jest nieznośnym „kieratem", ale jednak do udźwignięcia. Nie jest sferą ciężaru tu odrzuconą. Jest sferą niesioną (*Kroplówka*), ba, z całą powagą i odwagą osobowo poetka wyznacza sobie odpowiedzialną rolę wobec innych ludzi, dla których chce „być kroplówką/ Dającą życie". Chce być wytrwała „do końca", by dzięki jej „byciu", ładnie przeciwstawionemu „bywaniu", ktoś mógł w opresji życiowej wytrwać. Czyli akcent został tu postawiony na wrażliwe dostrzeganie drugiego człowieka, na trafne jego portretowanie (*Halinka*). Obchodzi ją to, co codzienne, ludzkie, co tworzy relacje wspólnotowe, co daje porozumienie lub je uniemożliwia (*Ona*). Ciekawym pod tym względem jest utwór *Klepsydra*. Przedmiot to żałobny, a przecież w jego tle jest cała treść człowieczego trwania – litość, modlitwa, cierpliwość, żal. Jakieś głębokie sedno. Oczywiście są tu i bardziej osobiste wrażenia i myśli: *Weronika*, *Tęsknota*. Poza pochwałą filozofii chciałbym dać też swój plus językowi poetyckiemu, który cechuje dyscyplina, oszczędność, rygor. To są dobre cechy, współbrzmią bowiem z uwagą nakierowaną na „tu i teraz". Unika w ten sposób Dybalska nadmiaru słów i poetyzacyjnych uzurpacji. Zbiorek składa się z tekstów powstałych w różnych latach. Czy poznamy kolejne wiersze, w nowym zbiorku? Byłbym ich ciekawy. Natomiast wiersze Emilii Grzelak cechuje tonacja bardziej egotycznie nastawionego podmiotu i zarazem funkcjonującego bardziej dramatycznie, co wynika z jego młodzieńczości. Poszczególne obserwacje, doznania i doświadczenia nie bardzo do siebie przystają, nie bardzo tworzą harmonijną całość, żeby nie powiedzieć: układają się w strukturę rozpadającą się. Bywają gwałtownie zmienne, dotykając skrajności. Tu już od pierwszego wiersza się czuje, iż są podszyte ledwo skrywanym niepokojem. Życie jest rozpoznawane poprzez nagłe problemy, a te rodzą dalsze konsekwencje: „Bo będzie kara/ bolesna/ długa i sroga...". Kara, czyli wyrok, cierpienie. Podmiot raczej doznaje tymczasowości niż zakorzenienia. Nie ma tu miejsca na wyważanie proporcji. Rzeczywistość ujawnia swoją ciemną, tajemniczą stronę. Ta zaś nie daje się opanować żadnymi racjonalnymi zabiegami, gdyż rządzą nią odrębne prawa. To może rodzić nastrój straceńczy albo rozpaczliwe błaganie. W każdym razie mamy tu do czynienia ze zderzaniem się przeciwieństw: „Twarz/ Szarzeje/ Radość moja/ – tak jakby się/ starzeje" (s. 9) lub „I proszę Pana nim sen łzami namoknie/ By ocalił moje istnienie od zatracenia". Są w tych wierszach elementy grozy, trwoga przeczuć, niepewność, pesymizm. Uważne czytanie sprawia, że ich przejmująca tonacja daje o sobie znać. Jednak jest w tej poezji pewna siła zapisu osobistej sytuacji, nawet zaskakująca zdolność oddania jej swoistości, i dynamizm narracyjny (s. 12), wartkość przedstawienia. Podmiot śmiało wkracza na obszary, gdzie śmierć i miłość splatają się z bluszczem natury bądź oddają się rozkosznie słodkiemu straceńczemu tańcowi. Niepokojące są te namiętności w ja poetyckim Grzelak. Nasycone autoironią, która ma stanowić oręż w starciu z zagrożeniami. Powiedzieć też trzeba, że potrafi się poetka popisywać swobodą, lekkością formy. Nie bardzo natomiast rozumiem i akceptuję włączenie do tej publikacji *Wierszy dla Emilki*. Brzmią tu niezbyt stosownie. Czy zabrakło poetce wierszy na całość zbiorku? Z żalem przyjmuję wiadomość, że Emilię Grzelak dotknęła ciężka choroba.

Czesław Sobkowiak

Obywatele świata z odzysku

***Antologia dramatu lubuskiego*, red. Andrzej Buck, Pro Libris, Zielona Góra 2011, 242 s.**

Dramat jest gatunkiem pomijanym w dyskursie literaturoznawczym. Autorzy sztuk nie żyją w świadomości odbiorców kultury tak mocno jak poeci czy prozaicy. Dlatego warta pochwały staje się każda próba dowartościowania tego gatunku. Małgorzata Sugiera już kilka lat temu zaznaczała rangę tego problemu pisząc, że „każde pytanie postawione dziś o dramat jako rodzaj i gatunek literacki musi z założenia stać się pytaniem źle postawionym"*.

Dwa lata temu ukazał się pierwszy zbiór lubuskich tekstów dramatycznych pod redakcją Andrzeja Bucka. W *Antologii dramatu lubuskiego* znajdujemy siedem sztuk. Dwie autorstwa Iwony Kusiak, dwie – Ireneusza Kozioła i po jednej: Czesława Markiewicza, Mariusza Puchalskiego, Wojciecha Śmigielskiego. *Antologię* otwiera dramat Kozioła *Pokropek* poruszający bolesne zielonogórskie zdarzenie z 1960 roku. To wtedy miało miejsce wystąpienie mieszkańców miasta przeciw milicji i ZOMO w obronie Domu Katolickiego. Do aresztu trafiło wówczas ponad trzysta osób, z czego prawie każdy stanął przed sądem. Drugim tekstem dramatycznym w *Antologii* jest kolejny dramat Kozioła, tym razem osadzony w czterech kątach patologicznego domu, gdzie kazirodztwo przybiera despotyczny wymiar. Ojciec molestuje każdego członka rodziny z osobna – wnuczkę, żonę, syna. Obserwujemy dramatyczny obraz rozpadu rodziny, a przede wszystkim języka, który przestaje służyć komunikowaniu. Staje się hermetyczny i połamany. Świetnie to oddała realizacja Piotra Łazarkiewicza.

Dwa teksty Iwony Kusiak – to podobnie jak w przypadku Kozioła – dwa odrębne odbicia tematyczne. W *Czekaj* autorka penetruje niedojrzałość współczesnych 30-latków i figurę obcego Ojca, w *Zapachu żużla* odpomina postać jednego z najważniejszych żużlowców regionu – zmarłego tragicznie Edwarda Jancarza. Dramat Czesława Markiewicza *O Wandzie, co chciała Niemca* to z kolei tragikomedia o skompromitowanych nadziejach 50-latków i kolejnych pokoleniach bez szans na zmianę losu. Groteska Mariusza Puchalskiego *CHamlet, czyli co się dzieje w państwie duńskim* to groteska z kabaretowo-politycznymi inklinacjami, w którą zaangażowana jest forma i zabawa konwencją szekspirowską. Wreszcie finalny dramat Wojciecha Śmigielskiego *Obudzone miasto* to wysoce faktograficzny powrót do wydarzeń 1960.

Mamy w tej książce wybór sztuk różnych pod względem tematu i siły oddziaływania społecznego. Pośród obudowujących *Antologię* dramatów zaangażowanych historycznie (wydarzenia roku 1960 w Zielonej Górze) mamy tu dwie „czeruchy", jak mawiał o swoich mrocznych, penetrujących marginesy społeczne sztukach Nikolaj Kolada. To właśnie *Czekaj* Kusiak i *Spuścizna* Kozioła decydują, moim zdaniem, o odbiorze tej antologii. Oba dramaty pokazują oddalony od podręcznikowych zaszłości historycznych klimat ziem z odzysku. Prawdziwy bowiem teatr lubuski nie rodzi się z dat, ale z rachitycznej i chorej kondycji człowieka nie-stąd. Bohaterowie tych dwóch dramatów to ludzie niedostosowani. Są obywatelami świata „z odzysku" – dzień za dniem próbują na nowo budować przerwany śmiercią matki i zniknięciem ojca obraz „zdrowej" rodziny. Czekajowie to ibsenowscy pogrobowcy rzuceni w wir dorosłego życia, któremu sprostać nie potrafią. Mamy tu ludzi z obciętym dzieciństwem i rozmytymi życiorysami. Gdzieś z boku poczyna wracać znienawidzony ojciec – trauma.

Spuścizna z kolei nie ocenia, nie moralizuje, nie wybacza i nie tłumi. *Spuścizna* dzieje się. Owo „dzianie się" to najwyższy poziom istnienia tego dramatu na scenie. Każdy bowiem z zamieszczonych tu utworów jedyną możliwą konkretyzację znajduje na

* M. Sugiera, *Pytania o dramat*, „Teksty Drugie" 2005, nr 1/2, s. 60-71.

deskach. Siła despotyzmu objawia się w chronicznym lęku, który zaraża język postaci:

> Brałam dla siebie tyle radości, ile mi dawał. Dużo dawał. Był moim pierwszym nauczycielem. Długo jedynym. Wspaniałym. Tak się to ułożyło. I bałam się. Tak, przyśpieszał. Nie mogłam nabrać oddechu. To było tak… tak jak tamten terkot. Tak jak terkot, tamten terkot. Była tam. Było mi wstyd. Bałam się. On tak oddychał, dyszał. Na przemian dyszał i oddychał.

Ta wypowiedź jest reprezentatywna dla większości postaci tej *Antologii*. W każdym dramacie świat jest uwarunkowany ojcem-gwałcicielem, ojcem-uciekinierem, ojcem-Niemcem. Każdy świat z odzysku, jaki *Antologia* prezentuje, powraca do ojca – nieważne, czy biologicznego, czy wyimaginowanego idola sportowego (historia zamordowanego żużlowca).

Tym, co może razić przy odbiorze tej antologii, jest dobór autorów – dwóch pisarzy reprezentowanych jest przez dwa dramaty, innym przypada w udziale jeden utwór. Myślę też, że znalazłoby się jeszcze dwóch autorów, których można by tutaj uwzględnić. Zwłaszcza że Andrzej Buck rozszerza pojęcie „dramatu lubuskiego" w posłowiu o „tekst powstały na zamówienie instytucji kultury, która ma swoją siedzibę na Ziemi Lubuskiej". Brakuje mi w tym zbiorze lekkiego tonu z dramatów Marka Zgaińskiego. Nie ma wybitnej realizacji *Zabijania Gomułki* według prozy Pilcha w reż. Jacka Głomba czy najnowszej *Trash story* Magdy Fertacz w reżyserii Marcina Libera (z tym że ta sztuka miała swoją premierę w Lubuskim Teatrze dopiero w 2012, niemniej od 2008 roku istniejąca już w postniemieckiej świadomości lubuskich widzów teatralnych). Szkoda, że zabrakło wybranego dramatu Przemysława Grzesińskiego, związanego od wielu lat z Teatrem Lubuskim. Tak jak wspomniałem wcześniej – lepiej w odbiorze czytelniczym wypadają sztuki obyczajowe, zamknięte w ciasnych przestrzeniach mieszkań, gdzie toczą się kameralne wiwisekcje rodzinne. Gorzej przedstawiają się natomiast obudowane historycznie, reporterskie wręcz opowieści o wydarzeniach zielonogórskich Anno Domini 1960. Nie o rangę społeczną obrazowanych wydarzeń tu chodzi, ale o ogląd kondycji *homo lubus* – człowieka z ziem „odzyskanych", odzyskiwanych wciąż na nowo – z perspektywy każdego pokolenia, każdego małego niewygodnego mieszkania, każdego oddechu i gwałtu.

Dramat jest nieobecny w dyskursie współczesnych badaczy literatury (nie tylko lubuskich). Poczytywany jako nadmiernie „teraźniejszy" i zbyt doraźny, artystycznie nie może bronić się tylko afiszem. Ta antologia stanowi pierwszy krok do odnowy gatunku w świadomości odbiorców. Pozwala ujrzeć teksty dramatyczne jako żywe głosy Współczesności.

Janusz Łastowiecki

Patrząc śmierci w oczy

Łucja Fice, *Przeznaczenie*, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2012, 339 s.

> Na wszystkich dworcach świata
> Daleką drogą olśnienie
> Toczysz się losu koleją
> Po swoje przeznaczenie
>
> Jonasz Kofta

Łucja Fice, z wykształcenia chemiczka, przez cztery lata pracowała w Anglii. Jej wspomnienia, doświadczenia, a także notatki, jakich tam dokonywała, przyczyniły się do stworzenia barwnego, intrygującego, świata składającego

się na jej pierwszą powieść, zatytułowaną *Przeznaczenie*. Sama autorka znana jest w środowisku literackim jako poetka. Wcześniej ukazały się jej tomiki wierszy[1]. Powieść wydała Warszawska Firma Wydawnicza przy finansowym wsparciu pracodawcy Łucji Fice, czyli firmy *Promedica 24*, świadczącej usługi opiekuńcze i pielęgniarskie. I pracownikom tego zakładu pracy zadedykowana jest książka.

Główną bohaterką *Przeznaczenia* jest pięćdziesięcioletnią Gabrysia. Wzorowa żona i matka. Kobieta jakich w Polsce wiele. Powodowana kwestią materialną, niezaradnym życiowo, nudnym małżonkiem decyduje się na wyjazd do pracy za granicę. Dostaje ją w domu pomocy społecznej, w Walii. Świat, w którym przychodzi jej funkcjonować, ma wiele odsłon. Angielski zakład pracy robi spore wrażenie, profesjonalny sprzęt, świetna organizacja pracy. Niezależnie jednak od warunków, opieka nad osobą starszą to ogromny wysiłek. Zarówno fizyczny, jak i psychiczny. Autorka nie szczędzi szczegółowych opisów, czytelnik krok po kroku dowiaduje się jak w placówce przebiega jedzenie, mycie, przewijanie. Nasycone realizmem fragmenty niesienia pomocy schorowanym, zniedołężniałym osobom to największy atut *Przeznaczenia*. Opisane historie budzą współczucie, gniew, a nierzadko także wstręt. Gabrysia również podlega tym emocjom. Zwłaszcza współczuciu. Zdarza się, że nie wytrzymuje i płacze. Obserwująca jej reakcję pielęgniarka, Judy komentuje: „Nie płacz. Przyzwyczaisz się do cierpienia jak do chleba"[32]. Bohaterka nie przyzwyczaja się. Nie poddaje się jednak również słabości i dzielnie trwa na swojej pielęgniarskiej służbie. Wspiera ją w tym jej matka, która pojawia się w snach Gabrysi i przekonuje ją, że praca w tym miejscu jest jej tytułowym „przeznaczeniem". Dodatkowo wśród podopiecznych bohaterki pojawia się tajemniczy pacjent o polskim nazwisku.

W książce przeplata się jeszcze kilka wątków, w tym miłosny. Przesłanie jest proste i prawdziwe: na miłość nigdy nie jest za późno. Wiele do życzenia momentami pozostawia styl autorki, który choć prosty i lekki, mógłby być bardziej oryginalny. Sporo tu frazesów i oczywistości, jednak nie na tyle rażących, by odbierały przyjemność lektury. Podkreślić należałoby, że Łucja Fice nie jest z wykształcenia literaturoznawczynią czy pisarką. Jej zamiarem nie było też zapewne napisanie dzieła na miarę powieści Manna, Dostojewskiego czy Nabokova. Ambitniejszemu czytelnikowi mogą przeszkadzać szczegółowe opisy uczuć i komentarze dotyczące zachowań głównej bohaterki. Nie ma tu za wiele miejsca na to, żeby samodzielnie mógł odczytywać emocje powodujące bohaterami, ich przyczynę i skutki. Autorka podaje nam wszystko na tacy. Lektura nie wymaga od nas zatem nic, poza odrobiną wolnego czasu i chęci.

Mimo wielu niedociągnięć literackich, książkę czyta się jednym tchem. Jej przekaz jest autentyczny, nie ma tu miejsca na obłudę. Wydarzenia nie są przewidywalne, momentami książkę czyta się jak kryminał. Przede wszystkim jest to jednak realny obraz sytuacji zarobkowej Polaków za granicą. Dla osób, które miały styczność z taką pracą, książka będzie wspomnieniem ich własnych przeżyć, być może kluczem do odpowiedzi na zadawane sobie częstokroć pytania. Domy spokojnej starości, opiekunki osób starszych są w Polsce wciąż traktowane jako *novum*. Schorowanymi rodzicami nadal najczęściej zajmują się dzieci, pomagają wnuki. Wpływy zachodnie są jednak u nas coraz wyraźniejsze. To również realny świat ludzi, których niedługo może przyjdzie nam odesłać tam, „gdzie śmierć sypie piaskiem w oczy, do miejsca, gdzie pokoje nie są ani niebem, ani piekłem, gdzie mrówcza praca opiekunek i pielęgniarek podpowiada ciągle, że tam też toczy się życie"[3].

Katarzyna Palimąka

1 Zob. Ł. Fornalczyk-Fice, *Piegi na słońcu*, Gorzów Wielkopolski – Kraków 2010; *eadem*, *Opiekunka*, Gorzów Wielkopolski 2012.
2 Ł. Fice, *Przeznaczenie*, Warszawa 2012, s. 74.
3 *Ibidem*, s. 251.

Centuria

Mieczysław Sosialuk, *Sąd nad centurią*, ARSTAD, Głogów 2012, 70 s.

Najnowszy tomik wierszy Mieczysława Sosialuka jest publikacją o tyle ciekawą, że łączy w sobie wiele zaskakujących wątków i opisów. Autor, choć debiutował nie tak dawno temu, bo w 1998 roku, miejscami prezentuje zaskakująco dojrzałe poetyckie oblicze. Mieczysław Sosialuk urodził się w 1949 roku w na Pomorzu Zachodnim. Koleje losu prowadziły go jednak niemal po całym kraju, pracował w zakładzie mechanizacji rolnictwa, jako konserwator w sanatorium, jako górnik w Lubinie, a w 1997 roku oddelegowano go do budowy warszawskiego metra. I tak naprawdę dopiero w stolicy zaczęła się jego przygoda z poezją, tam bowiem ujawnił się w Turnieju Jednego Wiersza podczas Warszawskiej Jesieni. Przed debiutem brał udział w warsztatach poetyckich grupy literackiej „Wybór" przy warszawskim oddziale Związku Literatów Polskich. Od tamtego czasu wręcz posypały się nagrody i wyróżnienia za twórczość poetycką Mieczysława Sosialuka. Już rok później ukazał się jego pierwszy tomik poezji – *Szept i krzyk*, a w 2002 roku przyszedł czas na książkę poetycką *Ja, Nostradamus.* Autor może się również pochwalić współredagowaniem kilkunastu antologii poetyckich.

Sąd nad centurią, ostatni tomik poezji Sosialuka, ukazał się w minionym roku nakładem głogowskiego wydawnictwa ARSTAD. Siedemdziesięciostronicowa publikacja zawiera kilkadziesiąt wierszy o przebogatej tematyce, można w niej odnaleźć wspomnienia, refleksje i konstatacje dotyczące zarówno tego, co nieprzemijalne, jak i tego, co ważne dla samego autora. Wstęp do *Sądu nad centurią* jest autorstwa Krzysztofa Jelenia.

Książkę otwiera cykl lekkich wierszy, w których autor przywołuje miejsca, gdzie przebywał, osoby, z którymi się spotkał i odczucia, jakie tym chwilom towarzyszyły. Umiejętne poprowadzenie frazy sprawia, że czytelnik przemierza ścieżki razem z autorem, wyobraża sobie „lampy kołysane wiatrem" (*Sekret władzy*) czy to, że „okna wychodziły na ogród/ za szutrową dróżką/ izolowany rdzawą siatką i murem" (*Dom przechodnich egzystencji*). Wiersze są proste, nie wymagają wielogodzinnych rozmyślań, pozwalają się odprężyć i niejednokrotnie wrócić do własnych wspomnień, bo autor opisuje wrażenia znane każdemu z nas. Wskazuje też konkretne nazwy miejscowe, co pozwala dostrzec, jak bardzo jest z nimi związany i jak miłe wspomnienia tam odnajduje. Kilka utworów jest też opatrzonych dedykacją, czy to dla żony, czy dla siostry. Mieczysław Sosialuk jest uważnym obserwatorem otoczenia, nie pozostaje obojętny na to, co nawet nie dotyczy jego bezpośrednio. Maluje słowem obrazy, które z jednej strony ukazują rzeczywistość, a z drugiej zwracają uwagę, że nie należy zajmować się tylko i wyłącznie sobą, bo życie nie zawiera się w czterech ścianach. Takie wrażenie odniosłam, czytając wspomniany już wiersz *Dom przechodnich egzystencji*, gdzie „[…] z okien Domu Dziecka/ patrzą na plac zabaw/ słuchają radosnych okrzyków/ 'mocniej mamuś wyżej'/ karmią się perlistym śmiechem". Autor nie boi się też odważnych wierszy, takich nawet, które mogłyby wzbudzić pewien niesmak, jak choćby utwór *Do następcy*. Wprost powiedziano tam: „musisz przyjąć/ że kładąc dłonie na małych piersiach/ idziesz śladem moich pieszczot… […] miałeś być spełnieniem snu/ więc bądź dla niej dobry". Są to bowiem słowa skierowane do… rywala? Krzywdziciela? Niemałej trzeba odwagi, by takie frazy wyartykułować.

Niezwykle interesującą częścią omawianego tomiku jest cykl utworów poświęconych refleksji autora nad historią. Podmiot liryczny tych wierszy albo wciela się w postacie historyczne, albo zwraca się do nich. Mieczysław Sosialuk umiejętnie łączy owe zwroty do konkretnych osób i momentów historycznych z ponadczasowymi uniwersaliami. I tak oto okazuje się na przykład, że „runo Kolchidy", którego zdobycie wymagało niebezpiecznej wyprawy trwającej pół roku, to „kożuch zwykłego barana", a w wierszu poświęconym Januszowi Korczakowi padają słowa: „a ja wiem swoje:/ gdy brakło ziemniaków, dzieliłeś uśmiech". We wszystkich utworach zaakcentowano

ukłon w stronę codzienności, zwykłej, nieraz szarej, rzeczywistości. W wielu miejscach widać też poczucie „zakorzenienia", czy to w określonym czasie, czy przestrzeni. W wierszach, nazwę je tutaj „historycznymi" nie widać jakiegoś ukierunkowania na konkretną epokę czy grupę postaci. Znajdujemy w nich zarówno odwołania do starożytnej Grecji, jak i do stosunkowo niedawnej przecież drugiej wojny światowej. I znowu podkreślić należy fakt, że Mieczysław Sosialuk pochyla się w swojej twórczości zarówno nad wielkimi momentami w historii powszechnej, jak też nad tymi ważnymi dla niego osobiście.

Ta właśnie osobistość, szczerość, rozległe horyzonty myślowe i umiejętność formułowania prostych, czasem opisowych fraz sprawiają, że książkę *Sąd nad centurią* czyta się z przyjemnością. A można czytać zarówno jako całość, jak też łączyć poszczególne wiersze w cykle czy nawet interpretować każdy utwór z osobna. Jeśli twórczość tego autora będzie się rozwijać w kierunku, jaki został zarysowany w *Sądzie nad centurią*, to należy z niecierpliwością wyczekiwać kolejnych publikacji Mieczysława Sosialuka.

Kinga Mazur

Metalurgia snu

***Sen nocy letniej*, reż. Robert Czechowski, Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego**

Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego pod kierownictwem Roberta Czechowskiego otwiera nowy rozdział. Nowy etap otwiera *Snem nocy letniej* Szekspira w swojej reżyserii. Jeśli w tym kierunku podąża Lubuski Teatr – *chapeau bas*! Takiego Szekspira potrzebowałem jak dobrego snu. Wyprawa w noc świętojańską trwa we mnie nadal.

Historia z krainy elfów pobudza wyobraźnię od wieków. Na kolorowym przeźroczu widzimy zgruzowany antyk. Szekspir ośmiesza (wszak to komedia) hegemonów, ojców, pewnych siebie zdobywców dam. W odpowiedzi na *Romea i Julię* tworzy uciekającą od patosu gdzie pieprz rośnie historyjkę o zbyt małych miłostkach i pozlepianym człowieku. Ludzie są marionetkami. Jeśli znikną wszechwładni ojcowie – na ich miejsce przyjdzie pokusa, sen i marazm. Tyle z „czystego" Szekspira. Czechowski wchodzi we współczesność. Nie ostentacyjnie, nie chorobliwie – podskórnie.

Spektakl zaczyna się przed wejściem do teatru. Odpowiedni nastrój buduje mroczna muzyka. Po wejściu zaczynają nas mijać i lustrować wzrokiem osobliwe, dziwacznie poubierane persony. Czechowski zaraża spektaklem poza sceną. Przybyszu, wszedłeś w to i nie będziesz obojętny – tak zdają się mówić poruszające się, nieme postaci.

Cały spektakl podrysowuje pulsacyjna muzyka. Mamy tu Beatlesów, Ryśka Riedla, Imany. Czego mu tu nie mamy? Szekspir, gdyby żył – nuciłby *She loves You, yeah, yeah, yeah*. Do tego – niepokojąca, wchodząca w głowę śrubokrętem – elektronika. Cała ta gama barw muzycznych zaserwowana nam przez Damiana Neogenn Lindnera współpracuje z przechodzącą w różne odcienie „metalurgiczną" scenografią. Już na plakacie spektaklu mogło zastanowić, co robią te zestawy poskręcanych rurek w wilgotnym od mchu świecie Szekspira. To w nich czają się przegródki naszej podświadomości. Z tych rurek, rureczek wychodzi pozlepiana i nieoczywista prawda o człowieku współczesnym. Czechowski wprowadza swoich bohaterów na „salony" dyskotek, zepsutych klubików i tanich gadżetów naszego odwiecznie konsumpcyjnego baroku. Barok Szekspira przechodzi tu w nasz, wylansowany, wylaszczony baroczek. Świetnie wgrywają sie w to aktorzy – rapujący, stepujący, „dżemujący" – Jerzy Kaczmarowski, Marek Sitarski, Wojciech Brawer, Łukasz Kucharzewski i Piotr Lizak. Lizak zasługuje na szczególne wyróżnienie

– jego Demetriusz rechocze współczesnością (rap wierszem Szekspira to mistrzostwo), a jednocześnie realizuje plan angielskiego dramaturga – ośmiesza ludzkie błądzenie, miłostkową małość. Do ról rzemieślników Czechowski zaprosił dwóch więźniów. Dobry trop do myślenia o teatrze. Nie chodzi tu tylko o aspekt terapeutyczny, natomiast o prawdę, jaka z ich twarzy wychodzi, naturalność, która świetnie wyśmiewa nadmuchany romantyzm. Szekspir w roli aktorów chciał widzieć przecież więźniów, stąd ten zabieg bynajmniej nie jest eksperymentalny, jest czysto ludzki. Dwie warstwy spektaklu – ta „nadrealna" wypełniona elfami (Królowa Tytania i król Elfów) i ta współczesna, złożona z „rzemieślników" nakładają się na siebie, przekładają swoje porządki i to dobrze odzwierciedla ruch na scenie. Uwspółcześniony przekład Stanisława Barańczaka wyznacza już normę w odkrywaniu Szekspira dla potomnych. Józef Paszkowski i jego „barok słowa" mogą dziś brzmieć wręcz groteskowo.

Aktorzy zielonogórscy bez zarzutu. Oprócz wspomnianego Lizaka, na uznanie zasługuje Tytania o twarzy Hanny Klepackiej. Jej soulowy głos i poskręcana od bólu twarz (Tytania porusza się na wózku inwalidzkim) oddają cierpienie, a zarazem uwalniają kobiecą czułość, erotyzm i liryzm. Trudne to było zadanie, ale Klepacka podołała z nawiązką. Jej ciało tonące w konwulsjach niepostrzeżenie staje się siedliskiem namiętności podskakującej na wózku jak na miłosnym łożu. W jej postaci zawiera się zbiorowy głos samotnych, urzeczowionych kobiet, które pulsują zmysłowością, wznosząc ją na inny, wyższy poziom. Ernest Nita dobrze oddał niekonsekwencje Lizandra, a Marek Sitarski swoją swobodną grą spuszczał umiejętnie powietrze z próżnych deklaracji miłosnych. Łukasz Kucharzewski dosycał ten sen swoim niebanalnym głosem. Brawa dla muzyka z gitarą, dla którego chcielibyśmy zostać w teatrze do białego rana.

Metalurgia, która pełni tu rolę kratek świadomości, przypomina mi organy. Zamiast muzyki sakralnej słyszymy równie duchowe brzmienia. Ten koncert przechodzi jak iskra przez widzów i wprowadza ich w trans. Żyjemy w czasach, gdzie rolę snu zaczynają pełnić wszelkiego rodzaju „polepszacze". Narkotykiem jest tu otoczenie muzyczne, z którego łatwo wyjść się nie daje. Próbowałem po spektaklu, nie było łatwo – jeszcze trzyma. Muzyka jest ucieczką w świat, gdzie jesteśmy inni. Jest atrybutem współczesnej duchowości, którą coraz trudniej zbudować w gąszczach naszego wieku. Na oczach ludzi zagnieździła się katarakta, która napędza życie, a jednocześnie cholernie boli. To właśnie w muzyce Czechowski zakorzenił widza *Snu nocy letniej*. Ona jest tu podskórnym leitmotivem. Z takim przeźroczem wchodzimy w nieświadomość. Gąszcz muzycznych różnorodności tka dla nas las z pewnej szekspirowskiej nocy. W takie gąszcze zaprasza nas Czechowski i mówi: zamknij oczy, spróbuj, zapomnij na chwilę. *Sen nocy letniej* z Zielonej Góry to metalurgiczna droga do punktu, z którego nie można się zbudzić, a trzeba. Rysiek Riedel śpiewał: „w życiu piękne są tylko chwile". Tylko chwile. Trzeba się obudzić, aby oddychać.

Janusz Łastowiecki

Demony wracają

Uwe Tellkamp, *Zimorodek* (*Der Eisvogel*), tłum. Bogdan Baran, Wyd. Bellona, Warszawa 2006, 256 s.

Co jakiś czas w różnych krajach wzbierają fale radykalnych nastrojów społecznych. W Niemczech te skrajne polityczne ruchy i organizacje nie są ani marginalnym folklorem, ani zamkniętym rozdziałem. Przypomina o tym Uwe Tellkamp w wydanej w 2005 roku powieści *Zimorodek*. Obecnie ta książka nabiera szczególnej aktualności również w naszym kraju.

Trudno streścić *Zimorodka* w kilku zdaniach. Powieść ma eksperymentalną formę literackiego kolażu, jest dosyć trudna w odbiorze, bo zmieniają się tu narratorzy, a ich monologi są ze sobą luźno powiązane, przez co czytelnik jest zmuszony do uważnej i niezbyt spiesznej lektury. Narracja pulsuje, zmienia tempo, rozszczepia się w licznych dygresjach. Bardzo dobrze komponuje się z miejscem akcji. W tle pokazany jest Berlin, miasto pełne życia i świateł, które bodaj nigdy nie kładzie się spać. Ta metropolia wydaje się trafnym symbolem naszych czasów, epoki „płynnej nowoczesności". Ale i historia jest tu przecież mocno obecna: liczne i radykalne metamorfozy Berlina w ostatnich dziesięcioleciach zawsze były odzwierciedleniem zmieniającego się porządku świata.

Głównym bohaterem powieści jest Wiggo, mało zaradny filozof bez planów i bez pomysłu na życie. To postać jakby wyjęta z myśli Hegla, który twierdził z przekorą, że „filozofia jest wyrazem rozminięcia się z realnym życiem". Wiggo nie spełnia oczekiwań swojego ojca, dobrze sytuowanego finansisty, dla którego filozofia to „fantazmaty". Wiggo nie chce podążać ścieżkami utartymi przez poprzednie pokolenie, a jednocześnie znalezienie własnej życiowej drogi jest dla niego zbyt trudne. Stojąc u progu dorosłości, widzi, że nie ma już nigdzie stabilizacji, a wykształcenie nie wystarczy, aby przezwyciężyć ulotność życiowych projektów. Jak pisze Tellkamp: „[m]łodzi ludzie stoją w blokach startowych, wykształceni jak nigdy i nie mogą wystartować, bo nie ma dla nich pracy..." (s. 120). Wiggo to czytelny symbol pokolenia nazywanego prekariatem, pokolenia bez długoterminowych perspektyw, które musi godzić się na to, że wszystko w życiu jest przelotne, dorywcze, tymczasowe, „tu i teraz".

To niejedyna w tej powieści refleksja na temat współczesności. Tellkamp obwieszcza także koniec mitu, że kultura jest źródłem moralnego postępu. Tak mogło się wydawać dawniej, co urodzony w 1968 roku w NRD autor jeszcze dobrze pamięta. Zmierzch poprzedniej epoki Tellkamp postrzega przez pryzmat upadku kultury wysokiej, którą zastąpiła płytka rozrywka: „Idiota występuje w talk-show, największą oglądalność mają programy, w których nic, ale to nic nie jest ważniejsze od rozmiękczenia mózgu uczestników, odrażającego rozmiękczenia!" (s. 115). Diagnoza autora jest bliska myśli niemieckiej filozoficznej szkoły frankfurckiej, która swego czasu zajmowała się zjawiskiem „przemysłu kulturowego". Wnioski są pesymistyczne: powstanie społeczeństwa mediów i masowego kulturowego przemysłu zdominowało sferę publiczną i sparaliżowało demokratyczną, racjonalną debatę, zupełnie pozbawiając ją powagi, refleksji i głębi.

Bohaterami *Zimorodka* są młodzi ludzie, pełni niezgody na ten świat. Miało być przecież inaczej, ścieżki przetarte przez rodziców nadal miały się sprawdzać. Co się stało, co zacięło się w społecznym porządku? Jaki jest sens demokracji, skoro my nic z niej nie mamy? Rówieśnik Wigga, Mauritz, nie kryje swoich radykalnych poglądów: „demokracja to porządek społeczny średniaków, gadaniny i niezdolności do sprawienia, by z tej gadaniny wynikło owocne działanie" (s. 120).

I tu dochodzimy do kluczowej kwestii powieści Tellkampa, którą jest pokazanie, jak ludzie radzą sobie z bagażem narastającego rozczarowania, poczucia wykluczenia, goryczy przegranej. Ich sposobem, jak w przypadku Mauritza, jest rodząca się pewność, że oto istnieje doskonałe „lekarstwo" na brak nadziei na przełom, leżące w dodatku na wyciągnięcie ręki: „Ludzie nie chcą już tysiąca ofert, lecz prostoty, przywództwa, porządku, pewności, są chorzy od nie-

pewności, od »może« i »nie wiem«, od nieustannego lęku o miejsce pracy, o przyszłość swoich dzieci i tego kraju, są zniszczeni demokracją!" (s. 121). I w byłej NRD, i w Polsce, te uczucia nasiliły się szczególnie po przemianach w 1989 roku. Józef Tischner nazwał ten fenomen „nieszczęsnym darem wolności". Ludzie, postawieni w obliczu wielu wyborów i decyzji nie umieją z tej wolności mądrze korzystać, bo jej się boją lub jej nie chcą. Marzą więc, by ktokolwiek uwolnił ich od konieczności podejmowania samodzielnych wyborów i ponoszenia odpowiedzialności za konsekwencje swoich działań. Uwe Tellkamp znakomicie sportretował w *Zimorodku* uobecnianie się zjawiska „ochotniczego zniewolenia", jak nazwał je francuski pisarz i filozof okresu oświecenia, Étienne de La Boétie.

Widzimy też w powieści ten trudno uchwytny, ale jakże niebezpieczny moment, gdy – paradoksalnie – na gruncie wolności bez ograniczeń rodzą się radykalne postawy. Z wolności można w pełni korzystać i można zrobić wszystko. Także rewolucję, jak chce tego bezkompromisowy Mauritz, członek radykalnej organizacji „Wskrzeszenie". Widzi konieczność obalenia starego porządku świata po to, by urządzić go na nowo. „Niszczymy [...] w imię budowy" (s. 84), po to, aby „otworzyć drogę nowemu, wszystko jest zatkane, ciasne, zużyte, wyczerpane, społeczeństwo zwapniałe [...]" (s. 86). Niebezpieczeństwo polega na tym, że relacja postaw radykalnych i demokratycznych nie jest symetryczna: na fali demokracji radykałowie mogą dojść do władzy, ale gdy tylko ją zdobędą, szybko będą ograniczać demokrację, uruchamiając mechanizmy dyktatury i przemocy, by nie dać dojść do głosu politycznym przeciwnikom.

Czy wszystko to nie brzmi nadzwyczaj znajomo, nawet dla kogoś, kto tylko trochę orientuje się w historii świata i historii Niemiec? Demony wracają, ostrzega Tellkamp i wyraźnie podkreśla, że skrajność poglądów to nie przypadkowe wybryki i „zabawy dzieciaków w rewolucję", o czym świadczy dramatyczna scena konfrontacji między Mauritzem a Wiggiem. Te wydarzenia toczą się również niedaleko od nas: 24 marca 2012 roku neofaszyści zorganizowali we Frankfurcie nad Odrą demonstrację (zablokowaną zresztą przez ich licznych przeciwników, także z Polski). Skrajne postawy nie są rozdziałem zamkniętym także w Polsce, co więcej, zostaje on otwarty na nowo, o czym przekonujemy się, obserwując przemieszczenie się brunatnego koloru politycznych poglądów z peryferii życia publicznego do centrum.

Tellkamp nie wierzy w powiedzenie, że historia jest nauczycielką życia. Jest w *Zimorodku* taka scena, gdy Mauritz odpiera zarzuty, że jest członkiem faszystowskiej organizacji. „My nie chcemy zabijać Żydów", oświadcza (s. 85). Młodzi ludzie, argumentuje autor, mają krótką historyczną pamięć i nie dostrzegają analogii, że miejsce Żydów, przeciwko którym kumulowały się dawniej społeczne nastroje, zajmują dzisiaj Inni, a kategorii inności (co gorsza, definiowanych subiektywnie) może być wiele. Od pragnienia porządku i pewności we własnym życiu do wykluczania Innych i odbierania im prawa do życia droga jest przerażająco krótka.

Zimorodek jest w swoim symbolicznym wydźwięku powieścią nader pesymistyczną. Autor sygnalizuje w niej kryzys humanistyki, wskazując szczególnie na słabość filozofii, która staje się coraz mniej przydatna w obliczu coraz bardziej złożonych problemów świata. Ich opis i wyjaśnianie – to dzisiaj za mało, bo w tak szybko zmieniającym się świecie oczekuje się, że humaniści będą dostarczać wiarygodnych prognoz i gotowych odpowiedzi, a to przecież jest niemożliwe. Pogłębia to egzystencjalny lęk człowieka myślącego, który ma pełną świadomość, że do głosu w polityce i życiu społecznym mogą znów dojść ludzie zwabieni pozorną atrakcyjnością płytkiej, czarno-białej wizji świata.

Zastanawiający jest tytuł książki: *Zimorodek*. Czy jest aluzją do tego, że zimorodki jako ptaki są bardzo agresywne, zaciekle broniąc swoich terytoriów przed innymi? Zimorodka widać też na obrazie Hieronima Boscha *Ogród rozkoszy ziemskich,* który można odczytać jako alegorię negatywnej wolności człowieka, wolności absolutnej, przeradzającej się w marazm, anarchię i destrukcję. A może chodzi o sam wygląd ptaka, bo jego metalicznie niebieska głowa przypomina hełm, a długi dziób kojarzy się z charakterystyczną i wymowną pikielhaubą, do czego nawiązuje okładka książki?

Joanna Kapica-Curzytek

Kobiecość niejedno ma imię

Dorota Grzesiak, *Dla*, Liberum Arbitrium, Tuchów 2009, 51 s.
Dorota Grzesiak, *Kiedy grasz*, Wydawnictwo Druk-Ar, Bytom Odrzański 2012, 74 s.

Jaka powinna być współczesna poezja? Trochę zagadkowa, trochę nonszalancka, trochę bardziej odważna? Przełamująca tabu? A może powinna być zaszyfrowanym kodem, z którym odbiorca musi się zmierzyć, może powinna być dla niego wyzwaniem? Może ma go czegoś nauczyć, a może po prostu pełnić jedynie funkcje ludyczne? Jedno jest pewne. Płaszczyzna polityczna nie odgrywa już w wierszach współczesnych poetów roli kluczowej. Pisząc, skupiają się na własnych doznaniach, na swoim indywidualnym „ja". I więcej lub mniej odsłaniają przed nami zakamarki swego serca. Wyraźniej lub mniej wyraźnie. Jaka więc powinna być owa poezja? Odpowiedź jest prostsza, niż mogłoby się wydawać. Powinna być taka, jaki jest sam autor. W czasach kiedy wszędzie, również w literaturze, króluje indywidualność, niech i w poezji to twórca wyznaczy nam co wolno, a czego nie.

Biorąc do ręki pierwszy tomik wierszy Doroty Grzesiak *Dla* spodziewałam się, że nie będą to banalne utwory. Zdobycie nagrody w III Międzynarodowym Konkursie Poetyckim Liberum Arbitrium „O Miecz i Złote Klucze Tuchowa" do czegoś przecież zobowiązuje. Biorąc pod uwagę podobieństwa łączące mnie z autorką (młody wiek, ukończenie tego samego kierunku studiów), myślałam, że będę czytała jej wiersze jak swoje własne. A jednak spotkała mnie niespodzianka. Starając się za wszelką cenę nie przeczytać tych utworów „od niechcenia", przez kilka minut zatrzymywałam się nad każdym z nich, szukając puenty. Niebanalność poezji autorki przeszła moje oczekiwania.

Dorota Grzesiak urodziła się w 1987 roku, jest absolwentką zielonogórskiej polonistyki, laureatką licznych konkursów literackich, słuchaczką Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W roku 2009 jej liryki zostały docenione. Wzięła udział w konkursie na debiut literacki i Dom Kultury w Tuchowie wydał jej pierwszy tomik *Dla*. W ślad za nim, dwa lata później ukazał się następny zbiór pt. *Kiedy grasz*.

Im bardziej wczytujemy się w wiersze młodej poetki, tym bardziej zaczynamy dostrzegać w nich, jak wiele ma ona nam do powiedzenia. Autorka wszystko, o czym pisze, osłania tajemnicą. W jej utworach pełno jest niedopowiedzeń. Przeważają motywy roślinne i zwierzęce, wyraźny jest bliski kontakt z towarzyszącą podmiotowi lirycznemu na każdym kroku naturą, upodobanie owoców, kwiatów, ptaków. Z tym wszystkim ściśle powiązana jest także kolorystyka, której w utworach nie brakuje. Poetka nie poprzestaje na sztampowych ujęciach czerwieni czy zieleni. W jej lirykach barwy zostały spersonifikowane. Podmiot liryczny zastanawia się „ile minut mieści się w kolorze żółtym", dzieli „czerwień na bledsze odcienie", wywołuje strach u ciemności („ciemność się mnie boi"). Widoczne są także motywy dźwiękowe. Muzyka odgrywa w poezji Doroty Grzesiak rolę niezwykle ważną. Dźwięki pianina towarzyszą jej tęsknocie za ukochanym mężczyzną niemal w każdym liryku. W wierszach zaobserwować można silny, bliski związek między podmiotem lirycznym w postaci poetki a adresatem lirycznym, pianistą. Jeśli dodamy do tego fakt, że wiersze aż kipią erotyką, tworzy się przed nami obraz poezji całkowicie sensualistycznej, przesyconej zmysłowością, z pewnością dużo odważniejszą niż utwory dawnych epok. A jednak, chociaż autorka nie stroni od nazywania rzeczy po imieniu, doskonale wie, kiedy trzeba się zatrzymać, by nie przekroczyć granic.

Z wierszy wyłania nam się obraz kobiety szukającej, dążącej do szczęścia, choć nie do końca chyba jeszcze świadomej, czym to szczęście jest akurat dla niej. Z liryków bije potrzeba posiadania mężczyzny, potrzeba bycia kochaną i przede wszystkim potrzeba poczucia bezpieczeństwa. Z drugiej strony jakże wyrazista jest tutaj obawa przed odrzuceniem, lęk przed tym, by nie dać się oswoić za bardzo, momenty niepewności, strach o siebie samą, krytyka obłudy, fałszu i dwulicowości. Kobiecość we wszelakiej po-

staci. Zarówno w tej najłagodniejszej, jak i całkiem drapieżnej odsłonie.

Pierwszy tomik młodej autorki zdominowany jest tęsknotą podmiotu lirycznego za mężczyzną i cierpieniem spowodowanym przymusową rozłąką („gładzisz mnie po policzku na odległość 300 kilometrów"), potrzebą schronienia się w męskich ramionach („w twoich dłoniach jestem coraz mniejsza, zmieniam się w pestkę"). Poetka, mimo iż stosuje wiele trudnych do rozszyfrowania kodów, odsłania przed nami swój własny proces stawania się kobietą, ukazuje swoje dojrzewanie, symboliczny obrzęd przejścia z dziecięctwa w dorosłość. Zbiór *Kiedy grasz* to już świadome spojrzenie na świat dwudziestopięciolatki niebojącej się zadawać pytań egzystencjalnych. Zmysłowa erotyka ustąpiła miejsca wątpliwościom, co z nas zostanie po śmierci, czy życie „po" naprawdę istnieje.

Pisząc o poezji Doroty Grzesiak, nie wolno pominąć jeszcze jednej istotnej dla tych wierszy kwestii. Chodzi mianowicie o formę, w jakiej zostały one wyrażone. Poetka wręcz zasypuje nas bogactwem środków stylistycznych, jak może to świadomie uczynić tylko prawdziwy polonista. Liczne sprzeczności, oksymorony, antytezy i paradoksy wysuwają się w jej utworach na pierwszy plan. Nie brakuje także wytwornych neologizmów i makaronizmów, głównie zapożyczeń z języka angielskiego.

Tomiki są prawdziwą księgą, która z każdą następną kartką odkrywa przed czytelnikiem swe najbardziej intymne wnętrze. Chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się, że to tylko liryczne zdania upiększone barokowym stylem, warto podjąć wysiłek by zrozumieć, co naprawdę chciała nam przekazać autorka.

Monika Derczyńska

Płatki róż w naszym życiu

Joanna la Bright, *Rosenblätter auf den Scherben*, Novum Pocket, Neckenmarkt 2010, 263 s.

„Płatki róży na skorupach" (tłum. własne) – tak brzmi tytuł powieści austriackiej pisarki Annemarie Albrecht, tworzącej pod pseudonimem Joanna la Bright. Powieści, której nie da się przeczytać jednym tchem, gdyż porusza zbyt mocno. Która swoją autentycznością, dosadnością i sugestywnością aż kłuje w oczy. Do bólu realistyczna, przepełniona wstrząsającymi opisami opowieść chwyta za serce nawet najbardziej odpornego psychicznie czytelnika. Celem autorki nie jest jednak wywołanie smutku i zniechęcenia u odbiorcy. Wręcz przeciwnie. Jak sama podkreśla, jej pseudonim wskazuje na fakt, iż wywodzi się z dającego nadzieję światła. I właśnie to jest głównym celem jej książki – dawać nadzieję nawet w sytuacjach, które wydają się nie mieć żadnego dobrego wyjścia.

Annemarie Albrecht, pracownik socjalny jednego z austriackich hospicjów, urodziła się w 1959 roku w Sankt Pölten, w Austrii. Chociaż wydawać by się mogło, że jej zawód nie ma nic wspólnego z literaturą, nie jest to do końca prawdą. Jak sama twierdzi, to właśnie jej praca uwrażliwiła ją na ludzką krzywdę, obudziła w niej ukryte pokłady empatii i sprawiła, że postanowiła ona przelać swoje przemyślenia na papier. Nie bez znaczenia są także osobiste doświadczenia autorki. Jak sama przyznaje, bohaterka powieści, to jej *porte parole*.

Anna Reibach, czterdziestopięcioletnia pielęgniarka, znajduje się na rozdrożu, nie pierwszym w jej życiu. Podejrzane zachowanie męża, po raz kolejny niewracającego do domu na noc, niepokoi ją już od dłuższego czasu. Kiedy Albert wyznaje jej, że chce się wyprowadzić, nie ma siły walczyć o swoje małżeństwo. Wydawać by się mogło, historia banalna, jakich w literaturze niemało. Punkt widzenia czytelnika zmienia się jednak wraz z rozpoczęciem

czytania drugiego rozdziału. Od tej chwili w fabule dzieją się rzeczy, których my, czytelnicy, nie jesteśmy w stanie sobie uzmysłowić, z którymi nie jesteśmy w stanie się pogodzić. Bo czy można zaakceptować nienawiść matki do własnego dziecka? Czy można obojętnie przejść obok wstrząsających, drastycznych opisów pełnych wyzwisk, obelg, zarówno psychicznej, jak i fizycznej przemocy?

Na uwagę zasługuje niezwykle ciekawa kompozycja powieści. Liczącą 25 rozdziałów książkę możemy podzielić na dwie części. Pierwsza opowiada o aktualnym, teraźniejszym życiu Anny, pełnym małżeńskich rozterek, których efektem końcowym jest rozwód, walka o majątek i nienawiść ze strony byłego męża. Druga część to tzw. *Erinnerungen* (wspomnienia). Składa się ona w całości z retrospekcji, przytaczanych przez bohaterkę strzępków rozmów, opisów przeszłości, w przeważającej mierze epizodycznych sytuacji. To właśnie z tym, co działo się dawniej w życiu Anny, czytelnik nie może przejść do porządku dziennego. Podczas lektury nieustannie zadaje sobie pytanie: Czym ta dobra, wrażliwa dziewczyna zasłużyła sobie na takie traktowanie? Dlaczego właśnie ją spotkał taki los? Interesujący jest fakt, iż cała historia nie jest przedstawiona w powieści w sposób linearny. Rozdziały dotyczące teraźniejszości są w utworze przeplatane z rozdziałami w formie retrospekcji. To duży walor książki. Sprawia, że ani na moment nie uważamy jej za monotonną i bardzo szybko zaczynamy rozumieć motywy działania głównej bohaterki.

Na pytanie, jaka problematyka przeważa w tej powieści, można by odpowiedzieć krótko – problematyka przemocy. Zarówno tej fizycznej, jak i psychicznej w książce nie brakuje. Autorka w mistrzowski sposób ukazuje relacje rodzinne dalekie od sielskich obrazków, którymi przepełnione są reklamy telewizyjne. Patriarchat dominujący w rodzinie Anny jest wyrazisty. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że strach matki przed ojcem rzutuje na jej zachowanie wobec córki. To właśnie matka bohaterki, traktująca swojego męża jak pana i władcę, wydaje się najbardziej jej nienawidzić. Poniża ją na każdym kroku, ubliża jej, wyzywa, bije. Autorka powieści bezlitośnie przełamuje wszelkie rodzinne utopie w sposób tak autentyczny, że jesteśmy po prostu przekonani (choć błędnie), że to prawda, a nie literacka fikcja. Pisarka zadbała jednak o to, aby czytelnik nie czuł się po lekturze załamany i zdruzgotany. Główna bohaterka, pomimo tych wszystkich sytuacji, jakie miały miejsce w jej życiu, nie sięgnęła dna. Potrafiła podnieść się nie tylko w dzieciństwie, w młodości. Potrafi podnieść się także i teraz, kiedy rozpada się jej kolejna „życiowa skorupa". Mało tego, potrafi nawet dostrzec w tym swoiste szczęście.

Niezwykłą zaletą utworu jest fakt, że w widzeniu autorki niemal każdy czytelnik może odnaleźć w Annie cząstkę siebie, w pewien sposób się z nią utożsamić. Każdego z nas dotknie w życiu prędzej czy później mniejsze lub większe cierpienie. Jeśli cofniemy się do naszej przeszłości, wnikniemy w naszą podświadomość, będziemy w stanie zrozumieć dlaczego los potoczył się tak, a nie inaczej. Joanna la Bright poprzez swoją powieść woła jednak do odbiorców: Nie bądźmy samowystarczalni! Pozwólmy innym ludziom, aby wyciągnęli do nas pomocną dłoń i przyjmijmy ją! Przecież w życiu każdego z nas są ludzie-anioły. Na połamanych, porozrzucanych zniszczonych skorupach cichutko, niepostrzeżenie leżą płatki róż gotowe do tego, by upiększyć nasz świat. Jak pisze pod koniec swojej powieści autorka, musimy je tylko rozpoznać.

Monika Derczyńska

A czas płynie jakby nigdy nic...

Anna Blacha, *Moje wierszowanie*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2008, 27 s.

Jak często zastanawiamy się nad czasem? Pochłonięci codziennymi sprawami, z wypełnionymi po brzegi kalendarzami biegamy z miejsca na miejsce, chcąc jak najszybciej załatwić miliony swoich niecierpiących zwłoki spraw. W tej gonitwie codzienności nie zdajemy sobie sprawy, że przecież dzień, który właśnie zaczęliśmy, zaraz się skończy i nigdy już nie będziemy mieli możliwości do niego powrócić. Zajęci tak bardzo, że nie jesteśmy w stanie realizować swoich pragnień, odkładamy marzenia do szuflady, „na potem". Wierząc, że to „potem" nadejdzie. Cóż, wiara w nieśmiertelność to przecież domena młodości. Po lekturze wierszy poetki Anny Blachy to właśnie temat upływającego czasu zakorzenił się w mojej głowie.

Anna Blacha, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, urodziła się 5 maja 1941 roku w Strzelcach pod Grodziskiem Wielkopolskim. Po tym, jak przeszła na emeryturę z biblioteki Uniwersytetu Zielonogórskiego, mogła oddać się w pełni swojej pasji, którą jest pisanie wierszy i wspomnień. Jej liryki publikowane są na łamach miesięcznika „Nad Odrą". W 2008 roku został natomiast wydany zbiór utworów poetki pt. *Moje wierszowanie*.

Spojrzenie na świat oczami kobiety dojrzałej. Kobiety, która już za niczym nie musi gonić, nie musi się spieszyć. Załatwiła już wszystkie ważne sprawy, teraz nadszedł dla niej czas na delektowanie się życiem. Czas na przekazanie swej życiowej mądrości młodszym pokoleniom. To właśnie takie echa wybrzmiewają z wierszy Anny Blachy. Podmiot liryczny jej wierszy nie tyle planuje przyszłość, co wspomina przeszłość, pielęgnując, aby nieubłagalny upływ czasu nie zatarł śladów pamięci. Z zamieszczonych w tomiku liryków wyłania się postać osoby spełnionej, pogodzonej z życiem, świadomej jego zarówno jasnych, jak i ciemnych stron. Poetka nie buntuje się. Okres „burzy i naporu" już dawno osiągnął w jej życiu swój kres. Po latach walki o przetrwanie w niełatwym świecie pełnym pułapek wie już, że nierzadko na wiele sytuacji nie mamy żadnego wpływu. Choćbyśmy ze wszystkich sił próbowali coś zmienić, często nie mamy żadnych szans, gdyż taki, a nie inny jest nasz los. „Bunt... po cóż... któż to wie / Co będzie nagrodą, a co karą..." – podmiot liryczny jest świadomy, że czasem to, co uważamy za największe zło, okazuje się być dla nas dobre. Rozumie, że nie zawsze my sami mamy rację, że niejednokrotnie warto posłuchać kogoś bardziej doświadczonego, że jego rady mają sens.

Chociaż poetka wie, że nie uchroni młodszych przed błędami życiowymi, stara się jednak dać młodszym swego rodzaju lekcję. Zakazy i nakazy tylko pozornie mają negatywny wydźwięk. Upływający czas ukazuje nam, że gdybyśmy tak uparcie nie dążyli do postawienia na swoim, często więcej byśmy zyskali niż stracili. Ona „już dorosła do zakazów i poświęceń na rzecz innych". My także do tego dorośniemy, lecz każdy z nas w swoim czasie.

W swoich wierszach Anna Blacha zwraca uwagę czytelnika na drugiego człowieka i jego nieocenioną rolę w naszym życiu. Przedstawia samotność jako największego ludzkiego wroga. Pyta, czym bylibyśmy bez innych ludzi, jak ukształtowałaby się nasza osobowość, gdybyśmy byli pozbawieni drugiej pary rąk, ciepłego spojrzenia, głosu, wypowiadającego słowa pociechy. Z drugiej strony poetka stara się nas uświadomić, że sami jesteśmy kowalami swojego losu i chociaż rady innych są cenne, nigdy nie powinniśmy ślepo, bez refleksji wykonywać czyichś poleceń. Autorka wierszy zdaje sobie jednak sprawę, jak trudne jest to ważne zadanie. Przyznaje, że sama popełniła w życiu wiele błędów i prosi Boga o przebaczenie, wierząc w jego miłosierdzie. Upływający bezlitośnie czas sprawił, że do wielu kwestii nie da się już powrócić. Chociaż te jakże dojrzałe liryki świadczą o mądrości życiowej poetki, warto zwrócić uwagę, że pod żadnym pozorem nie próbuje ona wykreować się na osobę wszechwiedzącą. Pobrzmiewają tu echa sokratejskiej myśli „Wiem, że nic nie wiem" – wiem, że nigdy nie będę w stanie posiąść wiedzy absolutnej. I to właśnie świadczy o owej dojrzałości autorki *Mojego wierszowania*. Utwory są wręcz przepeł-

nione pytaniami retorycznymi, na które tak trudno znaleźć odpowiedź.

Uświadomienie sobie popełnionych błędów, zakończonych definitywnie rozdziałów, zamkniętych nieodwołanie drzwi, nigdy nie jest proste. Jest jednak konieczne, aby móc zacząć nowe życiowe etapy. Mimo różnorodności i trudności świata autorka stara się zachęcić odbiorcę jej liryków do walki z codziennością, dodać mu odwagi w zmaganiu się z każdym dniem. Sama stara się pamiętać i dobre, i złe chwile, bo przecież każda z nich ukształtowała jej teraźniejszą osobowość. Choć zna swoje błędy, nie ma do siebie pretensji o te wszystkie sytuacje, w których postąpiła źle. Wie, że najważniejsze jest dobre wykorzystanie czasu, który jej pozostał.

Tomik Anny Blachy *Moje wierszowanie* to przykład liryki refleksyjno-filozoficznej, przepełnionej mądrymi przemyśleniami autorki, cechującej się pokorą wobec świata i Boga, dostrzegającej piękno barw i blasków. Dającej nam, czytelnikom, odwagę, wiarę, nadzieję. Ze wszech stron wołającej do nas: *Carpe diem!*

Monika Derczyńska

Warto rozmawiać o książkach

Izabela Rutkowska, *Między książkami*, Wydawnictwo Edytor, Legnica 2012, 230 s.

Każdy, kto weźmie do ręki wybór tekstów Izabeli Rutkowskiej *Między książkami*, może stać się uczestnikiem rozmowy. Wstęp zatytułowany *Zapraszam* zaczyna się zdaniem: „Każde czytanie, nawet jeśli dokonuje się na samotnym poddaszu, jest w istocie rozmową". I tak jest do ostatniego wiersza dosłownie, bo całość zbioru składa się z trzech części, ale po kolei. Pierwsza z nich to *Między książkami znalezione*. Znajdują się w niej opowiastki zainspirowane fragmentami tekstów wielu lektur. Można zgodzić się z autorką książki: „chyba tak to już jest, że choć czytamy Cortazara, Dostojewskiego, Dickinson, Jonsson, Słowackiego, Dąbrowską – w ich książkach nie szukamy Cortazara, Dostojewskiego, ale siebie". Pierwsza opowiastka *Baranek* to wyrzut:

> Dlaczego tak bardzo dorosłeś, Przyjacielu? że boisz się postawić na papierze tę parę prostych kresek? że od razu chciałbyś stworzyć arcydzieło marki da Vinci? Wolisz zaprzeczyć istnieniu Baranka niż skompromitować się swymi biednymi ruchami ołówka. Tak mi przykro, mój Przyjacielu, że nie wierzysz w to, że cię kocham i że te parę prostych kresek będzie mi droższe niż korytarze Louvre'u.

I tak to, co „wysokie", służy „niskiemu", które wcale nie jest mniej ważne. Każda kolejna lektura: czy *Alicji z Krainy Czarów*, czy *Zbrodni i kary*, czy *Czekając na Godota*, czy wiersza Konstandinosa Kawafisa mówi coś o nas, o tym, że to, co najważniejsze, dzieje się każdego dnia. Tymczasem wielu o zwykłym życiu mówiłoby jako o „głupocie codziennej". Rutkowska przekonuje, że potrzebne są nam „dwa płuca": i *sacrum*, i *profanum*. Znajduje dla nich miejsce i w ciele, i w duszy.

Drugą część *W ludziach i słowach odkryte* wypełniają medytacje… Trzeba napisać to w tym miejscu: Ta książka jest o Bogu. O Bogu w naszym życiu. Aż strach pisać, bo skoro mówi się, czy pisze się „Bóg", trzeba mieć świadomość większej odpowiedzialności za każde słowo. Od piszących „Bóg" więcej się wymaga. To nie jest łatwe brzemię. Izabela Rutkowska poradziło sobie z tym. Nie sądzi. Słucha (i czyta) innych. Lubi ludzi. Stąd wiele dedykacji przy tytułach utworów. Dla niej „Bóg jest atrakcyjniejszy niż jakakolwiek lektura". Przypomina w swoim pisarstwie twórczość ks. Jerzego Szymika. Jego słowa:

> Wszystko, cokolwiek chcemy zrozumieć – czy okrutną lekarską diagnozę, czy śmierć dziadka,

czy kwitnącą gałąź czereśni, czy niewysłowione piękno ikony, czy miłość między ludźmi, czy narodziny syna, ruchy gwiazd, śmierć żuczka, itd. itp – jest jasne jedynie w świetle Wcielenia,

oddają trafnie to, co autorka *Między książkami* chce nam powiedzieć. Widać to może najbardziej w *Znaku spod Grenoble*. Jest to „medytacja nad sensem wypadków". Pamiętamy: „22 lipca 2007 w okolicy Grenoble stoczył się w przepaść autobus wiozący pielgrzymów. Wracali właśnie z La Salette. W tragedii zginęło 27 osób". Po tej – wydawałoby się – suchej informacji następny akapit zaczyna się słowami: „Znak z nieba". To trudne dla wielu do przyjęcia stwierdzenie nie jest tak sobie napisane. Wśród wielu rodzących się pytań autorka medytacji stawia i takie: „Czym podyktowana jest logika tych, którzy obrażają się na Boga, bo w przepaść spadł autobus z pielgrzymami? Czy to znaczy, że lepiej i sprawiedliwej byłoby, gdyby z mostu spadł autobus pełen pijanych kibiców albo entuzjastów Love Parade?". Jej refleksja nie jest bieżącym komentarzem do wypadku. Napisana została blisko półtora roku po nim. Nie tłumaczy wszystkiego: „Jakkolwiek by jednak nie interpretować tego wydarzenia, jedno jest pewne – wypadek spod Grenoble był pytaniem o to, czym jest śmierć i czym jest życie, kim jest Bóg i czym jest Jego miłość". Warto te pytania sobie stawiać nie tylko przy okazji spotykających nas nieszczęść. Tak, jak i wiele innych pytań, które znajdziemy w tej książce. Inspirują one do własnych przemyśleń. Nikt nie jest samotnym czytelnikiem.

Trzecią część literackiego tryptyku wypełnia poezja. Na początek jest ostatnia, *XIV stacja* drogi krzyżowej: „i owinął Go w płótna/ jak kiedyś Ona owinęła Go w pieluszki/ i użyczył Mu swego grobu w skalnej niszy/ jak kiedyś Ona podarowała Mu niszę swego ciała". Widzieć nie tylko koniec, ale i początek, nie tylko drogę, ale i jej sens: „bo cokolwiek Jemu dane/ On nie burzy – tylko przemienia". Z Golgoty widoczna jest góra Tabor. Najbardziej zaskakuje rok 1991 pod wierszem *Niepokorna wiara*. Poetka miała wtedy piętnaście lat: „jakże czasem niepokorna jest nasza wiara/ chce na krzyż wejść za wszelką cenę". Niektórym długiego życia nie starczy, by tak wiele zrozumieć. Po dwudziestu latach napisze w wierszu *Rzym tego roku*: „każdy następny choć piękny/ kościół/ staje się podobny [...] siadam w ławce/ pierwszej lepszej/ biednej krzywej parafialnej/ w tym kościele/ w którym każdy święty płacze/ że tak marnie malowany jest tu Bóg// wzrok zatapiam w Eucharystii/ i po chwili już nie ważne/ Rzym to cz Nierzym// poza białą Hostią Boga/ nie liczy się nic". Raz jeszcze przekonuje nas: ważne jest wysokie, ważne jest niskie, najważniejszy jest Bóg. Niedaleko wiersze padają od opowiastek i medytacji. Są one pisane jedną ręką. Każdy czytelnik znajdzie dla siebie kąt, dla siebie strony.

W jednym z wierszy Izabela Rutkowska zastanawiała się: „czy naprawdę musi zostać/ po mnie/ ślad". Nie, nie musiał, ale dobrze się stało, że zdecydowała się wydać *Między książkami*. Czytanie jest szukaniem tego co wspólne. Lektura jej zbioru potwierdza, że o książkach warto rozmawiać. Bierzmy więc i czytajmy, dzielmy się pytaniami i intuicjami. „Może ktoś nas oszukał rysując dramaty jako dzieła, a niebo jako kicz...".

Mirosław R. Kaniecki

Literatura w pigułce

Jan Tomkowski, *Zamieszkać w Bibliotece*, Wydawnictwo Dom na wsi 2004, Ossa 2004, 196 s.

Zanim powiem parę słów o książce Jana Tomkowskiego *Zamieszkać w Bibliotece*, chciałabym przytoczyć fragment z niej pochodzący.

> Lektura każdej książki ma w sobie coś z podróży w nieznane. Otwierając tom, którego treść pozostaje dla nas jeszcze zagadką stawiamy pierwszy krok w kierunku nowego świata... wyruszamy na poznanie tajemnicy.

Kiedy rozpoczęłam czytanie omawianej książki, tak się właśnie czułam. Z każdym zdaniem dotykałam sekretów ze świata literatury. Śledzenie kolejnych rozdziałów okazało się wciągającym zajęciem.

Jan Tomkowski w swojej najnowszej publikacji pisze o radości czytania. Czyni to w taki sposób, że zaskakuje swoją erudycją, pozwala czytelnikom poznać arkana literatury, pochwala refleksyjny odbiór i swoją twórczością prowokuje do zastanowienia się. Wiedza przekazywana przez niego odbiega od podręcznikowego stylu. Czytanie o literaturze mogłoby wydawać się nudną czynnością. Jednak nie w przypadku tego wspaniałego eseisty, prozaika i historyka piśmiennictwa. Oprócz oryginalnego spojrzenia na literackie zagadnienia dodatkowym atutem jest nieskazitelnie piękny język. Zdania do perfekcji dopracowane są przykładem warsztatu pisarskiego na najwyższym poziomie. Ja tak zachwyciłam się tą książką, że najchętniej skopiowałabym ją całą. Pewnie dlatego, że pod niektórymi myślami podpisałabym się, jak na przykład pod tą: „Czytanie sprawia wielką przyjemność. Lubię obcować z tekstem, który niekoniecznie musi być arcydziełem, ale stanowi niespodziankę".

Czy słyszeliście o rozkoszy nadawania książkom nowego życia?

Jan Tomkowski uświadomił mi, że sięgając po zniszczone, zaczytane nie tak atrakcyjne zewnętrznie egzemplarze, możemy zapewnić im pewien rodzaj nieśmiertelności.

Lubię czytać i lubię przebywać w bibliotece. Biorąc do ręki omawianą publikację (*Zamieszkać w Bibliotece*), zatrzymałam się nad tytułem. Do biblioteki idzie się i w niej bywa. Ale nie mieszka się w niej. Myślę, że autor pragnął, abyśmy tak jak On pokochali Bibliotekę i poczuli w niej jak w domu. To najlepsza zachęta. Do domu przecież zawsze się wraca.

Jeśli o mnie chodzi, Jan Tomkowski nie musi mnie przekonywać do Biblioteki. Uwielbiam być w tym przybytku, przechadzać się między regałami, śledzić oczami tytuły, by wreszcie zdecydować się któryś wziąć do ręki... I wtedy czuję się, jakbym je budziła na chwilę do życia.

Jednak największym dramatem zapalonego czytelnika jest świadomość, że nie jesteśmy w stanie przeczytać wszystkich książek. Musimy dokonywać bolesnej i ryzykownej selekcji. Jan Tomkowski chcąc nam pomóc w wyborze dobrej lektury, stworzył własny kanon książek, które wg niego powinniśmy koniecznie przeczytać w naszym krótkim życiu. Wśród dwudziestu na pierwszym miejscu umieścił *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta, którą uważa za najlepszą powieść.

W jednym z rozdziałów czytamy o pierwszym spotkaniu z literaturą, które zaczyna się od przyjaźni z bohaterami. Najmłodsi nie zawsze zdają sobie sprawę, że istnieli ludzie, dzięki którym mogli poznać kogoś takiego jak Kubuś Puchatek, Mały Książę czy Pinokio.

Dla większości czytelników autor, jego narodowość czy nawet tytuł nie są tak istotne jak postaci literackie i ich losy.

Pewne literackie kreacje osobowe urastają do rangi symbolu. Do nich należą bohaterowie biblijni i mitologiczni. Jak np. Odyseusz, którego życie było tułaczką uwieńczoną szczęśliwym powrotem.

Także Hiob wzbudza w nas współczucie, gdyż dany mu był żywot pełen niezawinionego cierpienia.

Inny wieczny heros to Hamlet, który dla aktorów jest największym marzeniem i wyzwaniem artystycznym. Któż z nas nie zna słynnego hamletowskiego powiedzenia: „Być albo nie być, oto jest pytanie?".

Don Juan znalazł w naszej pamięci miejsce jako zdobywca serc niewieścich.

Galeria postaci odsłaniana przez Jana Tomkowskiego jest znacznie bogatsza. Na zakończenie czytamy o przeciętności dzisiejszych bohaterów. Taka konkluzja może budzić zaskoczenie, ale i skłania do zastanowienia, czy nie ma w niej krzty prawdy?

W tej niepozornej pod względem liczby stronic publikacji czytamy także o świecie podróży, kulinariów i mody oraz magicznych miastach pisarzy.

Zamieszkać w Bibliotece jest jak „literatura w pigułce", ale nawet niewielka dawka leku może zdziałać cuda…Dlatego polecam tę pozycję, w przepięknej złoconej okładce przywodzącej na myśl skarb, który warto zdobyć.

Jadwiga Matuszczak

Tradycja i klasycyzm w wierszach Konrada Krakowiaka

Konrad Krakowiak, *Warto*, Pro Libris, Zielona Góra 2012, 81 s.

Konrad Krakowiak, dziennikarz TVP Info, zadebiutował tomikiem wierszy *Warto*[1], który ukazał się jako nagroda w trzeciej edycji konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris". Książka zbudowana jest z trzech części: *Poznaję*, *Własny* i *Świat* stanowiących swoisty kompas o nazwie *Poznaję własny świat*, służący poruszaniu się po literackiej mapie, której kartografem jest oczywiście poeta.

Wydaje się, że nieprzypadkowo tom otwiera wiersz *Inspiracja*, bez której nie da się uprawiać sztuki w jej pierwotnym, antycznym rozumieniu, a tak właśnie pojmuje ją Krakowiak. Antropomorfizowana tytułowa bohaterka liryczna utworu

> Nie zapowiada swoich wizyt.
> Wie, że nas zastanie.
>
> […]
>
> Woli być z boku,
> Niewidoczna,
> Jak sufler podpowiadać swoim aktorem
>
> (*Inspiracja*, s. 13)

W tej poetyckiej wizji tworzenie literatury jest sceną teatralną, literat – aktorem, zaś natchnienie twórcze – suflerem, którego nikt z czytelników nie widzi, a słyszy jedynie autor. Być może słyszy czasami tak wyraźnie i odczuwa tak ambiwalentnie, że nie potrafi się od niego uwolnić, jak Czesław Miłosz swojego Dajmoniona: „Twoje rytmiczne szepty onieśmielają mnie"[2], ale zarazem podkreślał: „Dajmonionie, na pewno nie mógłbym żyć inaczej./ Przepadłbym gdyby nie ty"[3]. I podmiot liryczny z wiersza Krakowiaka pozostaje wdzięczny inspiracji, ponieważ ona: „Jak latarnia morska,/ Jednym mrugnięciem oka/ Wskazuje brzeg" (*Inspiracja*, s. 13).

Autor jasno i wyraźnie staje po stronie tradycyjnej poetyki, nie ulega awangardowym czy postmodernistycznym eksperymentom literackim, nie dąży do popisów słowotwórczych czy składniowych. Jego fraza jest prosta, przejrzysta i precyzyjna:

> Dotykam go
> Ale skóra jest za gruba bym go poczuł

1 K. Krakowiak, *Warto*, Zielona Góra 2012. Wszystkie cytaty z wierszy lokalizuję w tekście.
2 C. Miłosz, *Do Dajmoniona*, [w:] *idem*, *Na brzegu rzeki*, Kraków 1994, s. 21.
3 *Ibidem*.

Obserwuję go
Ale wzrok zbyt często mnie myli

(*Poznaję człowieka*, s. 28)

Udaje mu się unikać popadania w banały oraz uproszczenia. Uprawia klasycyzm w takim rozumieniu, o jakim pisała Maria Janion: „odznaczający się [...] wykształconą świadomością literackości literatury, to znaczy tego co z literatury czyni literaturę właśnie, resztę pozostawiając poza jej kategorycznie zakreślonymi granicami"[4], dlatego Krakowiak, jak wskazuje Ewa Mielczarek, „poszukuje wspólnych praw, zachowań i uniwersalnego języka, dzięki którym byłoby możliwe wzajemne, pełne zrozumienie rzeczy"[5].

Poeta jest efektowny w swoim pisaniu, nie zaś efekciarski; idzie własną ścieżką poetycką, nie zapominając jednak o dorobku pisarskich antenatów. Nie tylko nie zapomina, ale wprost się do nich odwołuje i inspiruje. Tradycja literacka jest ważnym punktem odniesienia dla autora w kreowaniu elementów własnego lirycznego mikroświata. Skala tych odwołań nie jest jednak tak zaawansowana jak w przypadku innego lubuskiego pisarza, Czesława Markiewicza, u którego intertekstualne nawiązania wypełniają niekiedy całą książką poetycką[6]. W wypadku autora *Warto*, dialog z innymi twórcami ma charakter podkreślenia podobnej wizji świata niż eseistycznej debaty w ramach wiersza. Chociaż i tak należy pamiętać o słowach Julii Kristevej, że „każdy tekst jest zbudowany z mozaiki cytatów"[7].

Szczególne miejsce w literackim panteonie Krakowiaka zajmuje Wisława Szymborska, o której powiedział:

> To moja mistrzyni. [...] Jej wiersze pomagały mi zrozumieć siebie. Pełnią funkcję terapeutyczną, tak jak sztuka w ogóle. Tak ją odbieram. Wpływa na mnie, konstytuuje. U Wisławy Szymborskiej odnalazłem wiele rzeczy, które pomogły mi w różnych momentach życia poradzić sobie ze sobą i zrozumieć drugiego człowieka[8].

Noblistka jest tytułową bohaterką jednego z wierszy tomiku *Warto*. Podmiot liryczny w sposób skondensowany charakteryzuje jej twórczość: „Rozmawiała z kamieniem./ Rysowała ryby w rzece Heraklita,/ Stawiała motyle na śniegu" (*W. Szymborska*, s. 29), by ostatecznie zdecydować się na osobiste wyznanie człowieka piszącego:

Czasem siada obok mnie
I czyta swoje wiersze,

Najchętniej te niezapisane,
Ledwo pomyślane,
Dla których życie było zbyt bolesne,
By mogły zaistnieć

(*W. Szymborska*, s. 29)

Nicość, tytułowa bohaterka kończącego tomik wiersza, ma wiele wspólnego ze słowem Nic, o którym Szymborska pisała: „Kiedy wymawiam słowo Nic,/ stwarzam coś, co nie mieści się w żadnym niebycie"[9]. Natomiast u Krakowiaka, podmiot liryczny stwierdza: „Na próżno szukać nicości./ Nie prowadzą do niej żadne drogi,/ Ścieżki,/ Schody" (*Nicość*, s. 78). Oboje poeci zastanawiają się nad przestrzenią nicości i oboje dochodzą do wniosku, że jest ona niemożliwa do opisania w tradycyjnym rozumieniu, bowiem „niewiadomo czy to ona, on, ono" (*Nicość*, s. 78).

Ślady twórczości autorki *Dwukropka* widać w wierszu *Poranek 5.45* (s. 21), który koresponduje

4 M. Janion, *To jest klasycyzm tragiczny*, [w:] R. Przybylski, *To jest klasycyzm*, Warszawa 1978, s. 7.
5 E. Mielczarek, *Finał III Konkursu „Debiut poetycki Pro Libris"*, „Pro Libris" 2012, nr 4, s. 112.
6 Zob. C. Markiewicz, *Majuskuły!*, Kraków 2010.
7 J. Kristeva, *Słowo, Dialog i Powieść*, przeł. W. Grajewski, [w:] *Bachtin. Dialog – Język – Literatura*, red. E. Czaplejewicz i E. Kasperski, Warszawa 1983, s. 396.
8 B. Zatońska, *Konrad Krakowiak: Inspiracje pojawiają się w różnych momentach*, dostęp: http://tvp.info/opinie/wywiady/inspiracje-pojawiaja-sie-w-roznych-momentach/10293313, [odczyt: 11.03.2013].
9 W. Szymborska, *Trzy słowa najdziwniejsze*, [w:] *eadem*, *Chwila*, Kraków 2012, s. 14.

z wierszem noblistki *Wczesna godzina*[10]. Krakowiak jednak poza obserwacją i nieustannym zadziwieniem światem, który prezentuje Szymborska, wprowadza również perspektywę religijną. Po przebudzeniu, podmiot liryczny stwierdza: „chcę się pomodlić/ nie ma o co// Bóg się właśnie obudził/ czy właśnie śpi". Wersy z wiersza *W podróży*: „choćbym chciał/ nie wrócę do miejsc w których byłem// w końcu nic dwa razy" (s. 42) są ewidentną aluzją do słynnych słów: „Nic dwa razy się nie zdarza"[11]. W wierszu *Dekalog* podmiot liryczny w końcowej strofie wyznaje: „Trzymam się tej poręczy./ Tak na wszelki, niewiadomy wypadek" (s. 43), co odwołuje czytelnika do wiersza Szymborskiej *Wszelki wypadek*[12], który był zarazem tytułem jej książki poetyckiej z 1972 roku.

Rolę i znaczenie sztuki charakteryzuje Krakowiak w wierszu *W muzeum*: „kilka obrazów wystarczy/ by wskrzesić martwy świat" (s. 76), tym samym nadaje sztuce niebywale ważną rangę jako tej, która jest przechowalnią pamięci, potrafi przekazywać wiedzę o świecie minionym, o wydarzeniach, które trwają tylko i wyłącznie dlatego, że zostały utrwalone w tekstach kultury, jakimi są w wierszu obrazy. Podobnie jak u Wisławy Szymborskiej, *Mleczarka* (1658) Johannesa Vermeera jest niemym symbolem wartości sztuki:

> Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum
> w namalowanej ciszy i skupieniu
> mleko z dzbanka do miski
> dzień po dniu przelewa,
> nie zasługuje Świat
> na koniec świata[13].

Warto zaznaczyć, że intertekstualne nawiązania do poezji noblistki manifestują się zarówno na poziomie stylu, jak i treści. Prosty, zwięzły, oszczędny w środki stylistyczne idiolekt Krakowiaka przypomina idiolekt Szymborskiej, jednak nie opiera się on na zasadzie kopiowania, ale twórczego naśladowania, inspirowania światem poetyckim poetki, czerpania z niego określonych motywów, które następnie zostają przetworzone w sposób oryginalny i warty czytelniczej uwagi. Tak jak zauważyła Małgorzata Mikołajczak w słowie wstępnym, wprowadzającym do tomiku: „Wpływy autorki *Wszelkiego wypadku* dostrzec można także na poziomie podejmowanych przez Krakowiaka motywów i sposobów obrazowania, a ponadto w predylekcji do intelektualnego oglądu świata i filozoficznego zdziwienia zagadką istnienia"[14].

Kwestii, wspominanej powyżej, pamięci autor poświęcił osobny wiersz, w którym pisze: „Na taśmie filmowej/ W szczelnie zamkniętej metalowej puszcze/ Życie trwa w najlepsze" (*Pamięć*, s. 51). Tutaj czytelnik może dojść do podobnych konstatacji jak w wierszu *W muzeum*. Film zapisany na taśmie, leżący w metalowej puszce, wskazuje na obraz powstały w czasach, kiedy nie znane jeszcze były kasety VHS, o zapisie na płytach DVD, technologiach DVD HD czy Blu-ray nikt jeszcze nie myślał. I ten przechowywany film, artefakt sztuki pozwala podmiotowi lirycznemu na stwierdzenie:

> Każdą scenę mogę powtórzyć
> Zatrzymać
> Spowolnić
>
> Choćbym taśmę wrzucił na dno szuflady
> Przykrył innymi
>
> (*Pamięć*, s. 51)

Sztuka pozwala pamiętać, zatrzymywać obrazy, odtwarzać w nieskończoność, przekazywać idee, przeżycia kolejnym pokoleniom. Na tym konstytuuje się jej największa wartość, dzięki niej „jesteśmy" (*Jesteśmy*, s. 59).

Oczywiście, teksty Krakowiaka nie koncentrują się tylko i wyłącznie na dialogu z poezją Wisławy Szym-

10 *Eadem*, *Wczesna godzina*, [w:] *ibidem*, s. 28-29.
11 *Eadem*, *Nic dwa razy*, [w:] *eadem*, *Wiersze wybrane. Wybór i układ Autorki*, Kraków 2004, s. 28.
12 *Eadem*, *Wszelki wypadek*, [w:] *ibidem*, s. 159.
13 *Eadem*, *Vermeer*, [w:] *eadem*, *Tutaj*, Kraków 2009, s. 39.
14 M. Mikołajczak, *„na dobry początek"*, [w:] K. Krakowiak, *op. cit.*, s. 6.

borskiej, na podnoszeniu kwestii pamięci czy wartości sztuki. Wiele wierszy twórca poświęcił odmianom miłości. Czytelnik spotyka miłość, która wymyka się słownikowym definicjom, ponieważ uczucia tak silne są niedefiniowalne „Niespotykana to miłość" (*Słownikowa miłość*, s. 66); pojawia się miłość zimna, wystudiowana, nieprawdziwa (*Idealna miłość*, s. 64); miłość nieszczęśliwa (*Tęsknota*, s. 52); miłość bezwarunkowa, pozostająca, niezmienna pomimo upływu lat (*Stare dobre małżeństwo*, s. 26); miłość w sensie eros (*Erotyk*, s. 22-23); miłość rodzicielska (*Tak różni*, s. 18-19) i w końcu mamy do czynienia z jednoznacznym wyznaniem podmiotu lirycznego: „zawsze chciałem kochać i być kochanym// kochałem/ jestem kochany" (*Bez zrozumienia*, s. 38).

Jest w tych utworach pochwała życia, bo przecież podmiot liryczny stwierdza wyraźnie: „jestem tylko śladem swoich dawnych/ zapomnianych kreacji// ale jestem" (*U celu*, s. 49), jednak afirmacja egzystencji jest wyrażana spokojnie, umiarkowanie, wręcz stoicko. Tutaj znowu warto powołać się na matronat Szymborskiej, która pisała przecież: „Moje znaki szczególne/ to zachwyt i rozpacz"[15]. Klasyczne, nie zapominające o literackiej tradycji, wiersze Konrada Krakowiaka, odznaczające się wyraźną oryginalnością twórczą, uważną obserwacją świata oraz człowieka, wrażliwością i prostym (nie znaczny – banalnym), liryzmem pozwalają rokować zasłużoną karierę literacką autora. Podsumowując: warto czytać tę poezję, warto oczekiwać na kolejne teksty tego pisarza.

Jakub Rawski

Nowy tomik Bohdana Zadury

Bohdan Zadura, *Zmartwychwstanie ptaszka (wiersze i sny)*, Biuro Literackie, Wrocław 2012, 84 s.

Najnowszy tomik Bohdana Zadury nosi tytułu *Zmartwychwstanie ptaszka.* Czy mamy do czynienia z artystyczną prowokacją, czy już sam tytuł nie ma w sobie znamion zawadiackiej dwuznaczności? Czyż nie jest tak, że – jak pisze poeta – „Głodnemu zawsze chleb na myśli?" Bo czymże jest ów tytułowy „ptaszek"? A jednak Zadura wprowadza nas w „poetyckie maliny", ponieważ „[...] kiedy już przeczytasz kawałek tego długiego wiersza, [...] pewnie trochę się zawstydzisz tego pierwotnego domysłu i delikatny rumieniec wstydu obleje twoje liczko. Tak się dałeś podpuścić. [...] Tak, ten tytuł jest ni mniej, ni więcej, on jest w sam raz – jest dosłowny" – wyjaśnia Zadura.

Przytoczona dosłowność pojawia się w nasyconych ironią utworach, które kontynuują poetykę znaną z wcześniejszych tomików poety, m.in. z wydanego w roku 2010 *Nocnego życia.* Poddawanie rzeczy w wątpliwość i rejestracja obserwowanej rzeczywistości przez pryzmat polityki, obyczajów czy mediów zakorzeniła się już na dobre w tkance poetyckiej tych tekstów. Źródłem niewyczerpanej inspiracji jest zwykła, a zarazem niezwykła codzienność, jak w wierszu *Czarno widzę*:

Próbowałem zapalić
papierosa
pendriv'em

Tytułowy wiersz zadedykowany Henrykowi Berezie i napisany w przeddzień jego urodzin, stał się literackim epitafium krytyka. Zresztą krytyk,

15 W. Szymborska, *Niebo*, [w:] *eadem*, *Wiersze...*, s. 286.

znany m.in. z publikacji na łamach „Twórczości", występuje w *Zmartwychwstaniu...* kilkakrotnie, zarówno w świecie rzeczywistym, jak i w opowiadaniach-snach. Wiesław Myśliwski napisał o Berezie, że „Marzeniem wielu pisarzy było, by napisał o ich tekstach przynajmniej jedno słowo". Zadura to „słowo" Berezie oddaje w tytułowym wierszu, czyniąc z niego metafizyczną opowieść o ptaszku, który gubi piórko „szary puszek z niebieskim koniuszkiem".

Podtytuł rozgraniczający utwory na sny i wiersze odzwierciedla swego rodzaju paralelizm, gdyż świat realny również charakteryzuje oniryczny surrealizm. Kompozycja tomiku zasadza się na poetyckiej gradacji, teksty na kolejnych stronach rozrastają się, przechodzą od niekiedy lapidarnych utworów w quasi-opowiadania, w których dominuje retoryka marzenia sennego. Oto jedna z takich dłuższych narracji:

> Siedzę z Henrykiem Berezą i Krzysztofem Mętrakiem w rogu dużej kawiarni na ostatnim piętrze wielopiętrowego budynku. Krzysztof zajmuje przy stoliku takie miejsce, że ma widok na całą salę, ja mam jego naprzeciwko, a Henryka po prawej. Rozmawiamy o jego planach literackich, wymieniamy się żartami i plotkami. [...] Patrzę na Henryka. Słuchaj – mówię – przecież Mętrak umarł dawno temu. Albo on zmartwychwstał albo my zwariowaliśmy.
>
> (*Schody nie mają poręczy*, s. 64)

W *Zmartwychwstaniu...* możemy również odnaleźć reminiscencje z dzieciństwa poety, dochodzące do głosu również przez pryzmat onirycznego wspomnienia:

> 1955? Rok Mickiewiczowski?
> Miałem dziesięć lat
> coś kumałem
> [...]
>
> ale zaraz
> Konkurs Chopinowski w lipcu?
> i Adam Harasiewicz?
> olśnienie [...]
> to były cotygodniowe audycje
> chopinowskie
>
> (*Rok chopinowski*, s. 26)

Owe „olśnienie" dotyczy również rozrachunku z aktualną rzeczywistością. Czasy dzieciństwa bywają już tylko wspomnieniem, „stary" świat istniał bez rzeczy, których powstanie nikogo nie zastanawia. Dziś już tylko z tęsknym rozrzewnieniem można powrócić pamięcią do dawnych zwyczajów i zapamiętanych zapachów:

> był świat bez TVP Kultura
> bez odkurzaczy
> okna miały lufciki
> lufciki miały haczyki
> kit wysychał
> pękał
> wykruszał się
> zanim wysechł
> pachniał
>
> (*Rok chopinowski*, s. 26-27)

W tomiku nie brak i bardziej prywatnych wyznań dotyczących przemijania i związanego z nim poczucia osamotnienia, które pojawia się, gdy literaccy rówieśnicy odchodzą:

> Jakie mam prawo
> żeby żyć dłużej
> niż Albert Camus
>
> Albo Krzyś Mętrak
> Witek Maj
> żeby nie szukać daleko
>
> szczęście?
>
> (*Głupie myśli*, s. 20)

Zmartwychwstanie... to tomik, który jest bliski życiu i codzienności, a zapisane w nim możliwości topograficzne snu pozwalają przemieszczać się po różnych przestrzeniach „monotonnego trwania". Oniryczność miesza się z rzeczywistością, a poeta

formułuje przewrotne ostrzeżenie przed szkodliwym działaniem poezji, bo przecież już Platon twierdził – choć w politycznym kontekście – że poezja zagraża państwu i demoralizuje młodzież. Zadura ironicznie parafrazuje to przekonanie, gdyż radzi:

przed przeczytaniem tego wiersza
skonsultuj się ze swoim krytykiem
gdyż każdy wiersz niewłaściwie przeczytany
zagraża twojemu życiu
lub zdrowiu

(*Przylaszczka*, s. 35-36)

Marika Sobczak

KSIĄŻKI NADESŁANE

40 lat Gminy Wiejskiej Zielona Góra, red. Witold Towpik, Gmina Zielona Góra, Zielona Góra 2013, 70 s.

Cmentarze ewangelickie województwa lubuskiego, z. 1, red. nauk. Adam Górski, Wydawnictwo Eternum, Zielona Góra 2012, 287 s.

Zbigniew Czarnuch, *Posmakuj Witnicy*, Browar Witnica, Witnica 2013, 198 s.

Łucja Fice, *Przeznaczenie*, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2012, 342 s.

Łucja Fornalczyk-Fice, *Opiekunka*, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp.; Wydawnictwo Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2012, 60 s.

Krzysztof Garbacz, *Zielona Góra i okolice w fotografii*, Agencja Wydawnicza „PDN", Zielona Góra 2013, 159 s.

Anna Górzna, *Na Libelta 4. Monografia Zespołu Szkół Ekonomicznych im. Stanisława Staszica w Międzyrzeczu*, Limonki.pl, Międzyrzecz 2013, 236 s.

Beata Halicka, *Polens Wilder Westen. Erzwungene Migration und die kulturelle Aneignung des Oderraums 1945-1948*, Ferdynand Schöningh, Paderborn – München – Wien – Zürich, 393 s.

Barbara Husar, *Okruchy wspomnień*, Dekorgraf, Żagań 2013, 192 s.

Barbara Klassa, *Siedziby joannitów na ziemiach polskich do 1312 roku*, Wydawnictwo Eternum, Zielona Góra 2012, 206 s.

Eugeniusz Kurzawa, *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, 222 s.

Alfred Siatecki, *Postrzelony*, Oficynka, Gdańsk 2012, 467 s.

Jerzy Szewczyk, *Przeszłość karmi się pamięcią*, Wydawnictwo MAiUS, Zielona Góra 2012, 80 s.

Jerzy Szczególski, *Dwie pory roku*, Dekorgraf, Żagań 2013, 128 s.

Stanisław Wijas, *Zarys historii kół przewodników PTTK w Zielonej Górze i na Środkowym Nadodrzu*, Wydawnictwo Maxim, Zielona Góra 2012, 130 s.

Krzysztof Zdunek, *Bardzo mi przykro, proszę pani*, BLACK UNICORN, Jastrzębie Zdrój 2009, 170 s.

Zielonogórskie seminaria językoznawcze 2011, red. nauk. Magdalena Hawrysz, Marzanna Uździcka, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2013, 232 s.

Józef Żarski, *Dżurków. Ziemia ojców naszych*, Miejska Biblioteka Publiczna w Kostrzynie nad Odrą, Kostrzyn nad Odrą 2013, 219 s.

AUTORZY NUMERU

Agata Buchalik-Drzyzga
Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Uprawia grafikę warsztatową i użytkową, tkaninę artystyczną, malarstwo sztalugowe, sztukę papieru oraz ekslibris. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Mieszka i tworzy w Zielonej Górze.

Monika Derczyńska
Absolwentka zielonogórskiej polonistyki oraz doktorantka na Wydziale Humanistycznym UZ w zakresie literaturoznawstwa.

Edward Derylak
Ur. w 1953 r. w Harasiukach (woj. podkarpackie). Debiutował opowiadaniem *Nowy dzień* (2002). Autor tomu opowiadań *Styro* (2004), powieści *Cień lasu* (2008) i opowiadania *Per ardua ad astra* (wersja polsko-angielska, 2009). Współautor kilkunastu almanachów i antologii. Redaktor *Gawęd żagańskich* Adama Stawczyka (2008). Publikował w „Pro Libris", „Aspektach", „Temacie", „Własnym Głosem". Członek grupy literackiej „Dysonans" we Wrocławiu. Mieszka i pracuje w Żaganiu.

Marek M. Dziekan
Ur. w 1965 r. Prof. dr hab., kierownik Katedry Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki Uniwersytetu Łódzkiego, pracownik Katedry Arabistyki i Islamistyki Uniwersytetu Warszawskiego i Pracowni Języka i Kultury Arabskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Autor wielu prac naukowych, popularnonaukowych i przekładów. Zajmuje się historią cywilizacji arabsko-muzułmańskiej, islamem klasycznym i współczesnym.

Florian Firlej
Regionalista, właściciel wydawnictwa prywatnego FTF. Fotografik (album *Gubin minionych lat 1945-1976 w fotografii Tadeusza Firleja*); członek Gubińskiego Towarzystwa Kultury oraz Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Gubińskiej. Ponadto opiekuje się medialnie Muzeum Gospodarstwa Wiejskiego w Bieżycach. Publikuje artykuły publicystyczne w pismach regionalnych („Merkuriusz Regionalny", „Puls").

Roman Garbowski
Ur. w 1935 r. Aktor, reżyser teatralny. Karierę rozpoczynał jako lalkarz w Teatrze Lalek „Pleciuga" w Szczecinie. W latach 70. występował na scenie lalkowej Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze; w latach 80. w Teatrze im. Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim. W połowie lat 80. powrócił do Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze. Od r. 1997 prowadzi w Zielonej Górze Studio Teatralne „Komedianci".

Lidia Głuchowska
Historyk sztuki i literatury, animator kultury. Doktoryzowała się w 2004 r. na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Od 2005 r. prowadzi zajęcia z historii sztuki i kultury na Uniwersytecie Europejskim Viadrina oraz Uniwersytecie Zielonogórskim. Obecnie na stypendium w Norwegii.

Przemysław Grzesiński
Absolwent filologii polskiej i filozofii. Pracuje w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru. Autor kilku publikacji, twórca komediodramatu *Po prostu Leon po prostu* (premiera w 2011 r. w LT). Autor sztuk: *Studnia*, *To jest wojna*, *Według Michała*, *Żużel forever*.

Mirosław R. Kaniecki
Ur. w 1957 r. w Brodnicy. Publikuje w pismach ogólnopolskich, głównie w miesięczniku „Znak" i w prasie lokalnej; stale współpracuje z „Ziemią Michałowską".

Joanna Kapica-Curzytek
Filolog angielski i glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl" i „Twoja Muza"), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000". Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury popularnej www.esensja.pl. Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna.

Władysław Klępka
Ur. w 1942 r. w Krężnicy Jarej koło Lublina. Poeta, tłumacz, plastyk. Ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie. Debiutował przekładami z języka gruzińskiego na łamach „Poezji". W 1978 r. otrzymał Nagrodę Kulturalną miasta Puławy (1978). Jego wiersze tłumaczono na język niemiecki. Wydał zbiorki wierszy: *Węzeł serdeczny* (1996), *Lato zimorodka* (1997), Świetlisty cień Rafaela (1999), *Bordiura z akantem* (2000), *Zielonym do góry* (2004), *Za wiatrem za wodą – haiku, tanka* (2006), *Pan Wyka* (2008). Opracował antologię lubuską *Wokół haiku* (2002). Tłumaczy poezję czeską. Mieszka w Zielonej Górze, obecnie jest na emeryturze.

Andriej Kotin
Ur. w 1985 r. w Moskwie. Poeta i bard zamieszkały od kilkunastu lat w Polsce. Absolwent filologii germańskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, gdzie sfinalizował także doktorat. Publikuje wiersze w antologiach niemieckich i polskiej prasie literackiej. Prócz poezji i prozy, pisze również piosenki i występuje z koncertami (m.in. uczestnik Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie). Autor tomiku poetyckiego *Motyle w motelu*.

Eugeniusz Kurzawa
Poeta, dziennikarz. Prezes Lubuskiego Oddziału ZLP. Pracuje w „Gazecie Lubuskiej". Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Janusz Łastowiecki
Absolwent polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. UZ dr hab. Małgorzaty Mikołajczak. Znawca problematyki w zakresie reportaży i słuchowisk radiowych. Publikuje recenzje i artykuły w prasie lokalnej.

Zbigniew Masternak
Ur. w 1978 r. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, dramaturg. W 2009 r. ukończył Scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Debiutował prozą w 2000 r. na łamach „Twórczości". Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym pt. *Księstwo*. Jest współautorem książki *Kino polskie 1989-2009. Historia krytyczna* oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* Laureat Świętokrzyskiej Nagrody Kultury oraz Nagrody Starosty Puławskiego w dziedzinie kultury. W 2005 r. na podstawie jego opowiadania (*Stacja Mirsk*) powstał film, którego był współproducentem (Grand Prix na IX KRAKFFA). Występuje też jako aktor. Gra w piłę błotną w klubie BKS Roztocze Krasnobród. Pochodzi z Piórkowa, mieszka w Puławach.

Jadwiga Matuszczak
Pracuje w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej im. M. Grzegorzewskiej w Zielonej Górze. Autorka licznych recenzji literackich, zestawień bibliograficznych. Publikuje w „Bibliotekarzu Lubuskim" i występuje w radiu PULS.

Kinga Mazur
Absolwentka polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego, poetka. Autorka tomiku poetyckiego. Współpracuje z lokalnymi pismami literackimi.

Zofia Mąkosa
Ur. w 1957 r. w Kargowej. Absolwentka historii na zielonogórskiej WSP. Emerytowana nauczycielka historii, wiedzy o społeczeństwie i języka polskiego (SP i Gimnazjum w Siedlcu). Współzałożycielka i członek zarządu Stowarzyszenia Kulturalno-Edukacyjnego Siedlec. Publikowała w lokalnych czasopismach („Gminne Wieści", „Głos Wolsztyński").

Ewa Mielczarek
Ur. w 1961 r. w Gnieźnie. Redaktorka, szefowa Działu Wydawnictw WiMBP w Zielonej Górze. Prowadzi Wydawnictwo Pro Libris; jest sekretarzem redakcji kwartalnika „Pro Libris".

Katarzyna Palimąka
Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Studenckiego Koła Literaturoznawców oraz Studenckiego Koła Naukowego Bibliologów i Edytorów RAMA. Interesuje się językoznawstwem historycznym, historią mangi i anime, pisze wiersze i recenzje.

Grzegorz Panek
Ur. w 1979 r. w Katowicach. Absolwent Uniwersytetu Śląskiego (w 2003 r. ukończył filologię angielską, w 2009 r. prawo). W 2008 r. obronił pracę doktorską w zakresie językoznawstwa. Zawodowo związany z Wydziałem Prawa i Administracji UŚ, obecnie jako asystent naukowy. Tłumaczy teksty prawne i literackie. Jest autorem publikacji z zakresu prawa cywilnego, prawa porównawczego i postępowania cywilnego. Jego debiutancki tomik *Chrzest króla Midasa* jest obecnie w druku.

Julita Paprotna
Poetka, stypendystka Prezesa Rady Ministrów (w roku szkolnym 2009/2010), laureatka I miejsca; w kożuchowskim Konkursie na Najpiękniejszy Wiersz Miłosny. Jej pasją jest gra na gitarze i na bębnach.

Dariusz Pawlicki
Ur. w 1961 r. Autor esejów, nowel, szkiców, wierszy (wydał kilka zbiorów utworów poetyckich m.in. *Haiku*, *48 wierszy*). Pisze także książki dla dzieci (*Bibikin w drodze do Kamienia Życia*). Publikuje teksty w czasopismach społeczno-kulturalnych i literackich (m.in. „Gazeta Kulturalna", „Rita Baum", „Twórczość"); autor 100 haseł w *Encyklopedii Wrocławia* (Wydawnictwo Dolnośląskie); prowadzi „Warsztaty literackie", wygłasza prelekcje poświęcone kulturze; mieszka we Wrocławiu, ale w swej twórczości wiele miejsca poświęca Suwalszczyźnie; należy do ZLP.

Jakub Rawski
Ur. w 1988 r. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. dra hab. Leszka Libery. Autor książki poetyckiej *Pasaże* (2010) oraz referatów wygłaszanych na ogólnopolskich i międzynarodowych konferencjach naukowych (Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Uniwersytet Zielonogórski). Trzykrotny stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego), sekretarz zielonogórskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Bogumiła Różewicz
Ur. w 1961 r. w Zielonej Górze. Miłośniczka poezji, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Debiutowała książką poetycką *Welon na fali* w 2011 r.

Robert Rudiak
Ur. w 1966 r., poeta, krytyk, historyk literatury, regionalista. Doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu książek poetyckich, współautor antologii poezji i szkiców nt. historii literatury lubuskiej. Członek Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich i Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut". Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracownik WiMBP w Zielonej Górze.

Benita Sczaniecka
Ur. w 1971 r. w Zielonej Górze. Absolwentka International Theological Institute w Gaming (Austria), bibliotekarz. Kierownik Biblioteki Obcojęzycznej WiMBP w Zielonej Górze.

Marika Sobczak
Ur. w 1987 r., doktorantka na UZ, ukończyła polonistykę. Była przewodniczącą Studenckiego Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ. Organizatorka studenckich wieczorów i konkursów poetyckich, konferencji naukowych. Zdobyła wyróżnienie w III Ogólnopolskim Konkursie im. C. K. Norwida.

Czesław Sobkowiak
Ur. w 1950 r. w Jaromierzu. Absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Poeta, autor 16 tomików poetyckich. Krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Małgorzata Stachowiak-Schreyner
Ur. w 1975 w Sulechowie. Absolwentka studiów ekonomicznych. Pracuje jako instruktor teatralny. Laureatka ponad 150 nagród ogólnopolskich konkursów literackich, publikacje w kilkudziesięciu antologiach i prasie literackiej. Jej tomik *o czymś* wyróżniony przez jury Lubuskiego Wawrzynu Literackiego znalazł się wśród najlepszych debiutów województwa.

Mirosława Szott
Ur. w 1987 r. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorantka prof. UZ dr hab. Małgorzaty Mikołajczak. Poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze.

Renata A. Thiele
Zielonogórzanka; ponad 20 lat mieszka i pracuje w Akwizgranie. Jest tłumaczką, redaktorką czasopisma polsko-niemieckiego „polregio", lektorką języka niemieckiego i polskiego, autorką tekstów literackich i artykułów prasowych w obu tych językach.

Adam Bolesław Wierzbicki
Ur. w 1972 r. w Krośnie Odrz. Autor trzech zbiorków poetyckich; nagradzany i wyróżniany w kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursach literackich. Mieszka w Dłużku powiat żarski.

Barbara Wrona
Kustosz biblioteki Katedry Arabistyki i Islamistyki Uniwersytetu Warszawskiego; tłumaczka.

Irena Zielińska
Ur. w 1956 r. w Gorzowie Wlkp. Poetka i malarka. Uprawia także krótkie formy eseistyczne. Debiut w 1977 r. w miesięczniku „Odra". Od 1983 roku uczestniczka Ogólnopolskich Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK w Lubniewicach i Garbiczu, na których zdobywała pierwsze nagrody. Wydała cztery poetyckie książki: *Oceania Irenejska* (Gorzów 1998, RSTK), *Naga rzeka* (Gorzów 2003, WAG Arsenał), *Złota cisza poety* (Gorzów 2008, WAG Arsenał), *Przyłapana na istnieniu* (Pro Libris 2011). Większość swoich książek autorka sama ilustrowała. W 2008 roku artysta multimedialny, Piotr Wysocki nakręcił film *Zbliżenie* z udziałem Ireny Zielińskiej. Jej wiersze wielokrotnie prezentowano w programach radiowych i telewizyjnych oraz drukowane w prasie ogólnopolskiej. Poetka na stałe współpracuje z prasą lokalną („Kurier Międzyrzecki") i gorzowskim czasopismem literackim „Pegaz Lubuski". Od 2003 roku należy do Związku Literatów Polskich. Mieszka w Międzyrzeczu.

Regulamin IV Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris"

ORGANIZATOR KONKURSU
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT

IDEE KONKURSU
- Zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu i zaistnienia w szerszym kręgu odbiorców.
- Promowanie twórczości młodych lubuskich poetów.
- Stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim poprzez umożliwienie debiutu wydawniczego.

WARUNKI UCZESTNICTWA
- Konkurs jest skierowany do osób wywodzących się z województwa lubuskiego lub obecnie zamieszkujących na jego terenie, które nie ukończyły 35 roku życia oraz których twórczość poetycka nie ukazała się jeszcze w formie książkowej.
- Tematyka wierszy zgłaszanych do Konkursu jest dowolna.
- Utwory nadesłane nie mogą być wcześniej publikowane w formie drukowanej oraz nagradzane w konkursach.
- Uczestnicy Konkursu nadsyłają nie mniej niż 40 wierszy, z których każdy powinien być opatrzony godłem (pseudonimem autorskim, a nie znakiem graficznym). Wiersze w formie wydruku komputerowego oraz na płycie CD należy nadsyłać na adres:
  Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida
  al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra
  z dopiskiem: IV Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris"
- Dane uczestnika (imię i nazwisko, adres do korespondencji, e-mail, nr telefonu) należy umieścić w osobnej kopercie opatrzonej tym samym godłem.
- Na nadesłanie prac organizatorzy czekają do 28 października 2013 r.
- Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów.

NAGRODA
Nagrodą w Konkursie jest publikacja wierszy laureata w formie tomiku poetyckiego w nakładzie 200 egzemplarzy w terminie do pół roku od ogłoszenia werdyktu Jury.

POSTANOWIENIA OGÓLNE
1. Prace nadesłane po upływie wyznaczonego terminu, przesłane za pośrednictwem poczty elektronicznej oraz niespełniające wymogów technicznych, nie będą brane pod uwagę w ocenie.
2. Organizator Konkursu powołuje Jury, które wybiera laureata. Ocena Jury jest ostateczna i nie podlega weryfikacji.
3. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi 18 listopada 2013 roku.

ZAPYTANIA I UWAGI prosimy kierować do Ewy Mielczarek, Dział Wydawnictw WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, tel. 68 45 32 637, kom. 603 610 906, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl

XIV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Eugeniusza Paukszty
„Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów"

Gminna Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej (woj. lubuskie), Zarząd Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Stowarzyszenie Gmin Rzeczpospolitej Polskiej Region Kozła oraz Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne w Poznaniu ogłaszają konkurs, który adresowany jest do wszystkich twórców profesjonalnych i nieprofesjonalnych, którzy zechcą podjąć interesujące wyzwanie literackie.

Celem konkursu jest pozyskanie wartościowych małych form prozatorskich, opisujących polską rzeczywistość inspirowaną twórczością Eugeniusza Paukszty.

Konkurs adresowany jest do młodzieży i do osób dorosłych (będzie rozpatrywany w dwóch kategoriach wiekowych). Każdy uczestnik może przysłać tylko jedną pracę.

Prace literackie nigdzie niepublikowane – opowiadanie, nowela, esej o objętości do 10 stron formatu A4 w 3 egzemplarzach oraz nagrane na nośniku CD, opatrzone godłem należy przysłać do dnia 30 sierpnia 2013 r. na adres:

Gminna Biblioteka Publiczna
im. Eugeniusza Paukszty
ul. Browarna 7
66– 120 Kargowa
z dopiskiem „Ogólnopolski Konkurs Literacki"

W zaklejonej kopercie, oznaczonej godłem, dołączyć swoje dane: nazwisko, imię, wiek, adres, telefon oraz oświadczenie dotyczące wyrażenia zgody na przetwarzanie danych osobowych (dostępne na stronie www.biblioteka.kargowa.pl)

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród – 27 września 2013 r. w nowym budynku Biblioteki w Kargowej ul. Słodowa 2. Prace zostaną nagrodzone w formie pieniężnej.

Nagrodzone i wyróżnione prace zostaną opublikowane na stronie internetowej Biblioteki (www.biblioteka.kargowa.pl).

Bliższe informacje pod numerem telefonu: 68 352 63 68.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
w dniach 15-17 października 2013 roku
zaprasza na Międzynarodową Konferencję

ph. „Biblioteka jako trzecie miejsce. Doświadczenia i wyzwania partnerów"

W programie pierwszego dnia Konferencji planowane są wystąpienia naukowe autorytetów bibliotekoznawstwa polskiego na temat modelu nowej biblioteki i jej zmieniających się funkcji i zadań. Drugiego dnia sympozjum swoimi doświadczeniami podzielą się partnerzy z krajów uczestniczących w konferencji: z Niemiec, Słowacji, Czech, Serbii, Norwegii, Rosji i Danii. W ostatnim dniu Konferencji odbędzie się wyjazd studyjny gości z zagranicy do nowoczesnej placówki bibliotecznej we Wschowie.

Rada Naukowa:

dr hab. Bożena Koredczuk – Uniwersytet Wrocławski, bozena.koredczuk@ibi.uni.wroc.pl
dr Małgorzata Czerwińska – Uniwersytet Zielonogórski, gosiajoanna@wp.pl
dr Andrzej Buck – Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze (WiMBP), andrzej.buck@wp.pl
dr Przemysław Bartkowiak – WiMBP, bartkowiakprzemyslaw@wp.pl
dr Dawid Kotlarek – WiMBP, d.kotlarek@wimbp.zgora.pl

Komitet Organizacyjny:

Petra Otto – Stadt- und Regionalbibliothek, Cottbus
Czesław Fiedorowicz – Przewodniczący Komisji Kultury, Edukacji i Kultury Fizycznej Sejmiku Województwa Lubuskiego
Anna Polus – WiMBP (uczestnicy krajowi), a.polus@wimbp.zgora.pl
Małgorzata Grelak – WiMBP (uczestnicy zagraniczni), malgorzata.grelak@gmail.com
Dorota Kaczmarek – Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Okręg w Zielonej Górze, d.kaczmarek@wimbp.zgora.pl

Program Konferencji oraz szczegółowe informacje na stronie: http://konferencja.norwid.net.pl

KSIĄŻKI OFICYNY WYDAWNICZEJ
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE

Oblicza prasy Ziem Zachodnich w latach 1945-2012

LPRO LIBRIS

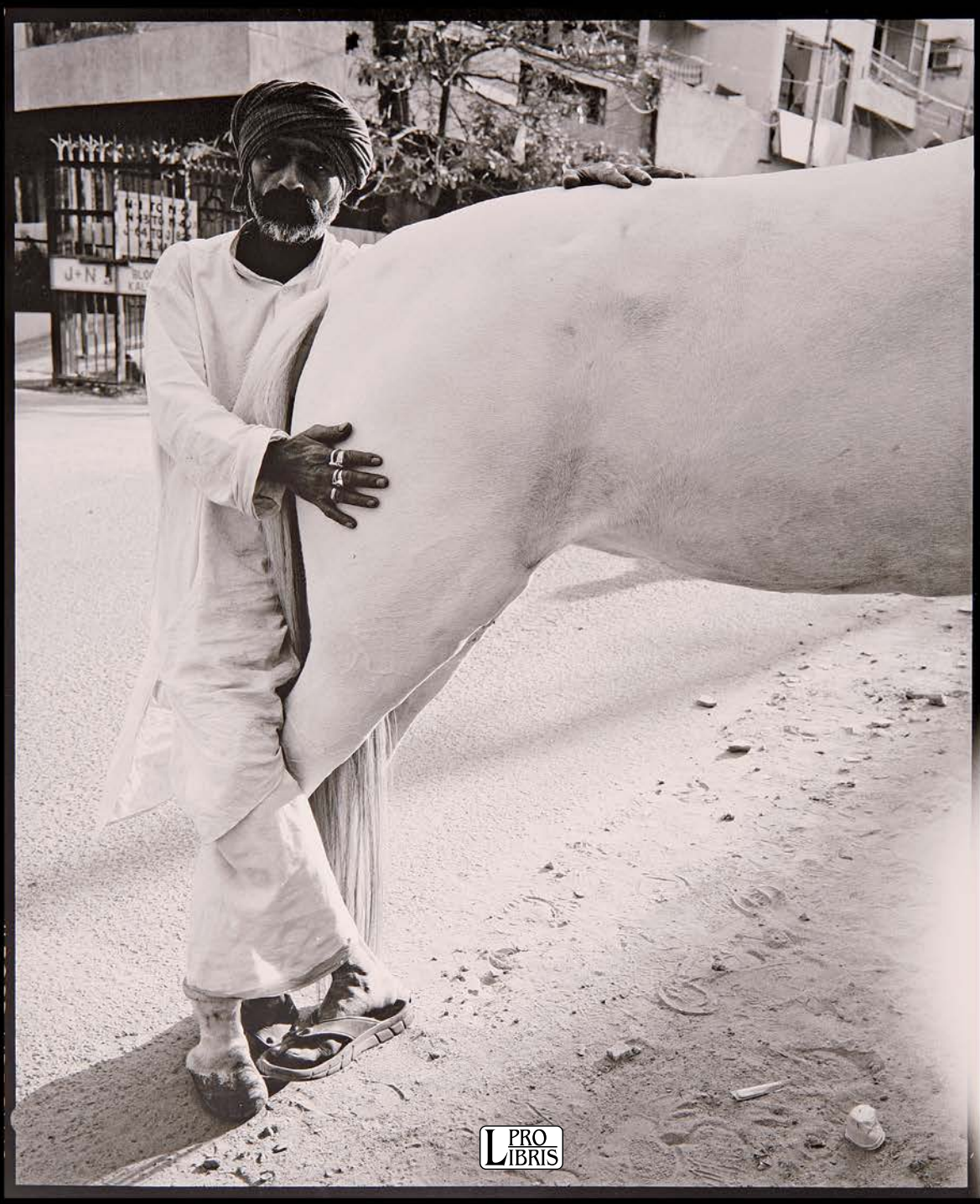

ISSN 1642-5995
03
9 771642 599108

Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)